



SZCZĘSCIE
NADEJDZIE JUTRO

O K S A N A
ROBSKI

WSZECHŚWIAT ZRODZIŁ SIĘ Z IRONII, A LUDZKOŚĆ
JEST TYLKO JEDNYM Z JEJ UŚMIESZKÓW. Romain Gary



ŚWIAT Z BRYLANTÓW I ŁEZ

Nikita, młoda i atrakcyjna mężatka, postanawia założyć agencję ochrony zatrudniając kobiety. Oddział bodyguardek odnosi sukces. Zlecenia sypią się jedno za drugim, a media pękają od doniesień o niezwyklej agencji. Pewnego dnia zostaje wprowadzony kochanek teścia Nikity...

Pod powierzchnią blichtru i luksusu, świata najmodniejszych moskiewskich dyskotek, narkotycznego podniecenia, romansów, egzotycznych podróży, zakupów za setki tysięcy rubli, pod maskaradą zabawy, bogactwa i przyjemności kryje się pustka.

**BEZKOMPROMISOWA, SZCZERA,
PROWOKACYJNA OPowieść O SAMOTNOŚCI**

Oksana Robski (ur. 1968) – rosyjska
dziennikarka i scenarzystka.
Autorka kilku powieści,
w tym głośnej *Casual. Zwyczajnej historii*.

PATRONI MEDIALNI

EXKLUSIV

polki.pl



WYDAWNICTWO LITERACKIE
www.wydawnictwoliterackie.pl

cena 29,99 zł

ISBN 978-83-08-04061-4



9 788308 040614



OKSANA
ROBSKI

SZCZĘŚCIE
NADEJDZIE JUTRO

PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA MARIA JANOWSKA

WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Wszecławiat zrodził się z ironii, a ludzkość jest
tylko jednym z jej uśmieszków.

Romain Gary

]

Zrobiłam dwie grube kreski i Katia z hałasem wciągnęła do nosa jedną z nich, jak pracujący na najwyższych obrotach odkurzacz Rowenta. Podała mi zwiniętą w rulonik studolarówkę.

— Cola się skończyła — powiedziała.

W poszukiwaniu nowej butelki sięgnęłam pod kanapę. Katia z przejęciem opowiadała o swoim spotkaniu z Mickeyem Rourke na Florydzie — dziesięć lat temu.

Coli pod kanapą nie było, więc zaczęłam szukać jej pod fotelem i w biurku. Już od dawna trzymałam wszystko co niezbędne w gabinecie, żeby nie spotykać w korytarzu gosposi albo nauczycieli Artioma.

Butelkę znalazłam na parapecie. Rozsunęłam szeleszczące, ciężkie zasłony i ze zdziwieniem spostrzegłam, że się rozwidnia.

— Która godzina? — spytałam raczej siebie niż Katię.

Katia zmrużyła oczy jak oślepiiony słońcem wampir.

— Zastoń. Widzisz, że już jest rano.

Zegar wskazywał czwartą.

Nalałam coli do wysokich szklanek.

Nie spałyśmy już trzeci albo czwarty dzień z rzędu.

Katia twierdziła, że jej rekord to siedem dni.

— Jest czwarta — uściśliłam.

— Koks się skończył. Jedziemy do Maszki?

— Nie, chodźmy spać.

— Najpierw jeszcze po kresce, dopiero potem — spać.

Drzwi do gabinetu uchyliły się, wpuszczając trochę dziennego światła, po czym ukazała się w nich jasnowłosa główka Artioma.

— Mamuś, brzuch mnie boli — wyjęczał z nie ruchomym wyrazem twarzy.

— Idź do łóżka i poleż sobie, dobrze?

„Pewnie się czymś struł w szkole” — pomyślałam.

Wróciłam do Mickeya Rourke.

— Super by było uciąć sobie z nim romans.

— Coś ty, on jest teraz okropny. Wcale by ci się nie spodobał.

W końcu jednak poszłyśmy spać. Nie żeby nam się chciało, po prostu trzeba dbać o zdrowie.

Wzięłam pod język validol. To był mój sposób na bezsenność.

Katia położyła się w gabinecie.

Szczelnie zasłoniłam okno w sypialni i włożyłam pod miękkie puchowe kołdry.

Zamknęłam oczy.

Validol nie działał.

Mój mózg pracował jak perpetuum mobile do produkcji myśli. Rozrastały się do takich rozmiarów, że zajmowały całą wolną przestrzeń mojego pokoju. Właśnie za to nienawidziłam koksu.

Myślałam o Mickeyu Rourke. O jego głupiej operacji plastycznej.

Wzięłam pod język następną tabletkę validolu i popiłam walerianą.

Podobno niektórym dobrze robi joint przed snem. Ale ja nie znoszę palić.

Drzwi skrzypnęły i do sypialni ostrożnie wsunął się Artiom.

— Mamuś...

Miałam wrażenie, że właśnie zasnęłam i zostałam obudzona.

— Co, kochanie?

— Brzuch mnie boli.

— Poproś Tamarę, żeby ci dała no-spę, a ja się jeszcze zdrzemnę, zgoda?

— Uhm.

Starałam się zrelaksować i o niczym nie myśleć.

Mój mózg samodzielnie, moimi słowami i moim głosem, kontynuował monolog o życiu z gwiazdami Hollywood.

Sięgnęłam po środek ostateczny. Wyobraziłam sobie, że jestem maleńka i siedzę we własnej głowie. W rękach mam ogromną miotłę. Metodycznie, z lewa na prawo, zmiotam swoje myśli.

Najważniejsze, żeby się nie rozpraszać.

Jeśli miotłą macha się energicznie — szur, szur — to myśli nie nadążają z formowaniem się w słowa. Szsz-szur, sz-szsz-szur...

Obudziłam się, bo ktoś mocno szarpał mnie za ramię.

Artiom. Z dorosłą rozpaczą malującą się na dziecięcej twarzy.

— Mamusiu, proszę cię, wezwij pogotowie, źle się czuję.

Pogotowie przyjechało po dwudziestu minutach. Była szósta rano. Zmęczone twarze o życzliwych spojrzeniach. Od razu postawili diagnozę: ropne zapalenie otrzewnej.

Artiom bez przerwy płakał, kiedy szykowałam go do szpitala.

— Przyjedziesz do mnie? Zadzwońisz do taty?

W karetce wzięłam go na kolana.

— Nie bój się, skarbie, wszystko będzie dobrze. Tata już jutro wraca. Od razu do ciebie przyjedziemy.

W Centralnym Szpitalu Klinicznym na Alejach Miecznikowskich przydzielono mu pokój z prysznicem i ubikacją. Na wąskiej półeczce rozłożyłam rzeczy Artiona. Wystrój sal szpitalnych to szczególna dziedzina wnętrzarskiego designu. Mogłaby z tego wyjść niezła sesja fotograficzna. Choćby w „Elle Decoration”. Okraszona ludźmi w gipsie i pod kroplówką.

Operacja się udała.

Z brzucha Artioma sterczała krótka brązowa rurka. Kiedy ją zobaczyłam, łzy same napłynęły mi do oczu.

Katia wciąż spała w gabinecie Romy. Usiadłam na podłodze obok niej i objęłam kolana rękami.

Zmusiłam się do płaczu.

Z jakiegoś powodu zdawało mi się, że dopóki płaczę, zachowuję się tak, jak przystoi dobrej matce. I że nie mam sobie nic do zarzucenia. A Artiom nie ma powodu, żeby się na mnie gniewać.

— Co z tobą? — poruszyła się na kanapie Katia.

— Zadzwoń do Rambo. Niech przywiezie koks — poprosiłam przez łzy.

Katia posłusznie gdzieś spod poduszki wydobyła komórkę.

— Rambo? To ja. U Oli. Przywieź nam koko-dżambo. Ile? — spytała mnie ruchem warg.

Wzruszyłam ramionami.

— Przywieź dwa. Czekamy — zadysponowała. Zwróciła się do mnie: — Co się stało?

— Artiom jest w szpitalu. Miał operację. Ropne zapalenie otrzewnej. To ja jestem wszystkiemu winna!

Ryczałam w głos na jej ramieniu.

— Dlaczego ty? — zdziwiła się.

— Przecież wczoraj mówił, że go boli brzuch. A ja go wysłałam po no-spę.

— W końcu nie jesteś lekarzem...

— Ale jestem matką!

Katia pogłaskała mnie po głowie i uniosła panel z klawiaturą w swojej komórce. Panasonic G70. Bardzo praktyczny model. Między baterią a klawiszami jest miejsce na małą torebeczkę. Żelazny zapas.

— Trzymałam to na czarnej godzinę — wyjaśniła i wysypała na stół garstkę śnieżnobiałych kryształków.

Ten gest tylko utwierdził mnie w przekonaniu o powadze wydarzeń dzisiejszego ranka. Zapłakałam ze zdwojoną energią, a moje łzy wydały mi się czyste i wzniosłe.

Nadszedł dzień powrotu Romy.

Kierowca wyjechał po niego na lotnisko.

Wstałam, kiedy zadzwonił budzik. O drugiej po południu.

Ubrałam się i długo malowałam rzęsy przed lustrem.

Gospoia, Tamara, nałała do słoika rosółu z kury i zapakowała w folię aluminiową kotlety na parze.

Zdjęłam z półki kilka ulubionych filmów Artioma. Włożyłam je do torby razem z bielizną na zmianę, piżamą i spodniami od dresu z białym napisem „Don't worry, America”.

Romy nadal nie było.

W Centralnym Szpitalu Klinicznym są sztywne przepisy dotyczące odwiedzin. Po piątej już nie wpuszczają.

Był kwadrans po trzeciej.

„Pewnie utknęli w korku” — pomyślałam, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Romę na pewno wzruszy wychudła twarz matki, która ma syna w szpitalu.

— Czemu jeszcze nie ma Romy? — zaniepokoiła się Tamara. — Nie możecie się spóźnić do szpitala.

Wystukałam numer komórki męża. Odebrał kierowca.

— Gdzie jest Roma? — spytałam z rozdrażnieniem.

— Zostawił mi swój telefon — zameldował kierowca — i poszedł do Artioma.

To mnie zbiło z tropu.

— Jest w szpitalu?

— No, tak.

A więc nie zadał sobie trudu, żeby mnie zabrać, tylko pojechał do Artioma prosto z lotniska. Z wściekłością rzuciłam słuchawkę.

Złapałam torbę i słoik. Jeśli się pośpieszę, to zdążę.

Co za świnią. W swoim numerze popisowym.

Oddzwonił po kilku minutach.

Nie przebierałam w słowach. Wrzeszczałam, jak to się między nami utarło przez ostatnie pół roku.

— Mogłeś chociaż zadzwonić! Czekałam na ciebie jak ta idiotka! Jeszcze się spóźnię, a mam ubranie i jedzenie dla dziecka!

Zgodnie z tradycją naszego dziesięcioletniego pożycia Roma pozostawał niewzruszony.

— Nie martw się, zdążysz. Ktoś dzwoni na drugiej linii, zobaczymy się wieczorem.

Sygnał przerwanej rozmowy.

Smutny Artiom bezmyślnie przełączał kanały wielkim, kwadratowym pilotem.

— Nikita! — Wszyscy tak mnie nazywali. Od nazwiska Nikitina. — Tata był u mnie — pochwalił się.

— Wiem...

Wyrównałam szorstkie szpitalne prześcieradło.

W przyływie cierpkiej litości serce zatrzepotało mi w piersiach i na sekundę zamarło. Wzięłam się w garść.

— Skarbie, niedługo wrócisz do domu.

— Kiedy?

— Jutro wyjmą ci cewnik, pojutrze wyciągną szwy i będzie po wszystkim.

— A to nie boli? — zaniepokoił się Artiom, spoglądając na mnie poważnymi czarnymi oczami.

— Nie — zapewniłam i poczułam wielką ulgę, że nie muszę go okłamywać.

Wieczorem spotkaliśmy się z Romą u teściowej. Obchodziła sześćdziesiąte urodziny. Z tej okazji zebrała się u niej cała twórcza inteligencja Moskwy. A raczej, jak uściśliła sama teściowa, „cała pijąca inteligencja”.

Roma подарował matce pierścionek de Grisogono szczerze wysadzany czarnymi brylantami.

— Zmniejszyłeś mi limit na karcie, a sam de Grisogono kupujesz — wysyczałam mężowi do ucha.

— Jak dobijesz sześćdziesiątki, kupię ci wszystko, co będziesz chciała — roześmiał się Roma.

Teściowa była uznaną reżyserką teatralną. Miała za sobą bujną młodość i każdy z obecnych na jubileuszu wiedział o tym nie tylko ze słyszenia.

Promiennie uśmiechałam się do słynnych aktorów i kokietowałam producentów.

Przed wygłoszeniem toastu zamknęłam się w toalecie dla gości. Jedna mała kreska dla natchnienia jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Uniosłam kieliszek i przez kilka minut opiewałam niegasnącą urodę i boski talent teściowej. Słuchała mnie pobłażliwie i drwiąco. Nasze stosunki od początku nie układały się najlepiej. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że Roma ożenił się z wierną kopią jej samej. Co prawda, nie zostałam reżyserką. Ale, jak to się mówi, jeszcze nie wszystko stracone...

Kiedy zabawa rozkręciła się na dobre, pojawił się teść. Homoseksualista o nienaganych manierach. Prawdopodobnie jedyny homoseksualista w rosyjskim wielkim biznesie.

Uroczyście wręczył żonie zegarek, na którego kwadratowej tarczy aż się roilo od czarnych brylantów. De Grisogono, rzecz jasna. Teściowa nie lubi improwizacji, w końcu jest reżyserem.

Roma chłodno przywitał się z ojcem.

Minęło dopiero kilka tygodni od czasu, kiedy mój mąż opuścił bezpieczny rodzinny interes i samotnie wkroczył na Wielką Drogę Rosyjskiej Przedsiębiorczości. Teściowi trudno było się z tym pogodzić. Mimo to dokładał starań, żeby sprawić wrażenie ojca szanującego prawo potomka do samodzielności i niezależności.

Największe zrozumienie miała dla Romy matka. Czasami jednak wydawało mi się, że jej przychyłność dla świeżo wywalczonej autonomii syna pozostaje w ścisłym związku ze zmniejszeniem limitów na moich

kartach kredytowych do jednej trzeciej — wysokości właściwej dla żony początkującego biznesmena. Oto co mnie spotkało po tylu latach małżeństwa!

W toalecie usypałam jeszcze jedną małą kreskę.

— Nikita, nauczyłaś się już robić ulubione Romy kotlety na parze? — spytała mnie teściowa, siedząca na drugim końcu stołu.

Pytanie spotkało się z żywym oddźwiękiem u zebranych. Padło nie pierwszy raz, więc nie zdziwię się, jeśli niedługo goście zaczną robić zakłady.

— Ostatnio Roma rzadko jada w domu, za późno przychodzi — odpowiedziałam, a moje spojrzenie elokwentnie ciągnęło: „Dlatego że ty i tatuś tak mu zależliście za skórę, że musiał zaczynać wszystko od początku!”.

Oczy teściowej miotaly błyskawice.

— A ty wciąż się nudzisz? Nadal nie znalazłaś sobie pożytecznego zajęcia?

Tylko spokojnie. Ona świetnie zdaje sobie sprawę, że to dla mnie bolesny temat. Każdy w tej rodzinie ma swoją pracę, każdy — oprócz mnie.

— Poczekam, aż mój mąż się wzbogaci, i zajmę się działalnością charytatywną.

— Ach tak, to może weźmiesz u niego kilka lekcji? Tak bardzo bym chciała kiedyś utrzcć jej nosa! Na razie jednak mogłam zatroszczyć się tylko o swój nos. Znowu poszłam do toalety.

Przypudruję nosek ko-ka-iną
I promenadą ruszę w dal...

Skąd mi przyszła do głowy ta idiotyczna piosenka? I dlaczego za każdym razem, kiedy wychodząc od teściowej, obiecuję sobie nauczyć się robić te nieszczęsne kotlety na parze, zapominam o tym, ledwie przestąpię próg domu? Dzisiaj na pewno powiem gosposi, żeby mnie nauczyła. W końcu to żadna sztuka — wystarczy do mięsa dodać dynię.

Zanim zdążyłam poruszyć temat świąt majowych, Roma już spał. Wyjedziemy gdzieś czy będę musiała złożyć kolejną ofiarę na ołtarzu jego nowo nabytej samodzielności?

Po cichu weszłam do sypialni i położyłam się do łóżka. Kwestia wyjazdu nie dawała mi spokoju i postanowiłam natychmiast ją rozstrzygnąć. Chociaż tak naprawdę po koksie zwyczajnie miałam ochotę z kimś pogadać.

— Roma! — głośno wyszeptałam mu do ucha.

Pociągnął kołdrę, jakby cały chciał się pod nią schować.

— Nie, nie, śpij — wymamrotał.

Wyglądało na to, że moją skromną chęć rozmowy wziętą za domaganie się czegoś więcej. Co za pewność siebie!

Zamknęłam się w gabinecie. Zliziałam ze stołu białe resztki. Poczułam, że moje dziąsła przyjemnie drętwieją. W ustach pojawił się jedyny w swoim rodzaju gorzkawy posmak. Nie będę już dzwonić do Rambo, idę spać.

Z jaką łatwością Roma odrzucił mnie dziesięć minut temu! I to nie po raz pierwszy.

W dodatku spał tak błogo! Na pewno kogoś ma. Albo lada dzień będzie miał. Ta myśl wprawiła mnie w dobry nastrój. Jakaś głupia panienka będzie na poważnie przejmować się Romą, wydzwaniać do niego i tracić głowę z zazdrości o mnie. Ha! Będzie mu to pochlebiać, ale do czasu. Zbyt dużą wagę przywiązuje do rodziny, a poza tym na drugą babę po prostu nie starczy mu sił: ma już na głowie mnie, Artioma i nową firmę.

Teściowa wiedziała, co robi, kiedy od dziecka wpajała synowi hierarchię wartości: na pierwszym miejscu — rodzina, bez względu na to jaka. Nawet jeśli mąż „kocha inaczej”.

Wylazłam spod kołdry i poszłam zadzwonić do Katii.

Siedziała u Antona. Koksuli mieli w bród.

— Przyjeżdżaj — zaproponowała Katia — potem wybierzemy się do kasyna.

— Nie mogę. Roma dopiero dzisiaj wrócił.

— Co się martwisz, będzie myślał, że śpisz w gabinecie.

Po półgodzinie byłam już u Antona. Romie zostawiłam notatkę: „Budziłam cię, ale się na mnie wypiąłeś. Po co mam nocować w domu, skoro już cię nie obchodzę? Jestem u Katii”. Karteczkę zostawiłam razem z moją kołdrą w gabinecie. Jeśli Roma pomyśli, że śpię właśnie tam, to nie wejdzie i będzie przekonany, że jestem w domu. A jeśli wejdzie, uzna, że najpierw położyłam się w gabinecie, a potem się obraziłam i pojechałam do Katii.

W odróżnieniu ode mnie moja przyjaciółka prowadziła własny interes. Dzięki temu była na ty ze

wszystkimi naszymi i niektórymi nie naszymi oligarchami. Miała nadzieję, że pewnego pięknego dnia wyjdzie za kogoś z nich. Niedawno skończyła trzydzieści dwa lata. Zaczynała dziesięć lat wcześniej. Jej pierwszym poważnym klientem był znany rosyjski przedsiębiorca, który wymyślił piramidę finansową. Korzystał z usług Katii przed swoim ślubem. I po ślubie. Ale — przed więzieniem.

Katia przywoziła mu po pięć lub sześć dziewczyn jednocześnie. Raz w tygodniu. Na ogół były to zwyczajne studentki, które chciały sobie dorobić. Przedsiębiorca płacił dwieście dolarów każdej z nich i pięćset Katii.

Potem przysłała kolej na wielu innych, nie mniej znanych i zasłużonych przedstawicieli rosyjskiego biznesu. Jak przystało na prawdziwą profesjonalistkę, moja przyjaciółka raczej nie rozpowszechniała informacji zdobytych w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. Chyba że mijał już okres przedawnienia. Z moich obserwacji wynikało, że wahał się on od sześciu do dziesięciu lat. Jeśli tylko Katia nie uznała za stosowne skrócić go w celu przykucia uwagi rozmówcy.

Moją uwagę Katia przykuwała całe trzy dni. Potem dziwnym trafem się zaprzyjaźniłyśmy. Dziwnym dla mnie. Bo na ogół nie zadają się z sutenerkami.

Anton poznał Katię na jakiejś imprezie. Katia wręczyła mu wizytówkę: „Agencja Public Relations Żyła Złota. Creative Director”.

Mniej więcej wtedy Anton otwierał kolejny klub nocny.

W tych zamierzchłych czasach zdarzało mu się jeszcze coś otwierać.

Choć w czasach jeszcze bardziej zamierzchłych Anton tylko zamykał. Fabryki, restauracje, sklepy. Dlatego że mu nie chcieli płacić. Naiwne głowy nadal były zaprzątnięte ideami socjalizmu. Wielu uparcie sądziło, że zasada „każdemu według zdolności” jest słusniejsza niż „każdemu według potrzeb”.

Potrzeby Antona na początku lat dziewięćdziesiątych były ogólnie znane: mercedes 600 (nadwozie 140), jedwabna koszula, pederastka Dupont, złota stu pięćdziesięciogramowa bransoleta. W jaki sposób ten człowiek przerodził się w dzisiejszego Antona — wyrafinowanego próżniaka z zadatkami na intelektualistę — pozostaje zagadką.

Nie trudniejszą jednak niż zagadki przeszłości wielu dzisiejszych biznesmenów i polityków.

Anton i Katia mieli ze sobą wiele wspólnego. Ją również mało interesowały męki twórcze dyrektora kreatywnego, co jego — marketingowe problemy rozwoju państwowych przedsiębiorstw.

Katia znakomicie wpisywała się w nowoczesne wnętrze mieszkania Antona. Chociaż zapewne również dobrze wyglądała pośród stadka nagich pańienek w jakimś pokoju hotelowym.

Ubierała się modnie, ale nie na pokaz. Żadnych Chanel ani Dolce & Gabbana. Sami drodzy angielscy projektanci. Garderobę kupowała na Oxford Street. Stylową, z nutą ekscentryzmu. Jak przystoi bizneswoman, która ma dobry gust. Nawiasem mówiąc,

bieliznę pościelową Pratesi kupowała w Harrodsie na długo przed tym, jak Danilina zaczęła sprzedawać ją w Moskwie. Nawet przed tym, jak Samantha z Seksu w wielkim mieście obwieściła na cały świat: „Nie spuszczać się na mojego pratesi!”.

Anton wylegiwał się na podłodze w rozpiętej koszuli. Pomiedzy nim a podłogą znajdował się mięsisty jedwabny dywan z motywem roślinnym (sklep „Dacza”, dwadzieścia dwa tysiące dolarów przed upustem, wysokość upustu była objęta tajemnicą handlową). Leniwie puszczał w sufit nikotynowe kółka i dobrotliwie naśmiewał się z Katii.

— „Pies z głową w dół” — Katia zapowiedziała swoją ulubioną pozycję jogi.

Jej ciało utworzyło nienaganny trójkąt, za jego podstawę posłużyła podłoga.

— „Pies bez głowy” — zaproponował nową nazwę Anton. — Co wy na to?

— „Pies-któremu-nie-dali-koksu” — powiedziałam ponuro.

— Brzmi zupełnie jak w hindi — pochwalił mnie Anton.

Katia przybrała klasyczną pozycję lotosu przed niskim japońskim stołem z wysuwanyim rusztem. Stół nazywał się hibachi, w ruszcie Anton trzymał kokodżambo.

— „Pies-który-ma-ochotę-na-szampana” — Anton przyniósł z lodówki butelkę crystal.

W kasynie przyjąłem pozycję „psa-który-cztery--razy-z-rzędu-przegrał-stawiając-na-czerwone”!

Za to Anton oznajmił, że jest „psem-który-spo-tkał-laseczki”.

Najwyraźniej uznał, że słowo „laseczki” w odróżnieniu od „laski” zabrzmiałby pieszczotliwie. Dziewczyny, które przyprowadził, były innego zdania.

Zamknął się z nimi w toalecie i tym samym ubyło nam pół grama koksu. Dziewczyny ściągnęły swoich znajomych i wszyscy wyprawiliśmy się na śniadanie do „Eldorado”. Jak „stado głodnych psów”.

W „Eldorado” Anton podzielił wszystkich na psy i suki. Suki były w przewadze — ku uciesze psów. Jedna z nich, znana fotomodelka Olga, nabrała ochoty, żeby pojechać do Antona. Co by niechybnie uczyniła, gdyby tylko Anton nie zapowiedział kolejnej asany: „Pies-który-jedzie-się-parzyć”. Fotomodelka się obraziła. Ostatecznie u Antona znaleźliśmy się wszyscy oprócz niej. Słusznie, bo i tak nie miałby kto jej fotografować.

O jedenastej rano uznałam, że Roma na pewno pojechał już do pracy, i stałam się „psem-który-wraca-do-swojej-budy”. Wszyscy inni zostali na rzeźbionych kanapach Antona, przy szczelnie zasłoniętych oknach, z pociętymi rurkami do napojów w rękach.

Drzwi gabinetu były otwarte. Na mojej notatce Roma dopisał u dołu: „Pojechałem do Artioma do szpitala”.

Z kartką w ręku usiadłam na podłodze w pozycji „zbitego psa”. Najwyraźniej właśnie wkroczyliśmy w nowy etap życia naszej rodziny — epistolarny. Bo Artiom też napisał do mnie list. Dał mi go, kiedy wyjmowałam z reklamówek pudełko puzzli i model samolotu MIG-21, kupiony chwilę przedtem w centrum „Winnie”.

Czytając list Artioma, byłam wzruszona, a zarazem czułam się niezręcznie. Jakbym przypadkowo kogoś podejrziała. Albo czytała cudzy dziennik.

„Droga Mamusiu, bardzo, bardzo Cię Kocham, kiedy mnie stąd zabierzesz? Jesteś taka ładna, tak lubię Twoje delikatne ręce i Twoje oczy, one czasami są takie groźne, że się ich boję, czasami tak mnie przytulasz, bardzo chcę do domu i żebyśmy gadali sobie w salonie”.

Starłam się przytulić go tak, jak to sobie wyobrażał, kiedy pisał list. Jego wzruszające ciało ufnie miękło w moich objęciach. Delikatnie całowałam syna w ciepłą szyjkę, a on milczał, próbując ukryć przede mną łzy.

— Niedługo pojedziemy do domu — obiecałam mu. — Mam już dość tego szpitala.

Artiom przytaknął głową.

Wsiadłam do samochodu i wyłączyłam telefon.

Położyłam się do łóżka. Nareszcie zasnęłam.

2

Po przebudzeniu czułam się świetnie. Tamara oznajmiła mi, że w salonie czeka Weronika.

Trochę mnie to zdziwiło. Wizyta bez zapowiedzi? Weronika jest moją przyjaciółką prawie od dzieciństwa. Nasze dacje w Usowie dzieli wspólne ogrodzenie z małą furką, żeby można było się odwiedzać w porze śniadania.

Artiom przyjaźni się z Nikitą Weroniki i chodzi razem z nią do szkoły. Tylko Roma wyłamuje się z ogólnego schematu — nie lubi męża Weroniki, Igora.

Męża Weroniki ostatnio widuję częściej niż ją samą. Z tym że ona oczywiście o tym nie wie.

Kiedy Weronika trwa w przekonaniu, że mąż wyjechał w delegację, Igor całymi dniami przesiaduje

z nami w zaciemnionym mieszkaniu Maszy. Anton też za nim nie przepada. Coś mi się wydaje, że przepada za nim tylko Weronika. A on ją bije. I używa sobie jak kot w marcu. Z Katią łączą go interesy. W dziedzinie kreatywności Igor wiedzie prym.

— Od dwóch tygodni do ciebie wydzwaniem. Ciągłe śpisz. Już się zaczęłam niepokoić — Weronika usprawiedliwiała swoją niezapowiedzianą wizytę.

A mnie się zdawało, że w ogóle nie śpię. Chociaż tym razem spałam prawie całą dobę. Już dawno mi się to nie przydarzyło.

Przyniosłam z jadalni butelkę białego wina.

— Nie za wcześnie? — zdziwiła się Weronika.
Co za nudziara.

Westchnęłam.

— Nawet nie wiesz, co się u mnie wyprawia.

— Co? — Przyglądała mi się badawczo jak jakiś śledczy na filmie.

— Artiom jest w szpitalu.

— Wiem, twoja Tamara mi powiedziała.

Podaliśmy jej kieliszek z winem.

— Chodźmy do gabinetu — zaproponowałam. W gabinecie Weronika od razu chciała odsłaniać okna.

— Niech tak zostanie, dobrze? — poprosiłam.

Usiadłam w moim ulubionym fotelu na wygiętych nóżkach. Francuski empire. Pociągnęłam łyk wina.

Weronika objęła mnie.

— Nie smuć się, każdemu dziecku może się przydarzyć zapalenie wyrostka. To nic straszного.

Mimowolnie załkałam. Dobra dziewczyna z tej Weroniki. Nie bez powodu przyjaźnimy się już Bóg wie jak długo.

— Mówił, że go boli brzuch, a ja to zlekceważyłam...

— Przecież nie wiedziałaś...

— No tak, nie wiedziałam. Ale teraz tak mi wstyd... Dolałam nam wina.

Weronika nagle odstawiła kieliszek.

— Zamiast od rana się obwiniać i użalać nad sobą, lepiej jedź ze mną do szpitala! — Popatrzyła na mnie groźnie jak nauczycielka.

— I tak codziennie jeżdżę. Dzisiaj też pojedę, tylko później.

Weronika mogłaby być nieco mniej obcesowa.

— Wiesz co — podeszła do mnie i usiadła na podłodze obok fotela — rozmawiałam o tobie z Tamarą. Martwi się o ciebie...

— Co takiego?

Mało brakowało, a kieliszek wypadłby mi z ręki prosto na głowę Weroniki. Ale tupet! Plotkować o mnie z moją własną gospożą!

— Powiedziała, że z tobą dzieje się coś złego, sypiasz do czwartej...

— Bzdura! To nie jej sprawa! Już ją urządzę!

Człowiek nie może być pewien dnia ani godziny z tymi gospożami. Mogliby już wynaleźć gospoście elektroniczne. Nawet jestem skłonna finansować badania naukowe w tej dziedzinie.

— Nikita, ona po prostu niepokoi się o ciebie. Nie wie, co robić... Co się właściwie dzieje?

— Niech podłogi dokładnie zmywa. I nie niszczy moich rzeczy!

Oburzająca bezczelność!

— Moja droga, u mnie wszystko w porządku.

Jak by tu się jej pozbyć?

— Wiesz co, rzeczywiście powinnam już jechać do Artioma.

— Pojadę z tobą, jeśli chcesz.

— Nie, nie, on chce pobyć tylko ze mną.

Urządziłam karczemną awanturę Tamarze. Zakażałam jej wtykać nos w moje życie osobiste. A tym bardziej omawiać je z moimi przyjaciółkami.

Tamara rozplakała się i zaczęła mnie przepraszać. Raz na zawsze zabroniłam jej też wpuszczania kogokolwiek do domu, jeśli wcześniej nie uprzedzę jej, że ktoś przyjdzie.

Weronika robiła aluzje do koko-dzambo. Powinnam była dać jej trochę na wynos. Może to na jakiś czas utrzymałoby Igora w domu.

Roma wyjął z lodówki sałatkę jarzynową i wygarnął sobie na talerz prawie połowę salaterki.

Stałam na środku kuchni i przyglądałam się, jak kroi chleb na stole. Błat był cały w okruchach, a Tamara miała wychodne.

— Ile razy mam ci powtarzać: krój na desce!

Roma byle jak pozgarniał okruchy. Połowę — na podłogę.

— Wyjedziemy gdzieś na święta majowe?

— Nie mogę, będę zajęty.

— Myślisz, że tylko ty pracujesz? Cała reszta znajduje pieniądze na ulicy?!

Roma miał gdzieś całą resztę. A ja miałam gdzieś, że on ma coś gdzieś.

— Nikita, przecież wiesz, w jakiej jestem sytuacji...
Po co znowu zaczynasz?

— W takim razie wyjadę sama z dzieckiem!

Zupełnie nie miałam zamiaru zostać na święta majowe w Moskwie, kiedy wszyscy rozjadą się na całe dziesięć dni.

Roma wzruszył ramionami.

— To jedź.

— Dobrze. Pojedziemy na Cypr. Nigdzie indziej nie zdążę już wyrobić Artiomowi wizy. Przecież nawet nie ma zdjęć.

— Aha.

— Zamieszkamy w „Four Seasons”.

— Nie, lepiej w „Amatusie”. W „Four Seasons” pokój kosztuje czterysta pięćdziesiąt dolarów za dobę, a w „Amatusie” mam rabat korporacyjny. Nie wyjdzie więcej niż dwieście pięćdziesiąt, i to na parterze, z basenem.

— Ale ja chcę do „Four Seasons”!

Wcale go nie zmuszałam, żeby odszedł z firmy ojca.

— Nie, pojedziecie do „Amatusa” i dodam wam jeszcze trzy tysiące.

— Artiom więcej przegra na automatach — warknęłam, żeby go rozzłościć.

— Nalej mi herbaty.

— Biedni nie mają służących.

Okraśliłam tę sentencję promiennym uśmiechem, po czym jednak podałam mu herbatę.

— Jutro przyjedzie do nas Albert na kolację. Upprzedź Tamarę — poprosił Roma.

— Uhm.

Albert był jedynym spośród przyjaciół Romy, który zgodził się zainwestować w jego nowy interes. Coś tam z kopalniami węgla. A właśnie po nim Roma najmniej się tego spodziewał.

Albert miał alergię na sezam. Wyjątkowo niebezpieczną. Mógł nawet umrzeć. W schowku jego samochodu zawsze leżała strzykawka z lekarstwem — na wszelki wypadek.

— Nie „uhm”, tylko sama skontroluj wszystko, co będziemy jeść. Nikita, z tym nie ma żartów!

Przysięgam mu, że to zrobię. Poszłam spać pod pozorem bólu głowy. Jak w anegdotach. Wcześniej zażyłam środek nasenny. Imovane.

Zebraliśmy się u Maszki.

Maszka była młodszą siostrą jednej mojej znajomej. Miała dopiero dwadzieścia lat. Albo dwadzieścia cztery. Znajoma wyszła za mąż i wyjechała do Mediolanu. Maszka została z mamą na Ostozence. Potem mama też wyszła za mąż i przeniosła się na Kryłatskoje. I Maszka została sama. A dokładniej — z nami. Oraz z całą gromadą narzeczonych, którzy razem z siostrą przyczyniali się do jej dostatniej egzystencji. Należącej się każdemu, kto ma dwadzieścia lat.

Maszka za każdym razem zakochiwała się po uszy, przewoziła do kolejnego narzeczonego swoje rzeczy, dostawała w prezencie samochód albo pieniądze na shopping w Pasażu Trietiazkowskim, pomagała mu

wybudować dom albo wyleczyć wrzody żołądka, po czym związek się kończył. Maszkę zawsze porzucali. Po kilku miesiącach dzwonili, błagali, żeby do nich wróciła, ale ona nieodmiennie była już pochłonięta nowym romanssem, co pozwalało jej mściwie rzucać słuchawkę.

Swojemu ostatniemu chłopakowi Maszka pomogła uwolnić się od kokainy. Znudziła mu się. Najpierw kokaina, później Maszka.

Katia, uważająca się za starszą koleżankę Maszy, od czasu do czasu udzielała jej mądrych rad. Ale Maszka nigdy nie słuchała ich z należytą uwagą. Sądziła, że doświadczenia Katii nijak się mają do jej młodego życia.

Wszyscy lubiliśmy Maszkę za optymizm i pogodę ducha.

Od czasu do czasu znajoma dzwoniła do mnie z Mediolanu i mówiła, że Maszka wpadła w złe towarzystwo. Moim zdaniem stanowczo przesadzała.

— Mam pomysł na biznes! — obwieściła Maszka po kolejnej kresce.

— Oby chodziło o prostytutkę — rozmarzył się Anton.

Wszystkie dziewczyny kochały Antona, a Anton kochał wszystkie dziewczyny. Miał na sobie beżowy sweter włożony na lewą stronę.

— Weźmiesz mnie na współniczkę? — Katia pilnie ćwiczyła nową asanę o dźwięcznej nazwie „kwiat lilii w ostatnich promieniach słońca”.

— A co to za pomysł? — spytałam z zazdrością. Sama już od kilku lat nie mogłam niczego wymyślić.

Muszę się jakoś wkręcić do firmy Maszki. W jednej chwili wyobraziłam sobie, jak siedzę za biurkiem w wielkim gabinecie, a teściowa przychodzi do mnie jako interesantka. Czeka za drzwiami.

Maszka wyciągnęła palec wskazujący w stronę Antona.

— On tego nie chwyci...

Anton ze zdumieniem uniósł brwi.

— ...Bo faceci nie zdzierają obcasów, jak prowadzą samochód. Nawet jeśli mają ręczną skrzynię biegów.

— No — przytaknęła Katia — ostatnio zdarłam sobie cały tył w prawym bucie.

— Ja też — potwierdziłam.

— I ja — Anton nie chciał pozostać w tyle.

— Nie zmyślaj — burknęła Maszka.

— Ale co dalej? — chciałam się czym prędzej dowiedzieć, o jaki interes chodzi.

— Trzeba sprzedawać takie nasadki na obcas. Zdejmowane. I proste w użyciu.

— Super. — Pozazdrościłam Maszce pomysłowości.

— Pewnie, produkcja zawsze się opłaca — podzieliła się doświadczeniami Katia. Chociaż do jej interesu bardziej pasowało słowo „usługi”.

— Można robić jednorazowe albo wielokrotnego użytku. Trzeba tylko znaleźć projektanta — wyjaśniała Maszka — a wszystkie dziewczyny będą je kupować. Zwłaszcza te, co mają ładę żiguli.

— Odkąd to dziewczyny jeżdżą żiguli? — Anton z wyraźną przyjemnością drażnił się z Maszka.

— Mój hydraulik ma zigułi. Myślicie, że damy radę wcisnąć mu nasadkę na obcas?

— Masza, wymyśl mi też jakiś biznes! — poprosiłam żalonym tonem.

— W zasadzie nasadki można robić na różne rzeczy — rozważał Anton. — Nikita mogłaby robić choćby nasadki na nos. Wielu ludziom nos marznie. Tobie marznie?

— Marznie — przyznała Katia.

— Najważniejsze — Antonowi dopisywała wena — żeby były zdejmowane. W restauracji ściągacie państwo nasadkę z nosa jednym ruchem ręki...

Śmiali się wszyscy oprócz Maszki. Z obrażoną miną próbowała powtórzyć za Katią pozycję jogi. Asanę — mówiąc fachowo.

— Tylko nie przychodźcie do mnie po pieniądze, jak już będę bogata — warknęła.

— Nie przychodźcie bez specjalnej nasadki na portfel — rechotał Anton. — Nasadki, która chroni przed spojrzzeniami ciekawskich i zarazem przed wrogami, jeśli akurat idziecie ciemną uliczką.

— Na przykład w Barcelonie — podchwyciła Katia.

Nie miałam ochoty wychodzić. A nuż Maszka wymyśli coś dla mnie. Ostatecznie szczoteczki do zębów nie spadły z nieba. Ani jednorazowe widelce. Ani masa innych rzeczy.

Kiedy wróciłam do domu, Albert już u nas był. Tamara zrobiła warzywa na elektrycznym grillu, cielęcinę w małych kawałkach bez przypraw (jednak nie

zapomniałam jej upредить) i sałatę rzymską z tuńczykiem i oliwą. Na deser był tort Napoleon domowej roboty, który Albert przywiózł z bazaru w Żukowce, gdzie wynajmował dację.

— Stare targowisko zamknęli — skarżył się — i przenieśli stoiska do centrum handlowego. Tuż obok. Ale to już nie to. Przepadł cały koloryt. Wszystko oznakowane i ze stemplami sanepidu.

— Tam w ogóle dużo się zmieniło — starałam się podtrzymać rozmowę — nawet kasyno otworzyli.

— Świetne, nawiasem mówiąc — dodał Roma.

Spojrzałam na niego z ukosa. W tym momencie Roma najwyraźniej się wystraszył, że znowu zacznę robić mu wyrzuty za zmniejszenie limitów na moich kartach, i czym prędzej zmienił temat.

Nie przepadałam za Albertem. Nigdy nie należał do naszej paczki. Nudziarz, bez ikry i polotu. Bez charyzmy, jak to się mówi. Co w wolnym przekładzie znaczy „sexy na opak”. W moim, ma się rozumieć, przekładzie.

Albert do wszystkiego w życiu doszedł sam. Pracował od dzieciństwa i wcale się tym nie chwalił, w odróżnieniu od innych. Stosunki z kobietami zasługującymi na jego względy nie układały mu się najlepiej. A innych kobiet Albert unikał.

Był całkowitym przeciwieństwem mojego męża. Zdaniem Romy, Albert zainwestował w jego interes dlatego, że go szanował i wierzył w jego sukces. Czuł wdzięczność wobec Alberta za pomoc i za motywę, którymi się kierował. Jednak w moim przekonaniu Albert po prostu uznał, że ta inwestycja będzie

niewielką ceną za wejście do śmietanki towarzyskiej Moskwy, zażyłość z ulubieńcem wszystkich — Romą, i czerpanie z tego stosownych korzyści.

Tak czy inaczej, Albert był uczciwym człowiekiem, co samo w sobie budzi przyjazne uczucia. W dodatku pomagał nam. A to zawsze jest mile widziane.

Siedzieliśmy w jadalni i rozmawiali o krawacie Alberta. W paski. Jego garnitur też był w paski. I koszula. Oraszkarpetki. Założę się, że nawet gatki miał pasiaste.

— Do tej koszuli przydałby się inny krawat — orzekł Roma, próbując trochę przypalonej zielonej papryki. Polał ją obficie sosem teriyaki.

Wstał od stołu i przyniósł z garderoby kilka krawatów w różnych kolorach.

— Przymierz ten — podał Albertowi fioletowy, gładki, w tonie jego koszuli.

Albert odłożył widelec i posłusznie zmienił krawat.

Z zapalem chwaliliśmy przemianę naszego gościa.

Albert był trochę zmieszany, ale nasza troska najwyraźniej go wzruszyła.

— Jest twój — uśmiechnął się Roma, potwierdzając słowa szerokim gestem ręki.

— Dziękuję.

— Naprawdę ci w nim do twarzy — przyznałam.

Jako gościnnie pani domu nałożyłam sałatę na talerze. Roma pstryknął pilotem. Nienawidzę, kiedy

się włącza telewizor w jadalni. Jak byłam mała, podczas obiadu gadaliśmy, opowiadaliśmy sobie o najnowszych wydarzeniach i były to najlepsze chwile całego dnia.

W telewizji akurat szedł mecz. Najlepsze chwile całego dnia dla Romy. Obejrzałam kilka podań i zwróciłam się w kierunku Alberta, żeby sprawdzić, jaki jest jego stosunek do programów sportowych.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Twarz Alberta wyglądała jak mocno nadmuchany balonik z oczkami.

Roma krzyknął w tej samej chwili co ja.

Albert wyskoczył zza stołu i rzucił się do wyjścia. Mój mąż pobiegł za nim.

„Pewnie do samochodu — pomyślałam w otępieniu — po strzykawkę”.

W kuchni gorączkowo przeglądałam opakowania składników kolacji. Tamara usprawiedliwiała się z przerażeniem.

— Przecież nic innego nie dodawałam. Tak jak pani kazała...

W drzwiach pojawił się Roma.

— A gdzie Albert? — spytałam skruszona.

— Pojechał do domu.

Roma obrzucił mnie zimnym, złym spojrzeniem.

— W niczym nie ma sezamu. Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

Nadal przeglądałam spisy składników na butelkach z octem i oliwą.

— Szukaj. — Widziałam, że Roma ledwo pohamowuje wściekłość.

Głośno wypuściłam powietrze. A raczej jęknęłam.
W skład oliwy wchodził olej sezamowy.

— Roma, wybacz, skąd mogłam wiedzieć. Nawet
nie wiem, kto kupił tę oliwę...

Gosposia zaczęła zawodzić wniebogłosy, Roma
trzasnął drzwiami.

Taki był koniec naszej kolacji.

3

Anton miał złotą kartę do „Czerwonego Kapturka”. Dopóki mi jej nie pokazał, sądziłam, że tylko dziewczyny chodzą do klubów z męskim striptizem.

— Każdy ma swoje miejsce do podrywu — wyjaśniał Anton. — Niektórzy schodzą do metra — to prawdziwa kopalnia kobiet z charakterem. A takie leniwce jak ja po prostu siadają przy najlepszym stoliku tam, gdzie dziewczyny same przychodzą znaleźć faceta.

Na werandę mojego letniego domu wynieśliśmy wielką, miękką kanapę. Siedzieliśmy teraz na niej, rozkoszując się pierwszym naprawdę ciepłym dniem.

Maszka przyjechała z koleżanką — młodziutką blondynką w porwanych džinsach ze szkiełkami

imitującymi brylanty. Dżinsy powinny ściśle przylegać do bioder, ale ponieważ dziewczyna pozbawiona była tej części ciała, zdawało się, że lada chwila jej spadną. Wyglądała bardzo ponętnie. W jej towarzystwie człowiek nabierał zapału do odchudzania.

Koleżanka przedstawiła się jako Andżela — po prostu nie mogła nosić innego imienia. Ledwo się przywitała, a już zdjęła fioletowy top i w samym malinowym biustonoszu z wdziękiem wyciągnęła się na szezlongu w promieniach słońca.

Okazało się, że ojciec Andżeli jest jednym z największych rosyjskich producentów materiałów budowlanych. Ma kilka fabryk rozrzuconych po całym kraju.

Andżela przyjechała białym porsche cayenne. Dzieciństwo spędziła pod Londynem, w szkole dla dziewcząt. Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, że jeśli dzieci wyjeżdżają za granicę, to już nie wracają, Andżela postanowiła zamieszkać w Moskwie. Mama kupiła jej maturę i pozwoliła wybrać pomiędzy wydziałem historycznym albo filologicznym Uniwersytetu Moskiewskiego. Andżela zadzwoniła do niej z gabinetu rektora: „Mama, jaką ja właściwie szkołę skończyłam, bo tu się nie mogą rozeznąć!”.

Szkolny zwyczaj podpalania marihuany przeszedł u Andżeli w trwałe zamiłowanie. Nauczyła swoich przyjaciół posługiwania się rurkami, butelkami i innymi przedmiotami używanymi przez angielskich uczniów.

Na jednej z organizowanych przez siebie imprez Andżela zapoznała się z Maszką, a Maszka zapoznała

ją z koko-dzambo. Dla Andżeli Maszka i koko-dzambo stały się kolejną rozrywką, tym bardziej że właśnie została wyrzucona z piątego roku studiów. Teraz miała zamiar dostać się na stosunki międzynarodowe, a jej ojciec gotów był wyłożyć na ten cel czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Ale wcale nie zwalniało to Andżeli z konieczności uczenia się. Dlatego że za czterdzieści pięć tysięcy dolarów na tę najbardziej prestiżową uczelnię Moskwy przyjmowano wszystkich, a po pierwszej sesji pozostawiano na studiach tylko tych, którzy ją dobrze zaliczyli.

Ojciec Andżeli nie łudził się zbyt, że jego córka będzie pilnie się uczyć. Miał jednak nadzieję, że zanim ją wyrzucą, zdąży wyjść za mąż za jakiegoś zdolnego kolegę z roku. I że wreszcie się ustakuje. Andżela ukrywała przed ojcem, że ani myśli brać ślub wcześniej niż za dziesięć lat. A przynajmniej przed pierwszą operacją plastyczną.

Maszka usiadła na kolanach Antona.

— Dzwoniłam do Katii, właśnie przyleciał ktoś z Londynu. I ona go zabawia. Raczej dziś nie przyjedzie. Chyba że w nocy.

— Wy tu macie sabat próżniaczek, a kobieta ciężko pracuje — odparł Anton. W jego słowach pobrzmiewało prawdziwe współczucie.

Półtora roku wcześniej Anton sprzedał nocny klub i ogłosił, że „przechodzi na emeryturę”. Podejrzewałam jednak, że za pieniądze ze sprzedaży jednego klubu długo na tej emeryturze nie pobędzie. O ile nie planował przeprowadzki do Tajlandii. Albo... W końcu nie wiedziałam wszystkiego o Antonie.

— Jedźmy na święta majowe do Peru — zaproponowała Maszka.

— Z plecakiem po górskich szczytach... manierka z wodą... wierny towarzysz wędrówki... — Anton mówił, jakby wyśpiewywał recytatyw.

— Doświadczony przewodnik... — podchwyciłam.

— Okulary przeciwsłoneczne... — ciągnął Anton.

— Romantycznie aż do bólu — skomentowałam.

— Bo co? — Maszka była urażona.

— Bo nic. Tylko weź pod uwagę, że ja nie będę targać twojego plecaka. — Anton miał na sobie brązowe skarpetki z zielonymi wstawkami. Bardzo modne.

— Jakie szczyty? Andżela tam była. Wspaniałe hotele i krajobrazy. A z plecakami chodzą tylko tacy idioci jak ty.

Anton wykręcił Maszce rękę, a ona zapiszczała radośnie.

— Opowiedz, jak tam jest? — poprosiłam Andżelę.

— W restauracjach wszyscy zamawiają herbatę z koką.

— No nie! — zdziwiłam się.

— Koka to jest to, co mi się wydaje? — chciał się upewnić Anton.

— Tak, zupełnie legalnie. Właśnie przez te szczyty i przełęcze koka jest potrzebna, żeby normować ciśnienie. Sprzedają ją na każdym rogu. Tylko wywozić nie wolno.

Andżela siedziała na szezlongu w swoim malinowym biustonoszu. Na oko nosiła rozmiar D.

— Skoro tak, to jedziemy — zdecydował Anton.

— Ja nie mogę, jadę na Cypr. Na Peru Roma jeszcze nie zarobił. — Chciałam, żeby to zabrzmiało wesoło, ale chyba mi nie wyszło. Wszyscy wychwycili irytację w moim głosie.

— To nic, pojedziemy na Nowy Rok! — Maszka najwyraźniej starała się mnie pocieszyć. Ale humor zupełnie mi się popsuł.

Nie mieliśmy żadnych problemów, to Roma musiał je stworzyć.

— W sumie tutaj też nie możemy narzekać na wyżywienie. — Anton wysypał koks na jednorazowy talerz z napisem „Happy birthday” i rysunkami zabawnych klaunów. Talerz został pewnie z urodzin Artiomia.

Za pomocą karty kredytowej Anton zρέcznie podzielił kopczyk na cztery równe kreski. Przypominały małe urodzinowe ciasteczka.

Wziął się za rozpalanie grilla, a Maszka zaczęła robić szaszłyki.

Pojechałam z Andżelą do Żukowki po wino.

Fioletowy top włożyła dopiero przed supermarketem.

Było w niej coś, co kazało łyseму mężczyźnie przepuścić ją do kasy bez kolejki. Z pięcioma butelkami białego wina w rękach wyglądała tak romantycznie, jakby trzymała bukiet rumianków.

Przy Andżeli czułam się niższa i jakaś kanciasta. Miałam ochotę podskoczyć.

Łysy szedł za nami aż do cayenne. Ale podejść nie miał odwagi.

Szaszłyki były niesmaczne, bo nie zamarynowaliśmy mięsa.

Maszka zaniosiła je do sąsiadów dla psa, a dla nas zostały ogórki i ukraińska słonina. Moja gosposia nas poczęstowała. Przywiózł to jej mąż. Jako ubranie robocze kupiłam mu czerwony kombinezon Ferrari, w którym właśnie z dumą przechadzał się po działce. Nic nie robił, żeby się nie pobrudzić.

— Chyba mu gorąco... — powiedziała Maszka ze współczuciem.

Wzruszyłam ramionami:

— Za to dobrze wygląda.

Po ciemnej i mroźnej zimie wciąganie koksu na słońcu miało szczególny urok. I świeżość nowego doświadczenia.

W nocy przyjechała Katia. Przywiozła półtora grama koksu i szampana.

Przydzieliłam wszystkim pokoje.

Maszka i Andżela ulokowały się razem.

Jeszcze przed północą zauważyłam ich nieobecność. Anton pojechał z Katią do kasyna w Żukowce.

Otworzyłam drzwi pokoju Maszy. Byłam pewna, że dziewczyny jeszcze nie śpią.

W pierwszej chwili miałam wrażenie, że nie ja je, ale one mnie przyłapały na czymś nieprzyzwoitym. Nie żebym się zawstydziała...

Albo wystraszyła...

Jak kosmonauci przed startem rakiety.

Którzy przecież niejedno wiedzą o kosmosie. Ale... po prostu nigdy tam nie byli.

Andżela przyciągnęła mnie do siebie. Dziwna rzecz — kobiece piersi są bardzo miękkie. Moje własne zawsze odczuwałam inaczej.

W pokoju było ciemno. Twarze rozpoznawałam tylko wtedy, kiedy zbliżały się do mojej twarzy.

Przez cały czas czułam na ciele dotyk włosów. Miękkich i jedwabistych.

Miałam wrażenie, że już to kiedyś przeżyłam — na jawie, we śnie albo w wyobraźni.

A zarazem, że nigdy niczego podobnego nie doznałam.

Kiedy kobiety się kochają, nie zdierają z siebie ubrania. Materiał miękko ześlizguje się z ich ciał. A jeśli pozostaje na ciele, nie przeszkadza, lecz staje się równie ważny i potrzebny jak wszystko, co się odczuwa przez skórę.

Dotyk dłoni, włosów, jedwabnej bielizny, warg — jest inny niż w seksie małżeńskim. To rozstanie z niewinnością. Takie, jakie wyobraża sobie każda dorastająca dziewczyna. Jakie nie przeradza się o świcie w gorycz niespełnionych nadziei.

Pewnego razu, kiedy byłam jeszcze dziewczynką, przyglądałam się mojej starszej i bardziej dojrzałej fizycznie koleżance z niezrozumiałą dla mnie samej nieśmiałą żądzą. Odwzajemniła moje spojrzenie. Wiedziałam, że mnie rozumie. Od razu zaczęłyśmy rozmawiać o chłopakach.

Szalona noc.

Jeśli wcześniej miałam jakieś kompleksy, to tej nocy się od nich uwolniłam. Jeśli istniało dla mnie jakieś tabu, to tej nocy zniknęło na zawsze.

Kiedy znowu wyszłam na werandę, Anton się nie odezwał. Karmił szpaki okruchami podeschniętego chleba.

Nalałam sobie coli i usiadłam na kanapie.

W promieniach słońca gwałtowne emocje ostatnich kilku godzin wydały mi się nierzeczywiste.

Pozostało tylko doznanie smutku i pustki. I, nie wiedzieć czemu, poczucie winy.

Anton wyjaśnił, że właśnie tak czują się mężczyźni, kiedy po nocnej hulance wracają do domu. Do żony. Czują rozczarowanie, strach przed tym, że za zabawę trzeba będzie zapłacić małżeńską kłótnią, i zadają sobie pytanie: na co mi to było?

Nie miałam ochoty spotkać Maszki i Andżeli.

— Wyjeżdżam — oznajmiłam Antonowi. — Do Moskwy.

— W takim stroju? — obejrzał mnie z dezaprobatą.

Miałam na sobie stary sweter Romy, dzinsy i zimowe buty. Włożyłam, co mi się nawinęło pod rękę.

— W domu się przebiorę.

Wsiadłam do samochodu. Wmawiałam sobie, że w domu wszystko spoza swojskiego świata codziennych spraw wyda mi się nieistotne. Będę mogła udawać, że tej nocy nie było.

Kończyła mi się benzyna. Skręciłam na stację na początku szosy rublowsko-uspienskiej.

Przeliczyłam pieniądze. Sześćset rubli. Wystarczy jeszcze na ice tea i dwa wspaniałe czebureki* z „Rostiksa”.

— Dziewięćdziesiątkę piątkę za pięćset — rzuciłam człowiekowi obsługującemu dystrybutor.

Czebureki — duże pierogi smażone w głębokim tłuszczu, nadziewane baraniną (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

„Żeby tylko nikogo nie spotkać, wyglądam okropnie” — myślałam.

Z pochyloną głową przemknęłam pomiędzy zaparkowanymi samochodami.

Złożyłam zamówienie i poszłam zapłacić za benzynę. Podliczyli mnie na sześćset rubli.

— Prosiłam, żeby zatankować za pięćset — powiedziałam. Sto wydałam już na napój i czebureki.

— Ale pracownik twierdzi, że...

— Proszę to ustalić między sobą, a ja w tym czasie zjem.

Usiadłam na wysokim stołku. Czebureki naprawdę były pyszne.

Podeszła do mnie kasjerka z pracownikiem stacji.

— Miałem nalać za sześćset! — oznajmił na cały głos.

Para siedząca przy stoliku obok zaczęła się na mnie gapić.

— Powiedziałam, że za pięćset, i koniec dyskusji.

Co za idiotyczna sytuacja! Że też nie wzięłam więcej pieniędzy.

— To co, mamy zlewać benzynę?

Wzruszyłam ramionami:

— Zlewajcie, jeśli chcecie.

Kiedy wreszcie poszli, sięgnęłam po drugiego czebureka. Musiałam zapewnić sobie jakieś pozytywne emocje.

— Nikita! Tak patrzę: czy to ty, czy nie ty?

Mąż mojej znajomej. A ja w takim stroju! Fatalny dzień.

— Słuchaj, pożycz sto rubli.

Posłusznie wyciągnął z kieszeni pieniądze.

— Dzięki — pomachałam mu i uśmiechnęłam się promiennie. — Zamów sobie czebureki, nie pożałujesz!

Wyjechałam ze stacji. Była dopiero ósma rano. Co ten typ robił tu o tej porze? Pewnie wracał od jakiejś panienki. Muszę powiedzieć o tym jego żonie. Chociaż on pewnie powie jej o mnie dokładnie to samo.

Zaszłam w ciążę po roku znajomości z Romą. Po kolejnych sześciu miesiącach wzięliśmy ślub. Teś był przekonany, że w jego synu nie można się zakochać bezinteresownie, i postanowił wystawić mnie na próbę. Wyjechaliśmy na rok do Londynu, gdzie Roma studiował zarządzanie. Żyliśmy za jego marne stypendium. Nie miałam gosposi, a sprzątaczką przychodziła raz w tygodniu. W dodatku, jeśli w domu był bałagan, żądała wyższej stawki. Takie zasady panują w Anglii. Dlatego przed jej przyjściem sprzątałam cały dom.

Na szczęście po roku wróciliśmy do Moskwy. Roma zaczął pracować w firmie ojca. Jego rodzice sprawili nam mieszkanie, ja dostałam kartę kredytową. Od razu nakupiłam milion tanich ciuchów na wyprzedaży. Wieczorem ledwie mogłam się doczekać Romy, tak bardzo chciałam mu się pochwalić bogatą garderobą. Dla niego też to i owo wypatrzyłam. Na wyprzedaży, rzecz jasna. Roma przyszedł, obejrzał moje nabytki, pocałował mnie, spakował wszystko do czarnego worka na śmieci i wyniósł go do samochodu. Następnego dnia jego kierowca zawiózł worek jakimś uchodźcom. Żeby mnie pocieszyć, Roma odłożył spłaty kredytów

i ponownie wydał mi moje miesięczne apanaże. Pamiętam do dziś, że kupiłam wtedy garsonkę w jednym z butików w Hotelu Słowiańskim. I dwa podkoszulki. Roma był usatysfakcjonowany. Poczulałam się bogata.

Mimo wszystko nadal lubię kupować sobie łąszki na wyprzedazach. Albo w outletach. A najbardziej — w Chinach. Byłam tam tylko jeden dzień, przejazdem, ale do dziś jestem pod wrażeniem. Nic nie kosztuje więcej niż pięć dolarów.

Opowiadałam o tym przyjaciółkom. Jednym aż się oczy świeciły z zachwytu. Inne pogardliwie wydymały wargi. Wargi wydymały te, które mają nieograniczony limit na karcie. Albo te, które tak kurczowo trzymają się swojego modelu życia, że odstąpiłyby od niego, dopiero gdyby świat stanął na głowie i modelki ważyły po osiemdziesiąt kilo, a w telewizji puszczali reklamy cellulitu. Ale nawet wtedy bałyby się przyznać, że kupowanie ładnych rzeczy za małe pieniądze jest bardzo fajne. Tak jak seks z Putinem.

Tylko pewne siebie kobiety mówią otwarcie, że chętnie by się z nim przespały. Ja tak mówię. Zrobiłabym to z rozkoszą. Władza jest bardzo sexy.

Mama mnie porzuciła, kiedy miałam trzy miesiące. Oczywiście nie w taki sposób, jak to robią rodzice, którzy oddają dzieci do domu dziecka. Moi dziadkowie wyjeżdżali za granicę z ważną misją partyjną. Zaadoptowali mnie, dzięki czemu mogłam pojechać z nimi. Mama została w Moskwie, żeby dojść do ładu ze

swoim życiem osobistym. Co zresztą nie udało jej się do dziś.

Z nowymi rodzicami wyjechałam do Australii. Wróciłam dopiero po sześciu latach.

Mimo wszystko uważam, że zostałam porzucona.

A jednak żał mi matki. Nie miała więcej dzieci.

Zadzwoniłam do Bubinej, żeby zarezerwowała mi dwa bilety na Cypr w klasie biznesowej. Bubina jak zwykle trochę pozrzedziła, że zostawiam wszystko na ostatnią chwilę, ale obiecała sprawę załatwić.

Bubina była moją nową agentką turystyczną. Nie bez powodu takich ludzi nazywa się nie tylko pośrednikami, ale i agentami. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę tajnych informacji, którymi dysponują, James Bond to przy nich chłopiec na posyłki. Załatwiają wyjazdy i mężom, i żonom. Kochankom mężów i kochankom żon. Dostosowują ceny do wymagań klientów. I planują trasy tak, żeby nie doszło do niepożądanych spotkań.

Zaletą Bubinej było to, że umiała trzymać język za zębami. Nie próbowała wyrabiać sobie pozycji zawodowej opowiadaniem o majątnej klienteli.

Miałam ochotę wyjechać natychmiast. I na zawsze. Zostać gwiazdą w Hollywood, żeby mnie oglądali w telewizji. A potem wrócić i łaskawie kiwać głową na powitanie. Napotyając wszędzie przymilne uśmiechy.

Tydzień temu w restauracji hotelu „Baltshug” spotkałam Natalię Bodianową. Młodszą rosyjską topmodelkę. Stała ze swoim mężem lordem w otoczeniu dziennikarzy. Nie w jakiejś ordynarnej mini,

tylko w zwyczajnych dzinsach. I nie szczebiotała jak głupia, narwana supergwiazda, tylko mówiła — spokojnie i do rzeczy. Nie było w niej nic, co pozwoliłoby mi odczuć swoją wyższość i przejść obok z pobłażliwym spojrzeniem. Obserwowałam ją i próbowałam doszukać się w niej jakiegoś braku. Była idealna. To zepsuło mi humor na cały wieczór.

Wydarłam się na Tamarę, że dom wygląda jak chlew. Milczała, spuściwszy wzrok. I jakoś dziwnie się uśmiechała. W innych okolicznościach nazwałabym taki uśmiech przebiegłym.

— Tamaro, chciałabym, żebyś od dzisiaj zmieniła swój stosunek do pracy.

Uśmiech Kota z Cheshire.

Roma zawsze mi powtarzał: „Jak zamierzasz prowadzić firmę, skoro nie jesteś w stanie poradzić sobie z własną gosposią?”. Tłumaczyłam mu, że zarządzanie księgowymi, inżynierami, kierowcami i robotnikami jest bardzo łatwe. Wszyscy ci ludzie mają taką pracę, jaka im się podoba, daje satysfakcję i do jakiej są wyszkoleni — starają się pracować jak najlepiej, bo to daje im szansę awansu i wzrostu zarobków. Tymczasem zawód gosposi w ogóle nie istnieje. Nie można się go wyuczyć czy wybrać po skończeniu szkoły. Gosposiami zostają kobiety, którym się w życiu nie powiodło. Albo nic więcej nie umieją robić. Albo szukają lekkiego chleba. Gosposia zarabia więcej niż nauczyciel lub inżynier. I poradź sobie człowieku z taką. To już łatwiej ją zwolnić. I przyjąć inną. Dokładnie taką samą. Uczono mnie w szkole, że: „Prosty lud miał wiarę w dobrego cara”. Tak samo ja miałam wiarę w dobrą gosposię.

4

U Artioma wyniknęły powikłania po zapaleniu otrzewnej.

Leżał na żelaznym łóżku i gorzko płakał. Chciał wracać do domu. Taki mały i bezradny, wydawał się więźniem okrucieństwa świata dorosłych. Pragnęłam otulić go kołdrą i posadzić sobie na kolanach. Było nie tą przeklętą kołdrą z kwadratową pieczętką.

Za oknem świeciło słońce, ale jego promienie nie docierały do pokoju.

Słysząc było śpiew ptaków, ale mnie wydawał się on sztuczny, jak odtwarzany z taśmy magnetofonowej. Przyniosłam już z domu prawie wszystkie zabawki, a mimo to ten pokój z żółtymi ścianami i specyficznym zapachem w żaden sposób nie przypominał pokoju dzieciennego.

Dzieci często poznają smak samotności właśnie w szpitalu. Potem, kiedy dorastają, zapominają o swoich przyjaciółach i wrogach, urodzinach i wakacjach, ale szpitalne doznania zapamiętują na zawsze.

Zrezygnowałam z wyjazdu na Cypr. Dobrze, że nie kupiłam biletów w klasie ekonomicznej, boby przepadły. Skąpy dwa razy traci.

Do samochodu wsiadłam w podłym nastroju. Było mi bardzo żal Artioma. Kiedy w szpitalu leży dorosły, pociesza się, że robi to w imię świetlanej zdrowej przyszłości. Mój syn nie rozumiał sensu swojego cierpienia.

Dręczyło mnie pytanie, czy Artiom obarcza mnie winą za to, że w odpowiedniej chwili nie potraktowałam jego skarg z należytą powagą. Że nie wezwałam lekarza, tylko poszłam spać. Myślenie o tym było dla mnie męczarnią.

Postanowiłam jechać do Antona.

W szpitalu dali mi całą listę lekarstw, których nie mieli. I to ma być Centralny Szpital Kliniczny! Jak wobec tego wygląda sytuacja w szpitalach rejonowych? Strach pomyśleć.

Zaparkowałam przy pierwszej z brzegu aptece. Na Brestskiej.

Kupiłam lekarstwa, odświeżające chusteczki i cukierki z witaminami.

Przy samochodzie pożałowałam, że nie pomyślałam o vibovicie. Jak byłam mała, lubiłam wyjadać go z torebki, może Artiomowi też by zasmakował?

Nagle się odwróciłam, i właśnie to mogło mnie uratować. Tuż za mną stał nieogolony mężczyzna w czarnej czapce. Moje oczy były na wysokości jego klatki piersiowej.

A jednak odwróciłam się za późno. Zobaczyłam pięść, która nieubłaganie zbliżała się do mojej twarzy.

Poczułam ból tak silny, że nawet się nie bałam, kiedy czyjeś ręce obłapały mnie i wrzuciły na tylne siedzenie mojego samochodu.

Próbowałam się czegoś chwycić, ale mocne kopniaki wbiły mnie w podłogę między siedzeniami. W ciągu sekundy, jakby patrząc na siebie z zewnątrz, zdążyłam się zdziwić, że się tam zmieściłam.

Chwilę wcześniej stałam na bezpiecznym chodniku, a teraz samochód pędził, ja leżałam pod czyimiś nogami i właśnie uświadomiłam sobie, dlaczego jest ciemno: coś zasłaniało mi oczy.

Poruszyłam się, żeby zrzucić to z głowy, ale od razu dostałam kopniaka. Nie poczułam bólu — albo ze strachu, albo dlatego że kopniak nie był zbyt silny.

Rozmawiali w obcym języku. Nie rozumiałam ani słowa.

Głowa bolała mnie tak, jakby ktoś wetknął w nią ostry widelec i nawijał na niego moje zwoje mózgowo, jak spaghetti.

Nagle zdałam sobie sprawę, że płaczę. Gwałtownie i rzęsiście. Ale bezgłośnie.

— Gdzie dowód rejestracyjny i ubezpieczenie? — usłyszałam głos z silnym akcentem.

Dostałam czymś w głowę, chyba moją torebką.

— Głośniej, suko!

Posłusznie powtórzyłam:

— W schowku.

Starłam się, żeby to, co mówię, brzmiało przy-
milnie. Chciałam odpowiadać na pytania, mówić
cokolwiek, byle tylko ich uspokoić. I wzbudzić litość.

Poczułam na sobie czyjeś twarde ręce... w moich
kieszeniach... na piersiach...

— Masz pieniądze? — ryknął ten sam głos.

Nie, nie będę skomleć. I tak się nade mną nie ulitują.

— Pewnie, że mam. Kto ich nie ma?

Zmrużyłam oczy ze strachu. Wyprężyłam szyję
w oczekiwaniu na cios.

Zaczęli przeklinać. Po rosyjsku. Bardzo wulgarnie.

— A to suka...

„Ukradli mojego mercedesa. Zabrali dokumenty.
Zabijają mnie”.

— Dawaj pieniądze. Gdzie są?

Przygotowałam się na ból. Wszystkie moje mięśnie
napięły się i zastygły.

Odpowiedziałam z całą uprzejmością, na jaką
mogłam się zdobyć:

— Oddajcie mi dokumenty, to porozmawiamy.

Uznałam, że jeśli dokumenty będę miała przy sobie,
to mnie nie zabiją. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że
mogą je zabrać, jak już będzie po wszystkim.

Nie uderzyli mnie.

— Słuchajcie — mówiłam elokwentnie, jakbym
nadal siedziała na szeszlunku na werandzie mojej

daczy — jak chcecie, to wypiszę wam upoważnienie na samochód i jedźcie sobie na zdrowie...

Urwałam w pół słowa. Co za idiotka ze mnie! Jeśli podyktują mi swoje dane do upoważnienia, to już po mnie.

— Albo sami sobie wypiszcie...

Rozmawiali teraz mieszaniną rosyjskiego i ormiańskiego. Albo tadżyckiego. A może czeczeńskiego. Jeden z nich bez przerwy wrzeszczał.

Miałam wrażenie, że cali się trzęsą, tak samo jak ja.

„Są naćpani — pomyślałam z przerażeniem — pewnie na herze”.

— Panowie, porozmawiajmy normalnie. Jak człowiek z człowiekiem. W torebce mam to, co już znaleźliście w kieszeni — koks. Chcecie?

No tak. Nie ma to jak normalnie sobie porozmawiać, kiedy jest się wciśniętym między siedzenia, a usta wycierają dywanik samochodowy.

Nogi na mnie poruszyły się obiecująco, głosy się ożywiły.

O naszej sytuacji w tamtej chwili ktoś mógłby powiedzieć: „Napięcie opadło i pojawiła się między nimi nić porozumienia”.

— Szszsz, wyjebać, szsz, suka...

„Nie zabiją mnie — pomyślałam — jak mi oczy zasłonili, to nie zabiją”.

— Słuchajcie, opowiem wam kawał. O drugiej w nocy facet przeszukuje szafki w kuchni, wchodzi zaspana żona. — „Stara, gdzie jest ta wódka, co tu była schowana”. — „Przecież na pogrzebie ojca ją

wychlałeś". — „Tak mi się coś zdawało, że dawno tatusia nie widziałem".

Ten, co siedział z przodu, roześmiał się.

Znowu zaczęli rozmawiać. Chyba się kłócili. Ozdabiając zdania rosyjskim bluzgiem.

W jakim kierunku jedziemy? Od jak dawna?

Kciukiem ściągnęłam sobie ze średniego palca pierścionek. Nic szczególnego, ale jednak z brylantami. Wyciągnęłam rękę do góry, na wyczcucie.

— Macie pierścionek. Dużo za niego weźmiecie. Z brylantami. Od męża dostałam.

— Kim jest twój mąż?

Myśli przemykały mi przez głowę jak film oglądany na przyspieszonych obrotach: „Dyplomata? Amerykaninem? Deputowanym? Oligarchą?"...

— Oddajcie mi dokumenty — wyjęczałam.

„...Milicjantem? Prokuratorem? Artystą?"

Co mam powiedzieć? Nie mogę ich wystraszyć. Ani za bardzo uspokoić.

— To może opowiem wam jeszcze jeden kawał, a wy mi za to oddacie dowód rejestracyjny, co?

— Dobra.

Dostałam lekkiego kopniaka w brzuch.

— Przychodzi baba do lekarza: „Panie doktorze, wszystko mnie denerwuje". Lekarz pyta: „Co na przykład?". A baba na to: „Nie wkurwiał mnie, głąbie!".

Zgodnie zarechotali. Poczułam się jak aktorka nagrodzona owacjami po pierwszym występie.

Ten, który siedział z przodu, przestał się wydzierać.

Minęło już tyle czasu, że pewnie zdążyliśmy wyjechać z miasta.

— To twój adres? Masz dzieci?

Co mnie podkusiło, żeby wziąć ze sobą dowód osobisty? Znowu rozbolała mnie głowa.

— Tam jestem zameldowana. Ale mieszkam za miastem. Na Rublowce, pewnie słyszeliście? To wiecie, że na Rublowkę się ot tak nie wjedzie. Wszędzie kamery i ochrona. Lepiej się tam nie pchajcie. W Moskwie też jest pełno mercedesów.

Chciałam jeszcze powiedzieć: „Proszę was, wypuście mnie”. Tak bardzo chciałam to powiedzieć! Jeszcze bardziej, niż wyznać miłość Sierioży Chramcowowi, kiedy miałam piętnaście lat.

Ustalali coś między sobą. Myślałam w napięciu: „To dla mnie dobrze czy nie?”.

Samochód rzadziej się teraz zatrzymywał. Widocznie skrzyżowań ze światłami było coraz mniej.

— Boże, pomóż mi... — zaczęłam mamrotać, beładnie dobierając słowa. Mówiłam cicho, ale tak, żeby mogli uchwycić istotę rzeczy. — Panie, ulituj się nad nami grzesznymi, wspomóż nas...

Znowu dostałam kopniaka.

— Co tam gadasz?

— Miłosierny Boże, twoja łaska... — w tym duchu zapamiętane pomrukiwałam przez kilka minut. Jakbym śpiewała bez melodii.

Kilka rąk naraz szarpnęło mnie ku górze. Zapiszczałam ze strachu. Zapomniałam o wszystkich swoich podstępach. Mój pisk przeszedł w krzyk. To nie ja krzyczałam, tylko moje usta. Same. Moja głowa. Ciało. Serce. Ręce. Wszystko skończone. Krzyczałam tak rozpaczliwie jak dziecko, które się rodzi.

I nie rozumie, dlaczego krzyczy. Ale krzyčeć musi.

Uderzyłam głową w drzwi. Przed oczami miałam kręcące się koło. Moje ciało poturlało się po asfalcie. Poruszyłam ręką. Na niebie zbierały się chmury. Żyłam. Wyrzucili mnie z samochodu.

Zerwałam się i pobiegłam. Biegłam co sił w nogach. Chciałam się obejrzeć za siebie, ale się powstrzymałam.

Kiedy nie mogłam już biec, zaczęłam iść. Szłam bardzo długo. Nic nie jechało. Po obu stronach drogi był las.

Zmęczyłam się i usiadłam na poboczu. Rozpłakałam się.

Byłam sama w lesie, pobita i wycieńczona. Nie wiadomo gdzie. Bez telefonu.

Gdy usłyszałam warkot silnika i zobaczyłam światła, rzuciłam się na drogę, nawiązując do najlepszych tradycji radzieckiego kina wojennego.

Romy nie było w domu.

Weszłam do wanny. Wskoczyłam, cała mokra pobiegłam sprawdzić, czy drzwi wejściowe są zamknięte, i wróciłam do łazienki.

Rozgrzałam się, dopiero kiedy kilka razy dolałam sobie gorącej wody.

Roma miał spotkanie i jakoś nie kwapił się do powrotu.

Rozpłakałam się.

Mój mąż przyjechał po dwudziestu minutach.

Leżeliśmy, obejmując się, a on gładził mnie po głowie.

Przyniósł mi herbatę i kieliszek koniaku. Wypiłam jedno i drugie, po czym zamknęłam oczy. Z ulgą poczułam, że zasypiam.

Cała Moskwa wydzwaniała do mnie z wyrazami współczucia. Poczta pantoflowa działała bez zarzutu.

Wszyscy byli spragnieni sensacyjnych szczegółów. Czy mnie zgwałcili? Jakie miałam wrażenia? Czy to prawda, że opowiadałam kawały?

Przyjechały Maszka z Andżelą.

Niedawne wydarzenia przyćmiły wszystko, co się działo wcześniej, dlatego przywitałam je z lekkim sercem.

— Nie podnoś słuchawki — poradziła Maszka — niech się skręcają z ciekawości.

— To czym teraz będziesz jeździć? — spytała praktyczna Andżela.

— Czymkolwiek, byle nie mercedesem — odparłam. — Roma da mi jakiegoś volkswagena z firmy.

Ze zrozumieniem pokiwały głowami.

— Sama się boję jeździć tym moim cayenne — wyznała Andżela. — Całą drogę patrzę w lusterko. Horror.

— Na milicji mi powiedzieli, że kobiety, które jeżdżą drogami samochodami, oni nazywają „kami-kadze” — oznajmiłam.

Rano byłam na komisariacie. Zawiózł mnie tam Roma. Zgłosiłam kradzież samochodu. Niech szukają mojego mercedesa.

— No, czysty koszmar — zgodziła się Maszka.

— Przydałby się pistolet albo ochrona — powiedziałam. — Strzelam całkiem nieźle.

— Prawdziwa Nikita! — Andżeli przypomniała się bohaterka znanego filmu.

— Tylko nie wiem, czy zdążyłabym wyciągnąć pistolet.

— Nikita. Ekstra! — podchwyciła Maszka. — Może założymy agencję „Nikita”?

— Będziemy handlować bronią? — spytałam.

— Nie! — Maszka najwyraźniej się rozochociła.

— Agencję ochroniarek. Tego jeszcze nie było!

— To już lepiej robić nasadki na obcas — nie dałam się przekonać.

— Jakie nasadki? — zdziwiła się Andżela.

— Co ty, to jest superpomysł. Ochroniarki będą modne i drogie. Każdy na to pójdzie.

— Faktycznie super — przytaknęła Andżela.

— No dobra! — czułam, że właśnie podjęłam historyczną decyzję. Jak na filmie o oligarchach — oglądamy studentów, którzy oblewają powstanie firmy, a sami wiemy, czym to się skończy. Imperium naftowym.

Andżela nie chciała wejść do spółki:

— Nie nadaję się do robienia interesów. Poza tym nie będę miała czasu na kosmetyczkę i fryzjera. Napatrzyłam się już na te bizneswoman... Przecież one wstają o dziewiątej rano!

Ja byłam gotowa chodzić nieuczesa, bez manikiuru czy czego tam jeszcze — byle z wizytownikiem w torebce.

Maszka uważała, że jej na wszystko starczy czasu.

Mój mąż odniósł się do projektu sceptycznie.

— Może byście na początek zerwały z kokainą? — zaproponował.

— Z jaką kokainą? — zachnęłam się.

— Z tą, po której bez przerwy pociągasz nosem, jakbyś miała chroniczne zapalenie zatok.

— Aa, z tą... — roześmiałam się. — Żartuję. Roma, nie gadaj bzdur. Myślałam, że udzielisz mi wsparcia na nowej drodze życia.

— A ty mi udzielasz wsparcia?

— Jasne, rozumiałam. Dobranoc.

Odwróciliśmy się tyłem do siebie. Każde z nas czuło się obrażone i niedocenione przez swoją drugą połowę.

5

W gazetach „Wiadomości Milicyjne”, „Praca dla Każdego” i „Szukam pracy” zamieściliśmy ogłoszenie:

AGENCJA OCHRONY „NIKITA”
zatrudni kobiety w wieku do lat 35.
Wymagane doświadczenie w pracy w organach
ścigania i znajomość wschodnich sztuk walki.
Wynagrodzenie od 1000 euro.

Wydrukowaaliśmy też sto ulotek z tym samym tekstem i fotografią apetycznej brunetki z wielkim pistoletem.

Kierowca Romy porozwieszał je we wszystkich klubach sportowych, których adresy udało nam się zdobyć.

Jako telefon kontaktowy podaaliśmy numer komórki Maszki.

Nikt nie dzwonił.

Na ogłoszeniu dopisałyśmy: „Przyjmujemy również osoby do przeszkolenia”. Po trzech dniach zgłoszeń było tyle, że Maszka postanowiła kończyć pracę o dwudziestej. Potem wyłączała telefon.

Uznałyśmy, że wcielenie naszego pomysłu w życie jest całkiem realne, i zaczęłyśmy szukać miejsca na biuro. W końcu gdzieś trzeba było przeprowadzać rozmowy kwalifikacyjne.

— Ile pani ma lat? Chce pani pracować w ochronie osobistej? Trenowała pani jakiś sport? Proszę podać nazwisko i numer telefonu. Wszystkiego dowie się pani na spotkaniu. Oddzwonimy w ciągu tygodnia. Proszę przynieść dwa zdjęcia trzy na cztery.

— Halo. Tak. Ile pani ma lat? Chce pani pracować...

— Może ją przesadzimy do innego stolika? — zaproponowała Andżela.

Właśnie przyszłyśmy na obiad do „Cafe Vogue”.

Masza zrobiła obrażoną minę.

— Wszystkiego dowie się pani na spotkaniu...

— A, niech już siedzi — zaśmiałam się. — I tak nie ma wolnych stolików.

Komórka Andżeli też zadzwoniła.

— Tata, no co ty, przecież jutro idę do pracy... Teraz jestem w restauracji z dziewczynami... Jutro przyjadę...

— Coś się stało? — spytałam.

— No... Ojciec mi daje popalić. Chyba jednak muszę wyjść za mąż. Chociaż mąż pewnie będzie jeszcze gorszy niż ojciec.

Podszedł kelner. Zamówiłyśmy sushi.

— Trenowała pani jakiś sport?

— Maszka, chcesz sushi?

Maszka kiwnęła głową, zapisując w notesie kolejny numer telefonu.

— A do jakiej pracy jutro idziesz? — zdziwiłam się.

Trudno mi było wyobrazić sobie Andżelę pracującą. Chyba że na wybiegu dla modelek. I tylko w wypadku, gdyby ten wybieg był jej własnością.

— W takiej jednej kompanii naftowej. — Andżela wypełniła lodem kieliszek białego wina. — Mają biura w Pasażu Smoleńskim. Tak że teraz tam będziemy chodzić do restauracji.

— Fajnie. A co będziesz robić?

— Zajmować się kontaktami z Europą. Przecież znam dwa języki obce.

Popatrzyłam na Andżelę z szacunkiem. Nie z powodu dwóch języków — w końcu mieszkała za granicą — tylko dla jej niezmaconej pewności, że potrafi „zajmować się kontaktami z Europą”.

— Ile ci będą płacić?

Andżela beztrąsco wzruszyła ramionami.

— Na razie nic. To kumple ojca. Za to, że mnie przyjęli, kupili im do biura nowy komputer.

— Dlaczego chce pani pracować w ochronie osobistej?

Przyniesiono sushi. Jak tylko Maszka otwierała usta, żeby włożyć tam rulonik z węgorkiem, od razu dzwonił telefon.

— Jedz. — Zabrałam jej komórkę. — Słucham.

Odezwał się wysoki kobiecy głos.

— Dzwonię w sprawie ogłoszenia.

— Tak. Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia sześć...

Odpowiedziała bez przekonania. Może naprawdę ma trzydzieści sześć?

— Chce pani pracować w ochronie osobistej? — naśladowałam służbisty ton Maszki.

— No... Nie wiem... Myślałam, że powie mi pani coś więcej...

— Trenowała pani jakiś sport?

— Tak, zdobywałam medale w pływaniu.

— Proszę podać nazwisko i numer telefonu.

— Ale chciałam się najpierw dowiedzieć, co to za praca...

— Wszystkiego dowie się pani na rozmowie kwalifikacyjnej. Wtedy będzie pani mogła podjąć decyzję.

Zapisałam jej dane.

— Nie powiedziałaś o zdjęciach — skarciła mnie Maszka.

— Zapomniałam. Zdobywała medale w pływaniu.

— Pewnie, baletnice do nas nie dzwonią. Halo. Ile pani ma lat?...

Andżela wzniosła oczy do góry.

— Ale mam z wami ubaw. Po pachy.

— Co robić, interesy. — Teatralnie rozłożyłam ręce.

Grunt, żeby to weszło w modę. Żeby pojawienie się gdzieś z ochroniarką stało się sprawą prestiżową. I było oznaką powodzenia. Trzeba je dobrze wyszkolić, żeby ich po miesiącu nie zwalniali, jak już je zatrudnią jako ciekawostkę. Powinny stać się niezbędne.

Muszą dbać o bezpieczeństwo klienta, umieć prowadzić samochód, po to by w razie potrzeby zastąpić kierowcę, dobrze gotować, gdyby zaszła konieczność wystąpienia w roli gosposi, mieć dobry gust, żeby móc służyć klientowi poradą w kwestii stroju, i nie być irytującymi pracodawców idiotkami.

To była część naszego biznesplanu.

— Halo. Nie, mężczyzn nie przyjmujemy.

Chciałyśmy zebrać grupę ośmiu dziewczyn.

Świetnie je wyszkolić. Zrobić z nich supermanki. Zorganizować kampanię reklamową — kilka wywiadów w mediach. I sprzedawać je. Po pięć tysięcy miesięcznie. Minus ubranie, stylistka, koszt szkolenia.

Dochód z ośmiu ochroniarek wyniesie czterdzieści tysięcy na miesiąc. Nie wiedziałyśmy jeszcze, ile na nie wydamy. Brałyśmy pod uwagę, że pierwszą grupę będziemy musiały sprzedać taniej. Za jakieś trzy i pół albo cztery tysiące.

Dowiedziałyśmy się, że była już agencja ochrony prowadzona przez kobietę. Ale jako goryli zatrudniała głównie mężczyzn.

Swoją drogą, jak ludzie będą nazywać nasze ochroniarki? Gorylice?

Jechałam z Romą do Artioma.

— Może kupimy mu robota? — zaproponowałam zimnym głosem.

Z nikim nie rozmawiałam tym tonem. Tylko z mężem.

— Jak chcesz. — Obojętnie patrzył w okno.

Byłam pewna, że on też reagował na mnie w szczególny sposób.

— Jedziemy do centrum „Winnie”? — spytał kierowca.

— A bliżej nic nie ma? — Roma okazał niezadowolone.

— Nie ma. — Ciekawe, które z nas jest bardziej niezadowolone.

Czule objęłam Artioma. W szpitalnym pokoju wydawał się mały i bezbronny.

— Tata, chodźmy do restauracji. Chce mi się jeść. Już tu nie mogę wytrzymać. I tak nikt nie zauważy.

Roma nie wiedział, co robić.

— Ubieraj się — mrugnęłam do Artioma.

Przypomniałam sobie, że jak byłam w ciąży z Artiorem, pewnej lutowej nocy w samym szlafroku uciekłam ze szpitala. W kapciach doszłam do samochodu Romy. Śnieg padał wielkimi płatkami. Latarnie chwiały się na wietrze. Czułam się jak uwięziona w zamku If, której pomaga w ucieczce hrabia Monte Christo — Roma.

Artiom zamówił spaghetti z małżami i pizzę.

— Synku, chyba nie możesz jeść takich rzeczy.

— Mogę — zapewnił mnie.

Roma jadł pomidory z grubymi plastrami mozzarelli.

— Jak będę duży, to zostanę dyrektorem — nieoczekiwanie oznajmił Artiom, nie trafiając widelcem ze spaghetti w łyżkę.

— Dlaczego akurat dyrektorem? — spytałam bez wielkiego zaskoczenia.

— W szpitalu pielęgniarki nic same nie mogą robić; tylko dyrektor ciągle zabrania albo pozwala. Jak będę duży, zostanę dyrektorem, będę leżał w szpitalu i na wszystko sobie pozwolę.

— To chcesz być dyrektorem szpitala? — upewniał się Roma.

Artiom musiał się chwilę zastanowić.

— Nie. Po prostu dyrektorem.

— Ja marzyłam o pracy w metrze — zwierzyłam się. — Myślałam, że nie ma większego szczęścia, niż mówić pasażerom: „Następna stacja — Sokolniki”.

Mój syn popatrzył na mnie z szacunkiem. Jeszcze nigdy nie był w metrze.

— A ty kim chciałeś być? — spytałam Romeę.

Roma śmiesznie zacisnął usta i zmrużył oczy. Wyglądał jak trzy małpki razem wzięte: „Nie mówię”, „Nie słyszę” i „Nie widzę”.

— No, powiedz! — nie dawałam za wygraną.

— Powiedz, tata. Kim?

— Karzełkiem.

Ja i Artiom parsknęliśmy śmiechem.

— Kim? Karzełkiem? Ale dlaczego?

— To bardzo intymna sprawa — pokpiwał Roma.

Kelner w klasycznym czarnym fartuchu pozbiierał talerze i przyciągnął do stolika wózek z deserami. Nawet nie spojrzeliśmy na nie.

— Zakochałem się w jednej karlicy. Występowała w cyrku. Była asystentką magika. Wkładał ją do czarnej skrzyni i ucinał jej głowę. A tata mi powiedział, że karlice wychodzą za mąż tylko za karzełków.

— Jak mógł cię tak oszukać! — oburzyłam się.

— Teraz rozumiesz, Artiom, dlaczego pokochałem twoją mamę? Od dzieciństwa podobały mi się kobiety nietypowe.

— Ale mama nie jest karzełkiem!

— Nikt nie jest doskonały...

Rzuciłam w męża serwetką. Uchylił się i serwetka trafiła w kelnera.

Artiom śmiał się tak głośno i zaraźliwie, że starsi państwo przy sąsiednim stoliku też się uśmiechnęli. Odpowiedzieliśmy im uśmiechem.

Nasz syn stał w drzwiach szpitalnego pokoju i machał do nas. Chciało mu się płakać, ale się powstrzymywał.

— Strasznie schudł — powiedziałam do Romy w samochodzie.

— Kiedy go wypiszą?

— Pojutrze. Jutro będą wyniki badań i jak wszystko będzie w porządku, zabieramy go do domu.

— Dyrektor — uśmiechnął się Roma.

— Karzełek! — odpaliłam bez namysłu.

— Uwaga! Drzwi się zamykają — wyrecytował Roma, ściskając nos palcami.

Dałam mu kuksańca w bok, a on zaczął mnie łaskotać. Wiłam się i wrywałam, próbując połaskotać jego. Poddałam się, kiedy wykręcił mi rękę.

— Au, to boli!

Po czulej szarpaninie musieliśmy trochę odsapnąć.

— A co z tą twoją agencją? — spytał Roma.

— W porządku. Dużo dziewczyn się zgłasza.

— Fajne jakieś?

— No, same karlice.

Znowu wymieniliśmy kilka lekkich kuksańców.

— I co dalej?

— Szukamy biura. I myślimy nad szkoleniem.

— Ostatnio wydali zgodę na wynajmowanie Rosjanom biur zagranicznych placówek dyplomatycznych. Z ochroną, po remoncie i niedrogo.

— Tak? — zainteresowałam się.

Roma kiwnął głową:

— Teraz obcokrajowcy mogą kupować nieruchomości, to się prz przenosili. A budynki stoją puste.

— Dzięki — powiedziałam szczerze.

— Poza tym rozmawiałem z Pałyczem. Zna kogoś, kto mógłby uczyć ochroniarzy. Chyba się szkolił w Mosadzie. Zapisz numer Pałycza.

Zapisałam jak kretynka i rzuciłam się mężowi na szyję. Roma nie wiedział, co ze sobą zrobić z zaskoczenia.

— To daj mi ten numer — przypominałam.

Zanim Roma wysadził mnie przy moim samochodzie, zapytałam go o jego interesy.

— A dziękuję. Jakoś idą.

Uśmiechnęłam się tak, jakby tylko taka odpowiedź mogła mnie uszczęśliwić.

Chciałam w ten sposób wyrazić mu wdzięczność za jego pracę.

Pojechałam na zakupy do supermarketu.

Zadzwoił Anton.

— Gdzie jesteś?

— Ja? No... Właściwie to nigdzie — nie wiedziałam, co powiedzieć. Anton uważał, że jedzenie można

kupować tylko w „Stockmannie”. Zupełnie nie miałam ochoty słuchać kolejnego wykładu na temat zdrowego odżywiania.

— Pewnie robisz zakupy? — spytał Anton z właściwą sobie przenikliwością.

— Żebyś wiedział — roześmiałam się.

— Jedź do „Stockmanna”. — Anton był stanowczy.

— Nie mogę. Mój mąż jest początkującym biznesmenem i na wszystkim muszę oszczędzać.

Po tych słowach znowu poczułam się niezręcznie.

Anton pewnie też. Zapadła cisza.

— Chyba trochę przesadzasz... — powiedział niepewnie.

— Ostatnio mam raczej tendencję, żeby wszystko bagatelizować.

Machinalnie brałam towary z półek i wkładałam je do koszyka. Rozmowa się nie kleiła. Po co poruszyłam ten temat!

Wszystko przez Romę.

— Zadzwoń, jak wyjdiesz ze sklepu. Niedługo wyjeżdżam.

— Dobrze.

Dopiero po kilku minutach zdałam sobie sprawę, że nie spytałam go, dokąd jedzie.

Wybrałam najdroższy ser, jaki był w sklepie.

— Jeśli można, poleciłbym pani inny gatunek — usłyszałam.

Za mną stał mężczyzna nienaturalnie wysokiego wzrostu, jak na szczudłach. I z odstającymi uszami

— dla równowagi. W jego wózku leżały ser, czekoladki Mozart i dwie butelki Moet & Chandon. Wszystko jasne.

— Czy mogę się przedstawić?

Milczałam ponuro.

Dopiero co skarżyłam się Katii, że od dawna nikt mnie nie podrywa.

„Bo masz na czole wypisane: Nie zbliżać się - mężatka!”

„A ty co masz wypisane? — zainteresowałam się”.

„Kto spróbuje, nie pożałuje”.

Czyżby mój napis zniknął?

Dryblas podał mi wizytówkę. Wszystko miał długie: ciało, ręce i palce, w których trzymał niepozorną tekturkę z rosyjskim godłem. Nos też.

— Rusłan.

Na wizytówce było napisane: „Doradca Szefa Kancelarii Dumy FR”.

— A nie ma pan drugiej? — spytałam.

Moja znajoma na plaży w Strogino dostała wizytówkę. Napis na jednej stronie głosił: „Pierwszy Doradca Prezydenta FR”, a na drugiej: „Międzynarodowe Stowarzyszenie Bankierów — Dyrektor Generalny”.

— Nie. — Wyglądało na to, że dryblas nie kłamie. Jakby ze współczuciem dodał: — A pani czym się zajmuje?

— Nie jestem gotowa, żeby udzielać odpowiedzi na pańskie pytania.

Rozejrzałam się z konsternacją. Też mi rozmowa — na tle martwych kurczaków.

— To może pani się przygotuje, a ja za jakiś czas zadzwonię?

— Sama do pana zadzwonię. Do widzenia.

Pchnęłam swój wózek. Dryblas się odczepił. Pewnie napis na moim czole powrócił.

Już od dwóch godzin siedziałyśmy przy automatach do gry w „Przodowniku Pracy”.

Mnie się nie wiodło, a na Maszkę wygrane sypały się jak konfetti na Nowy Rok.

Andżela grała ze zmiennym szczęściem. Swoje rzadkie wygrane nazywała „beknięciami jednorękiego bandyty”.

Anton poleciał do Peru. Żywo wyobrażałam sobie, jak siedzi w skórzanych sandałach pod chybotliwym trzciniowym daszkiem i popija herbatę z koką. Jednocześnie wpija w opalone kobiece ciała w kolorowych bikini lępką wzrok Jamesa Bonda.

Wąski otwór wessał kolejne pięćset rubli.

— Co robimy z biurem? — Maszka właśnie wymieniała żetony na cash.

Wzruszyłam ramionami i zamówiłam martini z lodem.

— Trzeba przecież gdzieś przeprowadzać interview. Dla mnie też martini. Bianco. I poproszę więcej lodu.

— Zamówmy koks — zaproponowała Andżela.

— Dobra myśl — zgodziła się Maszka.

— Możecie przeprowadzać te swoje interview w moim biurze.

Jednocześnie z Maszka odwróciłyśmy głowy i zamarłyśmy.

— No tak. — Andżela chyba nie była pewna, co nas tak dziwi. — Mam ogromny gabinet. Tylko dla siebie. Zapraszam.

Pomysł bardzo się nam spodobał.

Postanowiliśmy przeprowadzać interview codziennie. I umawiać na spotkanie nie więcej niż siedem osób. Żeby nie tracić ostrości spojrzenia.

Oprócz Andżeli w gabinecie siedziała sekretarka. Młoda dziewczyna w tanich rajstopach, z książką *Marketing* Philipa Kotlera na biurku. Patrzyła na Andżelę wzrokiem pełnym uwielbienia i była gotowa na każde jej skinienie. Andżela zamawiała dla niej kawę i pizzę z restauracji na parterze.

Uwielbienie sekretarki w pewien sposób usprawiedliwiało obecność Andżeli w biurze.

Ciekawe, czy moja przyjaciółka podejmie czynności kwalifikujące się jako molestowanie seksualne? Przypomniałam sobie nietypową noc na daczce. Ku mojemu zaskoczeniu poczułam ukłucie zazdrości. Sekretarka skądinąd była niczego sobie.

Dziewczyny kolejno wchodziły na rozmowę. Robiliśmy notatki i prosiłyśmy następną dopiero po omówieniu poprzedniej.

Brałyśmy je w krzyżowy ogień pytań.

Kandydatkom śmiałości nie brakowało i żwawo odpowiadały na wszystkie pytania.

Żeby nam się nie pomieszały, każdej z nich nadałyśmy przydomek.

Przydomek: Perhydrol. Lat dwadzieścia pięć. Wykształcenie: inżynier. Angielski — mówiony. Tęskniła za mężem.

Maszka: — Będzie pani mogła być całą dobę u klienta? Co na to mąż?

— Nie wiem. — Śmieje się. — Całą dobę nie mogę. Tylko do szóstej.

Ja: — Co to znaczy być kobietą?

— Zawsze być świadomą swojej niższości.

Z marzeniem o tym, że ochroniarka z firmy „Nikita” będzie pociągającą i inteligentną pięknoscią w typie sportowym, musiałyśmy się pożegnać. Wszystkie kandydatki były odległe od tego ideału.

Przydomek: Ola. Ubrana w nienagannie skrojony kostium ze spodniami. Założyła nogę na nogę. Łokciem oparła się o kolano, zginając plecy. Jakby pozowała Rodinowi. Męski typ kobiety. Pewnie długo ćwiczyła swoje zimne, badawcze spojrzenie.

— Rok pracowałam w ochronie.

„Hurra! Nareszcie się dowiemy, jak to powinno wyglądać!” — przeleciało mi przez głowę. Ja: — Kogo ochraniałaś?

— Córkę klienta.

Maszka: — Co należało do twoich obowiązków?

— Musiałam ciągle być przy niej.

— Ja: — Dobrze strzelasz?

— Miałam broń, ale...

Ja: — Ale co? Na szkoleniu trzydzieści procent zajęć to będą ćwiczenia na strzelnicy.

— Nie umiem strzelać.

Maszka: — To jak mogłaś ochraniać tę dziewczynę?

— Ale... tam nie było realnego zagrożenia...

Maszka: — Chyba jednak było, skoro cię zatrudnili. Wiesz, że w oczywisty sposób narażałaś ją na niebezpieczeństwo?

Ja: — Wychodzi na to, że ryzykowałaś cudze życie!

— No, powiedziałam kiedyś klientowi, że muszę poćwiczyć strzelanie...

Ja: — I co on na to?

— Powiedział: to sobie ćwicz.

Dałyśmy jej ankietę do wypełnienia. Trzy strony. Pytania dotyczące kandydatki, jej przeszłości i przyzwyczajęń. W prawym rogu — miejsce na zdjęcie.

Sekretarka Andżeli wkładała każdą ankietę opatrzoną naszymi uwagami do szarej teczki z napisem „Akta osobowe” i pisała na niej nazwisko dziewczyny. Obok stawiała znaczek +, ? albo -, wybierając go na podstawie naszych komentarzy.

Przydomek: Harley. Przyjechała na motocyklu. Cała w skórze. Popękanej. Czterdzieści lat. Zbyt czarne włosy, zbyt grube kreski wokół oczu. Od razu było widać, że musiała się nauczyć walczyć ze swoimi życiowymi problemami.

Ja: — Co to znaczy być kobietą?

— To znaczy być Gajuszem Juliuszem Cezarem. Umieć robić pięć rzeczy naraz.

Dziewczyny bardzo się różniły. Ale żadna nie była idiotką. Ciekawe, że u mężczyzn ochroniarzy zauważyłam odwrotną tendencję.

Przydomek: Madame. Doskonały przykład kobiety, której nie można sobie wyobrazić bez depilacji. W uszach — brylanty. Na palcach — manikur.

Czarna sukienka, równie dobrze prezentująca się w roli wieczornej kreacji, co koszuli nocnej. Marzenie sknery.

Ja: — Nie boi się pani, że oferowane przez nas warunki finansowe mogą nie odpowiadać pani pozycji społecznej?

— Chodzi o kolczyki? Są sztuczne.

Maszka: — Spełnia pani nasze oczekiwania. A my pani?

— Co to znaczy być kobietą?

— Umieć płakać wtedy, kiedy trzeba.

Zadzwoiłam do Pałycza.

Pałycz był dyrektorem agencji ochroniarskiej pracującej dla Romy. „Szturm” albo „Sztorm”. A może „Neptun”...

— „Nikita” to świetny pomysł! — pochwalił.

— Mam człowieka dla was. Poważny facet. Pracował za granicą. Uczył się w szkole... no, jak jej tam? W każdym razie międzynarodowej. Ma certyfikat. Zresztą sama zobaczysz. Oczywiście jeśli się zgodzi. Ma pełno roboty. Takich u nas na palcach można policzyć.

Podziękowałam.

— Nie ma za co. Roma mnie prosił. To dzwoń, jak by co. Mam już dwie agencje zarejestrowane, w tym jedną z bronią palną. Może razem coś zrobimy.

Ustaliliśmy, że przyjadą do naszego biura. Na rozmowy. Podałam adres firmy Andżeli.

Następnego dnia o piątej.

I tak nie dałabym rady do tego czasu niczego wynająć.

Maszka przyprowadziła stylistę. Rozczochrany młody człowiek dopiero co ukończył najstłynniejszą moskiewską szkołę wizażu. Pasza Szmakow.

— Przecież je widziałas — wyjaśniała Maszka, mając na myśli nasze dziewczyny — to wiesz, jak bardzo potrzebują stylisty. Jak powietrza. Jak wypłaty.

Maszka nie zdejmowała czarnych okularów. Bała się wystraszyć stylistę swoimi rozszerzonymi źrenicami. Co jakiś czas wybiegała do toalety, po czym wracała, pociągając nosem i oblizując górne dziąsło.

Wygląd stylisty nie budził mojego zaufania.

Postanowiłam zrobić mu test.

— A mnie co by pan doradził? — spytałam z drwiną w głosie, licząc, że wprawię go w zakłopotanie. Co może mi radzić dwudziestoletni absolwent szkoły wizażu? Choćby i cieszącej się prestiżem. W środowisku stylistów.

— W zasadzie widać, że ma pani wypracowany image. — Pokiwał głową i uśmiechnął się.

Siedziałam z wyrazem twarzy: „Co też pan mówi?”.

— Ale oczywiście bejsbolówkę lepiej zakładać wtedy, kiedy to pasuje do stylu, a nie jak się ma nieumyte włosy.

Popatrzyłam na niego zaskoczona:

— Umyłam włosy. Tylko nie zdążyłam ich wy modelować.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Weszła Maszka.

— I co? Podoba ci się?

Wzruszyłam ramionami:

— Ujdzie.

Uzgodniliśmy, że zacznie pracę, kiedy tylko ustalimy skład pierwszej grupy.

Ogólny wizerunek, fryzura, kolor włosów, makijaż, sposób zachowania — o tym wszystkim będzie mówił naszym dziewczynom za pięćset dolarów miesięcznie. Cena nam odpowiadała. Jemu też. Podejrzewałam, że będzie to pierwsze pięćset dolarów w jego życiu.

Z korytarza dobiegł stukot obcasów, który zawsze zwiastował pojawienie się sekretarki.

Maszka już dawno zamówiła przekazywanie rozmów na jej numer, tak że teraz to ona rozmawiała z poszukującymi pracy. Podawała adres i wyznaczała termin interview.

— Jutro od piątej do dziesiątej? — spytała nas.

— O piątej przychodzi Pałycz z ochroniarzem — przypomniałam.

— To od szóstej.

— OK.

— A teraz już dwie czekają.

— Poproś jedną.

Przydomek: Crazy. Lat dwadzieścia. Pulchne dziewczę z dołeczkami. I błyszczącymi oczami. Bardzo sympatyczna. Twierdziła, że interesuje się wschodnimi sztukami walki. Odniosłam wrażenie, że interesuje się raczej kosmetykami. I to za bardzo. Pewnie próbuje zamaskować piegi.

Ja: — Jaka jest najważniejsza cecha pani charakteru?

— Mogłabym zabić człowieka.

Ja: — Dziękuję. Na pewno do pani zadzwonimy.

Maszka: — Proszę wziąć ankietę od sekretarki.
Przyniosła pani zdjęcia?

Mój wzrok wyrażał — lekko mówiąc — zdumienie.

Masza łobuzersko uśmiechała się od ucha do ucha.

Przydomek: Ciapa. Nauczycielka w szkole muzycznej, lat trzydzieści jeden.

Ja: — Czego się pani spodziewa po tej pracy?

— Czy ja wiem? Jakiejś odmiany.

Wparowała Andżela.

— Mój szef przyjechał!

— Co robimy?

No tak, szef Andżeli ma pełne prawo być niezadowolony, że w jego biurze odbywają się podobne imprezy.

— Ile dziewczyn zostało? — spytała Maszka.

— Dwie.

— Głupio będzie odesłać je do domu. — Maszka się zamyśliła.

— Nie trzeba. Powiedziałam mu, że właśnie rozmawiam z kandydatkami na stanowisko logistyka — uśmiechnęła się Andżela.

— A co on na to? — spytałam.

— Oczywiście był zaskoczony. Ale powiedział, że sam chciałby z nimi porozmawiać.

— Andżela, to wy szukacie logistyka?

— E, nie. On po prostu leci na wszystkie baby.

Maszka poszła do szefa w roli kandydatki, a ja dalej prowadziłam interview.

Przydomek: Parasolka. Bez przerwy miętosila ją w rękach.

— A może pani zagwarantować, że moi klienci...
Wśród nich będą mężczyźni, prawda?

Ja: — Naturalnie.

— Że oni nie będą... no...

Ja: — Co?

— No...

Ja: — Chodzi pani o molestowanie seksualne?

— Tak.

Ja: — Jeśli się pani boi, że nie będzie w stanie sama siebie obronić, to jak chce pani bronić innych?

Przydomek: Kratka. W kratkę spódnica, torebka i spinka do włosów. Młodziutka dziewczyna z krótką grzywką. Powiedziała, że w zawodzie ochroniarza pociąga ją romantyzm. I oczywiście pieniądze. Że chce się nauczyć bić i strzelać. Pracę wyobraża sobie na podstawie filmu *Bodyguard*. Takich nam trzeba! Nie starała się wyglądać jak mężczyzna. Na pewno włoży całe serce w ten zawód. W razie czego zastąpi klienta własną piersią. Urodzona do ryzyka i przygód.

Własnoręcznie wymalowałam na teczce tłusty wykrzyknik.

— Co to znaczy być kobietą?

— Zmuszać innych do myślenia, że bycie kobietą jest czymś niezwykłym.

Jak zwykle pod wieczór od tych wszystkich kandydatek na ochroniarki kręciło mi się w głowie.

Przestałam je rozróżniać. Nawet przydomki nie pomagały.

Zrozumiałam, co znaczy być zmęczonym pracą.

Miałam nadzieję, że dziewczyny są nazbyt rozmaite,
żeby praca mogła przejść w rutynę. Weszła Maszka. Z
wizytówką w ręku.

— Zadzwoń do mnie — oznajmiła ponuro.

— Wychodźcie szybko. — Andżela dosłownie
wypchnęła nas za drzwi. — Bo jeszcze wezwie Nikitę!

6

Przyjechałyśmy do restauracji „Morze Żółte”.

Maszka zamówiła koktajl „Grenadyna” w shakerze.

Ja — przezroczysty makaron i wermut.

— Zamów też jakiś koktajl — poprosiła Maszka.

— Dlaczego? — zdziwiłam się.

— Jest promocja: jak zamówimy trzy koktajle, to dostaniemy shaker w prezencie! — wyjaśniła Maszka, która zawsze leciała na gratisy.

— No nie wiem, w nich jest wódka... A teraz drogówka bardziej kontroluje...

— Co ty, one są jak oranżada! — namawiała mnie Maszka.

— Słuchaj, przecież mówiłaś, że właściciel jest twoim znajomym. Poproś go o shaker, chyba ci nie pożałuje, co?

— Nie. — Masza pokręciła głową. — Jak wszyscy znajomi zaczną go prosić o shakery, to w końcu będzie musiał sprzedawać koktajle w plastikowych kubeczkach.

— Niby tak. — Byłam zmuszona przyznać Maszce słuszność.

— Ja, jako dobra koleżanka, zrobię na odwrót — wyjdę naprzeciw jego zabiegom marketingowym, kupię trzy koktajle i tym samym przyczynię się do rozkwitu jego interesu!

Przemowa Maszy całkowicie mnie przekonała i zamówiłam sobie koktajl „Cytrusowy”. Z wódką Absolut Citron.

Po upływie trzech godzin byliśmy już właścicielkami pięknego szklanego shakera.

Maszka pojechała pokazać się w towarzystwie, a ja wyruszyłam do domu.

Na Alejach Leniskich dogonił mnie samochód drogówki.

Zapomniałam włączyć światła.

Kazali mi dmuchnąć w rurkę.

— Zabieramy prawo jazdy — oznajmił milicjant z takim wesołym uśmiechem, jakby pytał: „Jaki jest pani stosunek do latających talerzy?”.

Dałam mu dwieście dolarów, a on obiecał asystować mi pod sam dom. Na sygnale.

Mało policzył, jak za taką usługę.

Po drodze myślałam o tym, że nie mamy teraz pieniędzy, a ja wydaję dwieście dolarów na jazdę z akompaniamentem. I jeszcze sto — na shaker, który w IKEA nie kosztuje więcej niż piętnaście. Dzieje się tak dlatego, że moje pieniądze są jak gdyby oddzielne.

Mam limit na karcie kredytowej i mogę wydawać go, jak chcę. A gdybyśmy z Romą prowadzili wspólne rachunki i żadnych limitów bym nie miała, to bardziej troszczyłabym się o rodzinny budżet. Może w lepszych czasach wydawałabym więcej, niż życzyłyby sobie Roma, ale za to w gorszych nie szastałabym pieniędzmi na prawo i lewo.

Z tym limitem to był pomysł Romy.

Zamrugałam milicjantowi światłami. Radiowóz zrównał się z moim samochodem.

— Zmiana planów! Jadę na Spiridoniewkę! — krzyknęłam przez otwarte okno.

Milicjant pokiwał głową i włączył syrenę.

Jak wiatr pomknęłam do Katii.

Katia swoim zwyczajem ćwiczyła jogę.

— Fajnie tu sobie medytujesz. — Wskazałam głową stolik z gazetami. Okładka lśniącego czasopisma była obiecująco przysypana gramem kokodżambo.

— Czym chata bogata — zaprosiła mnie Katia szerokim gestem ręki.

Wyciągnęłam się na podłodze tuż obok stolika.

— O czym myślisz? — spytała Katia.

— O tym, że mam już dosyć volkswagena. Chcę mercedesa.

— Daj już temu spokój. Rób, co ci powiem.

— Dobrze.

— Rozluźnij powieki. Są teraz zupełnie wiotkie.

Moje powieki poruszyły się i rozluźniły.

— Twój nos... Twoje wargi... Twoje policzki...

Czuję, jak z mojej twarzy opada napięcie i skóra się wygładza.

— Twoja szyja... Twoje ramiona... Twoje piersi...
Twoje ręce...

Koncentrowałam się na tej części ciała, którą wymieniała Katia. Kiedy doszła do kolan, prawie zasnęłam. Nie czułam swojego ciała. Jak w stanie nieważkości.

— Twój mózg żyje — mówiła Katia — i skupia się w nim cała twoja energia. Oddychasz równo, twoje myśli są daleko od ciebie. Są w twojej przyszłości. Co byś chciała tam zobaczyć? Teraz to widzisz. Wszystko widzisz bardzo wyraźnie, ze szczegółami. To się dzieje naprawdę. Odczuwasz prawdziwą radość. Widzisz żywych ludzi. Robią i mówią dokładnie to, co chcesz.

Stoimy w wielkiej, jasno oświetlonej sali. Ja i moja teściowa. Nie widzę siebie, nie wiem, co mam na sobie, odczuwam siebie od wewnątrz. Jestem w świetnym nastroju. Teściowa ma suknię balową. „Mamo, wyglądasz dziś olśniewająco” — szepczę jej filuternie. „To dzięki tobie” — odpowiada. „Zatańczymy czy się przejdziemy?” — zwracam się do niej jak do najlepszej przyjaciółki. „Zjedźmy lody — proponuje. — Spójrz na tego z wąsami, oczu z ciebie nie spuszcza”. „Ależ skąd, on jest wpatrzony w ciebie”. Gra muzyka, a ja doznaję radosnego podniecenia na myśl o czekającym nas wieczorze.

Kiedy otworzyłam oczy, Katia akurat kończyła dzielić koks na kreski. Za pomocą karty rabatowej restauracji „Mao”.

Uświadomiłam sobie, że jestem podekscytowana. Jakbym właśnie wróciła z najlepszej zabawy.

Na jakimś balu byliśmy z moją teściową przyjaciółkami. I było nam wesoło.

A na co mi taka przyjaciółka? Ta stuknięta teściowa?

— Chcę mercedesa. Nie mogę już jeździć volkswagenem.

Katia wzruszyła ramionami:

— Może pojedziemy do „Galerii”? Dzisiaj czwartek, wszyscy się bawią.

— Wszyscy się bawią codziennie — wypowiedziałam swój pogląd.

Pojechaliśmy do „Galerii”.

Niczego nie piłam.

Zamówiłam ciepłe sushi. I carpaccio z łososia.

W restauracji było pełno ludzi. Jak zawsze.

I jak zawsze nie było wolnych stolików.

Tego dnia jako hostessy pracowały Natasza i Żenią.

Tylko od nich zależy, czy się dostanie stolik. I jaki. Co w dużej mierze decyduje o tym, czy wieczór będzie udany.

Hostessy z „Galerii” znają całą śmietankę towarzyską Moskwy. Aż dziw, że jeszcze ich nie zapraszają do talk-show w roli ekspertów od życia wielkiego świata.

Natasza zaprowadziła nas na kanapy. Tak jak chciałyśmy.

Z Katią witali się prawie wszyscy mężczyźni. A mnie przyglądali się badawczo. „Myślą, że jestem jedną z jej prostytutek czy co?”

Przypomniałam sobie o napisie na moim czole — to mnie uspokoiło.

Do naszego stolika przysiadł się gruby facet w typie południowca.

Katia opowiadała mu o naszej agencji.

Facet skinął na kelnera, który przez całą salę niósł za nim pękaty kieliszek z koniakiem.

Kelner postawił koniakówkę na stole.

— Przyniesz szampana... — mężczyzna obrzucił nasz stolik fachowym spojrzeniem — i jakieś owoce...

Katia przedstawiła nas sobie. Już o nim słyszałam. Jak się zmierzy jego objętość w baryłkach, od razu wygląda szczupłej. I bardziej sympatycznie.

Baryłka to miara objętości ropy. Wiem to od Andżeli. Nie na darmo chodzi do pracy. Nie po pieniądzu, tylko po wiedzę.

— Mam taką dziewczynę — nieoczekiwanie oznajmiła mi Nie-Bardzo-Gruba-Baryłka — sam ją wszystkiego nauczyłem. Chociaż tak naprawdę jedyne, co musi umieć, to strzelać. Jestem pewien, że w razie czego pierwsza wyciągnie pistolet.

Nalał nam szampana.

— A wygląda jak szara myszka. Pozory mylą — mówił mi do ucha całkowicie trzeźwym głosem.

Kiwnęłam głową.

— To za co pijemy? — spytał głośno i ze swobodą. Jakby wcale nie szeptał dopiero co o szarej myszce.

Jedna sprawa nie dawała mi spokoju.

— A pięć tysięcy miesięcznie to nie za drogo?

Wzruszył ramionami.

— Zależy, kto je będzie szkolić. To się liczy! Bo jak będziecie godne zaufania, to nie za drogo.

Toast wznieśliśmy za mnie i moje dziewczyny.
Czyli za „Nikitę”.

Dopisało nam szczęście. Szef Andżeli znowu wyjechał do Norylska.

Miałyśmy biuro do swojej dyspozycji.

Nie spałam całą noc. Maszka chyba też. Piłyśmy coca-cole i śmiałyśmy się z byle czego.

— Wyobraź sobie, że wczoraj oddałam nasz shaker.

— Komu?

— Jakiemuś idiocie w „First”. Chciał, żebym pojechała z nim do domu.

— A ty co na to?

— Jak to co? — oburzyła się Maszka. — Wyjęłam z torebki shaker i powiedziałam mu, że pojedę tylko wtedy, kiedy napełni go koksem.

Roześmiałam się:

— I co?

— Nic. Powiedział, że napełni. Wziął shaker i dał dyla. Zrobił mnie w konia z tym shakerem!

— Na pewno sprezentował go jakiejś panience, żeby pojechała z nim do domu.

— Nie ma się co śmiać. Czytałam w internecie — teraz na topie jest taki gość, co daje laskom komórkę. Za siedem wizyt. Już jest kolejka!

— A tobie żal shakera...

Sekretarka Andżeli przyniosła kawę.

— Jacyś panowie przyszli — powiedziała ze zdziwieniem.

— Poproś ich.

Schowałyśmy colę, usadowiłyśmy się w fotelach i szykowały do rozmowy z Pałyczem i ochroniarzem z Mosadu.

Ochroniarz przerósł wszelkie nasze oczekiwania. Do opisu jego wyglądu nadawały się tylko przymiotniki w stopniu najwyższym i o pozytywnym znaczeniu.

On sam sprawiał wrażenie, że nie jest tego świadomy.

Był przystojniejszy od wszystkich znanych mi mężczyzn. Od nieznanych też.

Zachowywał się z godnością, ale bez ostentacji.

Mówił mądrze, ale się nie wymądrzał.

Nie nosił obrączki.

Jego modny trzydniowy zarost i gustowne ubranie powiedziały mi, że znalazłam bratnią duszę.

Po krótkim czasie Pałycz zrozumiał, że nic tu po nim, pożegnał się i odjechał.

Miał na imię Ilia.

Zwracał się głównie do mnie. Bardzo mnie to cieszyło.

Maszka usilnie starała się skierować zainteresowanie Ilia na siebie.

Niemożliwe, żeby te zabiegi uszły jego uwadze.

— To interesujący projekt — mówił Ilia, a ja żalowałam, że akurat ubrałam się tak nieefektywnie — sam kiedyś chciałem się tym zająć.

— Co pan może zaproponować? — Widać było, że Maszka sama jest gotowa do składania propozycji.

— Mogę szkolić dziewczyny. Ściągnąć najlepszych specjalistów — w Moskwie nie ma ich znów tak wielu.

Program szkolenia dopasuję do waszej koncepcji.

— A dysponuje pan jakąś bazą szkoleniową? — spytałam, myśląc, jak to cudownie, że wzięłyśmy się za ten interes.

Ilia nie dysponował żadną bazą, ale to nie było w stanie popsuć mi nastroju.

— Zwykle wynajmuje się dom wypoczynkowy. Na miesiąc albo na trzy tygodnie. I praca idzie pełną parą. Osiem godzin dziennie — wyjaśniał.

Oczywiście Ilią był profesjonalistą. Z tych, co to nie nawiązują romansów z klientkami.

Miał powołanie do zawodu ochroniarza. Chociaż już dawno przeszedł do świata biznesu. Zajmował się organizowaniem ochrony spotkań rządowych, szkolił specjalistów. Był wzywany w charakterze pogotowia ratunkowego tam, gdzie nikt inny nie dałby sobie rady.

Rozmawiając z nim, uwierzyłam, że naprawdę będzie w stanie przygotować nasze dziewczyny.

— Chciałbym poznać kandydatki — oznajmił.

— Bardzo proszę. Akurat mamy interview.

— Dobrze, tylko zadzwonię.

Ilia wyszedł z komórką w rękę. Popatrzyłyśmy z Maszką na siebie. Jej oczy błyszczały.

— Niczego sobie — powiedziała Maszka przeciągle.

— No... Super — zgodziłam się.

— Przypominam ci, że już masz męża.

— Wcale nie zamierzam wychodzić za niego za mąż.

Miałam nadzieję, że tego nie usłyszał.

Dałyśmy mu kartkę. Wyjaśniłyśmy, jak prowadzimy rozmowy. Przejrzał ankietę.

— Chciałbym dodać jeszcze kilka pytań.

— Oczywiście — byliśmy gotowe na wszystko.

Przydomek: Julia Roberts. Rozmawiając później na jej temat, nie byliśmy w stanie nazywać jej inaczej. Uderzające podobieństwo. Wysoka, długie kasztanowe włosy, uśmiech. Obie z Maszką zazdrośnie zerkałyśmy na Ilię, który robił notatki. Dwadzieścia siedem lat. Powiedziała, że mieszka w mieszkaniu wielorodzinnym. Chyba tylko dlatego, że nigdy wcześniej z niego nie wyszła. Po tej rozmowie więcej już się u nas nie pokazała. Na pewno porwano ją w drodze do domu i teraz żyje z jakimś milionerem przy szosie rublowsko-uspienskiej.

— Co to znaczy być kobietą?

— Umieć zrobić przez trzydzieści lat to, na co mężczyźni potrzebują sześćdziesięciu.

Przydomek: Modelka. Z pojawieniem się Ilii nasze kandydatki wyprzystojniały. Ta była rudowłosą pięknoscią. Przyszła z przyjaciółką i opowiadała nam, że całe życie są nierozłączne i wszystko robią razem.

Ilia: — Zadam pani pytanie testowe. Ochrania pani obiekt w drodze na spotkanie. Spieszycie się. W ciemnej uliczce łapiecie gumę. Co pani robi?

— Wysiadam i pomagam kierowcy zmienić koło.

Ilia: — I obiekt spóźnia się na spotkanie. Albo zostaje zastrzelony. Pani też.

— To zostawiam kierowcę przy samochodzie, a sama idę z obiektem.

Ilia: — Dokładnie ta sama sytuacja: zanim dojdziecie do głównej ulicy, obiekt już będzie spóźniony. Albo wraz z panią zastrzelony.

— Dzwonię do agencji i wzywam posiłki.

Ilia: — Nie, bo obiekt krzyczy, że nie ma czasu, musi podpisać umowę na pięćdziesiąt milionów, i niech się pani odpieprzy razem z całą agencją!

— No to już nie wiem...

Spojrzałyśmy na siebie z Maszką. Słowo „odpieprzy” zostało wypowiedziane z uderzającą elegancją.

— Trzeba będzie ją wziąć bez przyjaciółki — powiedział Ilia, kiedy zamknęły się drzwi za Modelką. — Wtedy zobaczymy, czy jej zależy na tej pracy.

Przydomek: Waligóra. Wysoka — jakieś metr dziewięćdziesiąt. Silna i pewna siebie. Nigdy nikomu nie musiała udowadniać, jaka jest silna, bo nikt nie miał co do tego wątpliwości. Jej siła dotychczas nie znajdowała ujścia. Dziewczyna przysłała do nas z wielkim zapasem adrenaliny.

— Zamówię obiektowi taksówkę i pojedę z nim.

Ilia: — Świetnie. Na jaki numer pani zadzwoni?

— Oj, nie wiem.

— Ilia: —?

— Zadzwonię do biura numerów.

— Maszka: — Co to znaczy być kobietą?

— Zawsze za wszystko odpowiadać.

— A co tak naprawdę trzeba zrobić? — zainteresowałam się, kiedy wyszła.

— Zwolnić kierowcę. Żeby nie jeździł ciemnymi uliczkami — uśmiechnął się Ilia.

Na wszelki wypadek też się uśmiechnęłam.

Przydomek: Aleks. Od imienia Aleksandra. Pracowała w milicji. Była sierżantem i specjalizowała się w ochronie i systemach monitoringu. Śmiesznie stukwała obcasami, jak oficerzy na filmach.

— Szukam pracy, w której mogłabym rozwijać swoje zdolności intelektualne.

Ja: — Znajdziemy odpowiedniego klienta. Byle tylko starczyło pani tych zdolności.

Miała męską budowę ciała. Musiała długo nad tym pracować. A nosiła wydekoltowane bluzki i topy na ramiączkach. Była wyzwaniem nie tyle dla stylisty, co dla psychologa.

Psychologa obiecał załatwić Ilia.

— Niech on decyduje — powiedział. — My wybierzemy dziewczyny według naszych kryteriów, ale ich predyspozycje psychologiczne są najważniejsze.

Umówiliśmy się na następny dzień.

Ilia potrzebował kilku dni na ustalenie programu szkolenia i kalkulację kosztów.

Byłam bardzo zmęczona. Czułam się jak foliowy worek, do którego ktoś wrzucił masę cudzych historii i chciał go wynieść na śmietnik.

— Znalazłam wam biuro — radośnie oznajmiła Andżela — na tym samym piętrze! Gabinet dwadzieścia metrów i mały sekretariat. Tysiąc osiemset dolarów miesięcznie. To jak, bierzecie?

— Bierzemy — zgodziła się Maszka.

— W ciemno — potwierdziłam.

Wieczorem dowlokłam się do łóżka i nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam.

7

Przyjechałam do „Aldo Coppola”. W Hotelu Słowiańskim.

Lena Burgozlijewa krytycznie popatrzyła na moją fryzurę.

— Siadaj — ruchem głowy wskazała mi fotel.

Lena była gwiazdą. I wiedziała o tym. Dzięki temu inni też mogli się o tym dowiedzieć.

— Czego chcesz dzisiaj? — zapytała, spoglądając na mnie zza wąskich okularów przeciwsłonecznych.

W salonie nie było okien, a zatem również światła słonecznego, ale Lena się tym nie przejmowała.

— Nie wiem. Chcę być piękna.

Lena filozoficznie chrząknęła. Gdybym jej nie znała, to bym się obraziła.

Wskazała kogoś stojącego za jej plecami:

— Proszę umyć głowę.

W „Aldo Coppola” mistrzowie nie zniżają się do takich drobiazgów.

— Ma pani suche włosy. Może zastosujemy kurację? — zaproponowała ruda asystentka Leny.

Wiedziałam, że kuracja to kolejna pozycja na rachunku. A poza tym wcale jej nie potrzebowałam. Mam zdrowe włosy. Przy każdym myciu używam masę różnych odżywek i balsamów.

— Niech będzie — dałam za wygraną. Wołałam się zgodzić, niż tracić czas na wyjaśnienia.

Po dwudziestu minutach stosowania szamponów, płukanek, masażu i ampułek moja głowa była umyta. Naturalnie — gdyby Burgozlijewa robiła to sama, nie starczyłoby jej czasu na strzyżenie i modelowanie.

Muszę przyznać, że ma talent. Wyszłam z salonu bardzo zadowolona z siebie. I z mojej nowej, krótszej fryzury. I z rozjaśnienia włosów.

Przechodząc obok japońskiej restauracji, postanowiłam coś przekąsić.

To idealne miejsce na samotny obiad. Nie sposób się nudzić.

Wkoło kręci się pełno ludzi. Wystrojone dziewczyny idą wybierać urodzinowe brylanty w salonie „Mercury”; obcokrajowcy biegną boso na hotelowy basen (kretyni, przecież w każdym pokoju są klapki); młodzieńcy w wąskich garniturach z ważnymi minami rozmawiają przez komórki; ekspedientki defilują po korytarzu, demonstrując swoje drogie stroje służbowe.

A przy tym jedzenie jest dobre.

Zjadłam węgorka na ryżu, sushi „California” bez majonezu, wypiliśmy zieloną herbatę i colę.

Poprosiłam o rachunek.

— Jest u was moja karta rabatowa.

Kelnerka najwyraźniej była nowa, więc podałam jej swoje nazwisko. W tej restauracji kartę rabatową można trzymać na miejscu — to bardzo wygodne. Nie trzeba się martwić, że została w innej torebce albo w samochodzie.

Kelnerka po chwili wróciła i uprzejmie oznajmiła mi, że nie może udzielić rabatu, bo karta nie jest moja.

— Jak to „nie moja”? — oburzyłam się. — Przecież już kilka lat tu przychodzę.

Niewysoka dziewczyna siedząca przy sąsiednim stoliku popatrzyła na mnie z pogardą.

— Przedwczoraj obsługiwałam duży stół i oni zgłosili, że to jest ich karta — wyjaśniła kelnerka. Skośnooka, ale wiadomo, że nie Japonka.

— Nie wiem, jaki stół i kto co zgłosił, ale to jest moje nazwisko. I moja karta. Niech pani poprosi menedżera.

Musiałam się podpisać, żeby mogli porównać podpis. Menedżerka mnie przeprosiła. Kto jak kto, ale ona powinna była mnie rozpoznać.

Ciekawe, kto tu hulał moim kosztem?

Pewnie jakaś moja psiapsiółka, która nieraz słyszała, jak proszę o kartę, postanowiła z niej skorzystać. Szkoda tylko, że mnie nie uprzedziła.

Dziewczyny przy sąsiednim stoliku już nie było. Musiałam się jakoś pocieszyć. Zaszłam do „Danaty” i kupiłam sobie kurtkę dżinsową. Z koronkami na rękawach i szkiełkami imitującymi brylanty. Czterysta dwadzieścia dolarów przed upustem. Upust — dziesięć procent. Jestem ich stałą klientką.

Kurtka tylko zaostrzyła mój apetyt na zakupy. Wsiadłam w samochód i pojechałam do „Soho”. W poszukiwaniu pozytywnych emocji zawsze podążam tym samym szlakiem. Lubię, kiedy sprzedawcy znają mój gust i moje wymiary. Kiedy kelnerzy wiedzą, jaki piję aperitif i co jem na obiad. Kiedy fryzjerka farbuje mi włosy i układa je zgodnie z moimi upodobaniami. Kiedy manikiurzystka pamięta, jaki jest mój ulubiony kolor lakieru i kształt paznokci. A kierowca dostosowuje muzykę w samochodzie do mojego nastroju.

Dzięki temu człowiek może poczuć, że coś znaczy.

Wcale nie jestem przeciwna spontanicznym kontaktom. Lubię pogadać z taksówkarzami. Nasi taksówkarze mają ogromną wiedzę. W końcu przez cały dzień słuchają radia.

Spodnie od Lanvina — czekoladowe w liliowe paski — niosłam do przymierzalni tak, jak zwierzę taszczy do nory swoją zdobycz. Wróciłam na salę. Długo przesuwiałam wieszaki dwoma palcami. Z obojętną twarzą i błyskiem w oku. Zatrzymałam się przy plisowanej spódnicy Diane von Furstenberg. Sprzedawczyni przyniosła mi do niej żółty kaszmirowy kardigan Jil Sander. Wcale nie pasował.

Zaczęłam oglądać męskie ubrania. Wyobraziłam sobie Romę w czarnej koszuli z głową byka na piersi. Jil Sander. W klubie „First”.

Spodobał mi się czerwony sweter z białym paskiem wokół wycięcia. Elegancki. Klasyczny. I niedrogi. Siedem tysięcy rubli.

Ciekawe, jaki Roma nosi teraz rozmiar? Już dawno mu nic nie kupowałam.

Sprzedawca pokazał mi sweter w dwu rozmiarach. Pomyślałam, że jeden z nich powinien pasować, i odłożyłam go na bok.

— W razie czego może pani wymienić — uspokoił mnie sprzedawca.

„Romie pewnie spodobałby się Calvin Klein — pomyślałam. — Beżowy kardigan z dwoma suwakami. Siedemnaście tysięcy. Droższy niż czerwony Jil Sander. A niech to!”

W żaden sposób nie mogłam zdecydować, który z nich wybrałby Roma. Może wziąć obydwu?

„Powie, że szastam pieniędzmi. I że ma już pełno ubrań”.

— Lepiej przyślę męża — uśmiechnęłam się do sprzedawcy.

„I jeszcze powie, że dwadzieścia cztery tysiące mógłby lepiej wydać”. Byłam coraz bardziej zirytowana.

„Koniec z tym. Niech sam się troszczy o siebie”. Znowu popsuł mi się humor.

Wróciłam do działu damskiego.

Kupiłam szyfonową spódnicę ze szkiełkami Oskara de la Renty za osiemdziesiąt tysięcy czterysta

sześćdziesiąt rubli. Seledynową. Bardzo ładną. Może tylko trochę za drogą.

Kandydatek na „Nikity” wciąż przybywało. Z coraz większym przerażeniem przyjeżdżałam do biura, żeby codziennie zaczynać wszystko od nowa.

— Co to znaczy być kobietą?

— Mieć więcej możliwości niż inni.

Szafa w naszym nowym biurze była już do połowy wypełniona teczkami z urzędowym napisem „Akta osobowe”.

Sekretarka — wielbicielka Andżeli — przeszła do naszej firmy. Tylko dzięki zapewnieniom swojej idolki, że przez to będą mogły się zaprzyjaźnić. Od czasu do czasu Andżela z łaskawym zainteresowaniem przeglądała jej kolejną książkę. *Strategiczne zarządzanie*. Autor — Artur A. Thompson.

Mnie i Maszce zaczęły się zdarzać spięcia. Z powodu Ilii. Denerwowało mnie, kiedy Maszka przerywała mi w pół słowa, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Maszkę denerwowało, że pouczam ją jak młodszą koleżankę.

Atmosfera w biurze przestała być wesoła i twórcza. Nasza nerwowość udzieliła się nawet sekretarce. Coraz częściej dzwoniła do Andżeli pod byle pretekstem.

Tymczasem chętnych do pracy przybywało. Dodałyśmy na ogłoszeniu kolejny wymóg: prawo jazdy. Liczba telefonów zmalała.

— Zapisuj nazwiska i numery telefonów wszystkich — poprosiłam sekretarkę — a nie tylko tych,

które umawiasz na interview. Może się przydadzą.

Pomyślałam, że w czasie trwania szkolenia na „Nikity” można będzie zacząć organizować kobiecy batalion do ochrony budynków. Nie przyniesie to oczywiście takiego zysku, ale jednak.

Ilia był zniewalający. Samym swoim istnieniem sprawiał, że hollywoodzkie filmy wydawały się bardziej prawdopodobne. W nich bohaterowie pozytywni zawsze są piękni.

Przydomek: Erudytką. Bardzo chciała być mądra. To jedno pragnienie nadawało godność jej życiu. Wkuwała trudne wyrazy ze słowników. Mimo to jej mądrość nadal stała pod znakiem zapytania.

— Nie nadaje się — powiedział Ilia. — Za bardzo będzie polegać na własnym zdaniu.

Przydomek: Praworzędna Obywatelka. Pierwszy i ostatni raz nadałyśmy komuś taki długi przydomek.

Ilia: — Pytanie testowe. Pracuje pani jako ochroniarka. Na noc klient zabrał pani pistolet. Żeby spać spokojnie. Orientuje się pani, że istnieje zagrożenie ze strony intruza, który pojawił się na pani terenie. Co pani zrobi?

— Wezwę milicję.

Przydomek: Myszka.

— Będę skradać się za klientem cicho jak myszka, żeby w razie potrzeby go obronić.

Do gabinetu wsunęła się głowa sekretarki.

— Przyszły strażniczki z aresztu śledczego. Po prosić?

Obudziła się we mnie ciekawość. Trwożliwa i nieśmiała.

— Poproś.

Zdrowe wiejskie baby. Z opadniętymi kącikami ust i złotymi kolczykami w uszach. W areszcie zarabiają dwa i pół tysiąca rubli miesięcznie.

Ja: — Dlaczego nie zatrudnią się panie jako gosposie albo sprzedawczynie?

Ledwie to powiedziałam, a już się wzdrygnęłam na myśl, że mogłabym trzymać w domu którąś z nich.

Ospale wzruszyły ramionami:

— Lubimy naszą pracę. Tylko że za mało płacą.

Co to znaczy być kobietą? Na ten temat mogłabym się niejednego od nich dowiedzieć.

Ja: — Niech panie wypełnią ankietę dla kandydatek do ochrony budynków.

Ilia przyniósł program szkolenia zaplanowanego na trzy tygodnie.

— Lepiej, żeby trwało dwa miesiące — oznajmił.

Nam się jednak spieszyło. Chciałyśmy już zarabiać. Bo do tej pory tylko wydawałyśmy pieniądze — na biuro, sekretarkę, ogłoszenia w gazetach, materiały biurowe i faks. Bardzo dobry model. Z kolorową drukarką i skanerem. Podłączany do komputera. Za jedyne trzysta dolarów.

Na bazę szkoleniową wybraliśmy Dom Wypoczynkowy „Przyjaźń”. Cena pokoju — dwieście pięćdziesiąt rubli, w tym pełne wyżywienie. Ośrodek był oczywiście z poprzedniej epoki, ale dla nas w sam raz. Mieli wielką salę gimnastyczną i boisko.

— Będzie potrzebny samochód do ćwiczeń — powiedział Ilia — najlepiej mercedes. Żeby się przyzwyczajały.

— Nikita ma volkswagena. Jak będę przyjeżdżać na kontrolę, to udostępnię swojego mercedesa.

— Ja też będę przyjeżdżać.

Popatrzyłyśmy na siebie wymownie.

— Dobrze by było, żebyście trochę z nami pomieszkały — Ilia natchnął nas nadzieją.

— Nikita nie może, ma rodzinę.

— Nie wtrącaj się w cudze sprawy.

— Ale przecież nie możesz?

— Jakoś sobie poradzę.

Gdyby nie obecność Ilii, skoczyłybyśmy sobie do oczu.

— Program szkolenia podzielony jest na dwanaście przedmiotów. Ogólnym treningiem fizycznym, wschodnimi sztukami walki i częścią teorii zajmę się sam. — Ilia trzymał w rękach kilka kartek z wydrukowanymi tablicami i harmonogramami. — Dwa razy w tygodniu będą ćwiczenia na strzelnicy. Trzeba wynająć autobus. Zajęcia są przewidziane na dziewięć godzin dziennie. Teoria uwzględni prawo karne i cywilne. Na trening w terenie i omówienie materiałów wybuchowych przeznaczyłem po trzy godziny. Myślę, że wystarczy.

— A po co im prawo karne? — zainteresowała się Maszka.

— Żeby je znały — lakonicznie odpowiedział Ilia.

— Jak coś się stanie, będą musiały składać zeznania. Na przykład jak kogoś zastrzelą... Oczywiście w razie czego to my — to znaczy wy też — załatwiamy

wszystko z milicją. Ale i one muszą wiedzieć, co robić w niespodziewanych sytuacjach.

— A... — Maszka pokiwała głową.

— Na przykład zastrzeli taka kogoś w ferworze pościgu, poza ochranianym terenem, i co?

— No właśnie, i co? — spytałam.

— Znając prawo karne, zaciągnie ciało na teren klienta, a jeśli przykładała się na naszym szkoleniu, będzie wiedziała, jak to zrobić.

— Przekonałeś nas. — Uśmiechnęłam się.

— Konieczne są też kurs psychologii i zajęcia ogólnokształcące. Myślę, że będzie taniej i lepiej, jeśli same je poprowadzicie. — Spojrzał na nasze zdziwione twarze i się roześmiał. — Orientacja w lokalnej topografii: adresy klubów nocnych, modnych restauracji, drogich sklepów, czyli ogólnie potencjalne trasy przejazdów.

Koszt szkolenia powinien się zamknąć ośmioma tysiącami dolarów. Wydatkami dzieliłyśmy się z Maszką po połowie.

— Ale to już wasza decyzja — podsumował Ilia i uśmiechnął się.

Odniosłam wrażenie, że do Maszki uśmiechał się dłużej.

— Dobrze, przemyślimy to i się dzwoniemy — powiedziałam sucho.

Maszka zimno skinęła mi głową na pożegnanie.

8

Na weekend przenieśliśmy się na daczę. Przez okno sypialni patrzyłam, jak mąż gosposi hebluje blat do ogrodowego barku. W czerwonym kombinezonie Ferrari bardziej przypominał mechanika z Monte Carlo niż cieślę z Mohylewa.

Ktoś mi powiedział, że człowiek najlepiej się relaksuje, obserwując cudzą pracę.

Sądząc po tym, że już dziesięć minut tkwiłam przy oknie, miał rację.

„Bywało drzewiej, że dziedziczki zakochiwały się w sługach. Posiedziała pani przy okienku godzinkę i dalejże dzwonić na pokojową: Głazka, kto tam drwa rąbie za stajnią? — Niech panią Bóg ma w opiece, toż to Nikoła, syn Awdotii, co to trzy dni temu była pani łaskawa kazać go różgami wysiec za bitkę w karczmie

za przyczyną opilstwa. — Tak? Nie pamiętam... Przecie się chłopina poprawił? Wołaj go co rychlej!"

Chwilę później przypomniła mi się scena z filmu *Pies ogrodnika*, w której hrabina bije po twarzy uszczęśliwionego sekretarza.

— Śniadanie gotowe! — usłyszałam z dołu głos gosposi.

Ciekawe, czy kocha swojego męża? Czy jest o niego zazdrosna? Uprawiają seks? Pewnie tak. Jemu zawsze tak błyszczą oczy. A ona wstaje o świcie, żeby nasmażyć mu blinów. Z początku drażnił mnie rozchodzący się po całym domu zapach blinów przeznaczonych nie dla mnie.

Moja gosposia ma na imię Sława, a mnie nazywają Nikita. Dwa męskie imiona u kobiet — to trwała tendencja czy zbieg okoliczności? A może cecha charakterystyczna mojego domu?

Gosposia nakryła do śniadania na werandzie. Zielony obrus, zielone serwetki i zielone poduszki na krzesłach. Zielono-złota, zupełnie nie ogrodowa zastawa miśnieńska. Żadnej Villeroy & Boch nie uznaję. Zastawa powinna być prosta, ale bogato dekorowana. Jak na przykład talerze Cavalli w jasnoczerwone i liliowe różyczki.

Dużą wagę przywiązuję też do obrusów. Na zielonym wyhaftowane są inicjały — moje i Romy. Płaskim ścięciem. Nie lubię naszego dużego stołu w jadalni, bo nie można go nakrywać. Drewniany blat ma zbyt wyszukaną fakturę i szkoda ją zasłaniać.

Przy śniadaniu oznajmiliśmy Artiomowi, że pojedzie do Londynu. Uczyc się angielskiego.

Uważałam, że dziewięciolatek nie powinien sam podróżować, ale Roma był innego zdania. Poinformował mnie o wszystkim rano. Przy okazji zrobił delikatną aluzję do tego, że w ogóle nie zajmuję się dzieckiem.

— Jesteś narkomanką, Nikita — stwierdził. W jego herbacie pływały dwa plasterki cytryny.

— Ty też jesteś narkomanem — odpowiedziałam, nie wysilając się zbytnio.

— Wiesz na przykład, co twoje dziecko je na śniadanie? — nadal atakował mój mąż.

— To, co mu kupuję — odparowałam.

— A kiedy ostatni raz odrabiałaś z nim lekcje? — nie ustępował Roma.

— Przecież ma czterech korepetytorów! — wrzasnęłam.

— Jak ma czterech korepetytorów, gosposię i opiekunkę, to już myślisz, że nie jesteś mu potrzebna. Tak?

— Nie wymieniłeś kierowcy. Ani siebie.

— Nikita, nie chcę się kłócić.

— To czego chcesz?

Musiałam zadzwonić do Maszki, dlatego wołałam czym prędzej zakończyć tę rozmowę.

— Uważam — powiedział Roma, z hałasem odsuwając krzesło — że Artiomu trzeba wysłać do Londynu. Załatwiam już dokumenty. Przepraszam, że bez uzgodnienia z tobą.

— Nie rysuj parkietu! — krzyknęłam prawie nienawistnie.

— Przepraszam — powtórzył Roma.

Za parkiet czy za Anglię?

— Zamieszkaś u naszych znajomych. Oni nie mówią po rosyjsku. I codziennie będziesz chodzić do szkoły — wyjaśniałam synowi.

Oczy błyszczały mu radością i strachem jednocześnie.

— A będę mógł do was dzwonić? — zaniepokoił się.

— Pewnie, będziesz miał swoją komórkę. — Podałam Artiomowi serwetkę. — I wiesz co? Sam polecisz samolotem!

— A ja cię odwiedzę — oznajmił Roma.

— Kiedy? — zdziwiłam się.

— Będę musiał na trzy dni pojechać do Londynu, jeszcze nie wiem kiedy.

— Kup mi mercedesa — poprosiłam ni stąd, ni zowąd.

Roma zrobił niezadowoloną minę.

— Jakiego znów mercedesa?

— Jakiegokolwiek! — zaczynałam tracić cierpliwość.

— Skończyłem — oświadczył Artiom i wstał od stołu.

— Nie mogę teraz wywalić osiemdziesięciu tysięcy na samochód!

— To kup za trzydzieści.

— I co z nim zrobisz za dwa lata? Sprzedasz za trzydzieści? To już lepiej wynajmować.

— A może mam jeździć volkswagenem?

— Dziękuję za miłe śniadanie.

Dziwne, że serwetkę rzucił na stół, a nie we mnie.

Przygotowałam sobie kąpiel. Zapowiadała się wspaniale. Kiedy będziemy już sławne i ktoś przyjdzie zrobić ze mną wywiad do artykułu „Piękno kobiet biznesu”, będę miała o czym opowiadać. „Mam kilka swoich sekretów — oznajmię dziennikarce z miną gwiazdy, która zstąpiła na ziemię. — Raz w tygodniu biorę kąpiel w mleku i miodzie. W niektórych salonach odnowy biologicznej nazywają to kąpielą Kleopatry. Należy przygotować czterdzieści torebek mleka w proszku i filiżankę miodu. Mleko trzeba rozpuścić w wodzie, a podgrzany miód postawić pod strumień, żeby wytworzyła się piana. Po takiej kąpeli nie można się słuکیwać prysznicem. Skóra staje się jedwabista i odprężona. Sekret numer dwa: mam w łazience małą lodówkę samochodową. Trzymam w niej wodę mineralną w sprayu. Codziennie rano spryskuję sobie twarz — z dołu ku górze, przez co uzyskuję efekt napięcia i oczyszczenia skóry. Sekret numer trzy: tonik zawsze przelewam do butelki z dozownikiem. Rozprowadzam go po twarzy dłońmi. Unikam w ten sposób problemów z nakrętkami i płatkami kosmetycznymi”.

Oczami duszy widziałam twarz dziennikarki. Nie wiedzieć czemu — pryszczatą. Ta dziennikarka najwyraźniej nie stosowała się do rad swoich rozmówczyń.

Katia powiedziałaaby, że miałam seans medytacji. Tak naprawdę po prostu trochę pofantazjowałam na temat: „Jak być gwiazdą?”. To była moja asana domowej roboty.

Zrezygnowałam ze spotkania.

Nie chciałam psuć sobie nastroju. Ostatnio i tak zmieniał mi się w tempie „sto emocji na minutę”. Chociaż czasami było jeszcze gorzej. Rankami męczyły mnie niezrozumiałe lęki. Nie bałam się czegoś konkretnego — po prostu czułam strach. Przypomniałam sobie fragment piosenki: „Jakby coś się stało albo miało stać. Aż żebra podchodzą do gardła”.

Myślałam nawet, żeby brać coś na uspokojenie. Na przykład dobranoc forte — widziałam to w aptece i nazwa bardzo mi się spodobała. Albo starą, dobrą walerianę. W American Psycho wszyscy zażywają xanax. Modny i silny lek uspokajający. W Rosji go nie sprzedają. Może dlatego że jeszcze jako tako panujemy nad sobą. W odróżnieniu od Patricka Batemana.

Mimo wszystko nie byłam w najlepszej formie.

Mówiąc językiem naukowym, coraz częściej wpadałam w depresję. Chociaż koks pomagał mi ją zwalczać. Jedna porcja leczniczego proszku i depresja przepadała bez śladu. Lęki też. Obejdzie się bez xanaxu.

Na ekranie telefonu wyświetlił się numer Maszki.

— Gdzie jesteś?

— W domu.

— Co ty, zapomniałaś? Dziewczyny czekają na interview! — Maszka zaczęła na mnie wrzeszczeć, zadowolona, że wreszcie ma jakiś pretekst.

— Maszka, rozmawiaj ze mną po ludzku. Masz jakiś problem? Jest Ilia?

— Tak.

— I co, nie możecie się obejść beze mnie?

Milczała.

— To kiedy przyjedziesz?

— Jutro. Mieliśmy wybrać kandydatki.

— Tak, o czwartej.

— To na razie.

Chciałam dorzucić coś w stylu: „Wreszcie możesz nacieszyć się Ilia”, ale dałam spokój. Po co mi ten cały Ilia? Po nic, oczywiście. Ale nie może mi być przyjemnie, kiedy przystojny mężczyzna poświęca więcej uwagi mojej przyjaciółce. Przecież to nie randka. Podejmujemy decyzje dotyczące firmy. Opinia każdej z nas powinna liczyć się jednakowo.

Przyjaciółka też nie lepsza. Czy ona w ogóle jest moją przyjaciółką? Chociaż, może jestem dla niej niesprawiedliwa. W końcu nigdy jej się nie układało z facetami. Zawsze ją rzucali. A ona chce mieć rodzinę, dzieci — jak każda kobieta.

Idiotka ze mnie. Masza nie chce zakładać z Ilia rodziny. Takich rodzin miała już na pęczki. A przynajmniej jedną.

Na imię miał Jegor. Chodzili do jednej klasy. Właśnie on uczył Maszkę, jak się całować. Prosiła, żeby został jej pierwszym mężczyzną. Ale Jegor odmówił. Bał się, że ona potem się rozmyśli. Usłyszałam tę historię od Leny, siostry Maszki.

„Zupełnie jej odbiło — oznajmiła mi Lena, kiedy jechałyśmy do «Tod'sa» po torebki — planuje wyjść za mąż za kolegę z klasy”.

Spytałam: „A kto to jest?”.

„Na razie nikt, ale ma wielkie plany. Chce zostać kucharzem!”

Lena popatrzyła na mnie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

„To bardzo praktyczne. Będzie jej gotować obiady” — powiedziałam.

Teraz Jegor gotuje obiady komuś innemu.

Z Maszką została przeprowadzona rozmowa, po której oznajmiła Jegorowi, żeby więcej do niej nie dzwonił. I nigdy więcej o nim nie wspominała.

Tylko kiedy dowiedziała się o jego ślubie, przez sześć dni płakała w swoim pokoju. A siódmego umyła się, uczesała i poszła z przyjaciółkami na kolację.

Lenka odetchnęła z ulgą.

„Ja po swojej pierwszej miłości dłużej rozpaczalam” — powiedziała. Czy to z przyganą, czy raczej z zawiścią.

I wyjechała do Mediolanu. Z Antoniem.

Znowu telefon. I znowu Maszka. Najwyraźniej rozdrażniona.

— Ilia nie chce brać udziału w interview. Powiedział, że wszyscy musimy głosować nad kandydatkami. I że każdy powinien sam wypowiadać się za siebie, a nie przez przyjaciółkę.

Coś takiego! Oczywiście było mi miło. Odwołał rozmowy kwalifikacyjne z mojego powodu. Biedna Maszka. Na pewno bardzo to przeżywa.

— Na co on sobie pozwala! — oburzyłam się do słuchawki.

Maszka milczała.

— Całkowicie polegam na twoim zdaniu. Tak jak ty polegasz na moim. Prawda?

— Prawda...

— W końcu nie przyjęliśmy go na partnera! A nawet jeśli, to i tak miałby tylko trzydzieści procent udziału w decyzjach! Nie może niczego odwoływać! Maszka, dziewczyny już poszły?

— Nie wiem, chyba nie.

— To idź sprawdzić.

Przez kilka chwil w telefonie była głucha cisza.

— Jeszcze są. Sekretarka nie wiedziała, co zrobić, i dała im ankiety do wypełnienia.

— Świetnie. Moja droga, zobacz, jakie są te dziewczyny. Dobrze? A potem mi opowiesz. Bo dzisiaj naprawdę nie dam rady przyjechać.

— Dobrze, a jutro widzimy się o czwartej, mamy wybierać kandydatki.

— Lepiej o trzeciej.

— OK, ale Iliia...

— To niech przyjedzie o czwartej, co za różnica?

Ciekawe, jakie dziewczyny przyszły? Czy jakieś sensowne? Zaczęłam żałować, że nie pojechałam.

Jutro wybierzemy piętnaście osób i wyślemy je na testy do psychologa. Potem przeczytamy jego opinie i wybierzemy ósemkę. Zajmie to tydzień.

Szkolenie potrwa trzy tygodnie. W tym czasie zaczniemy szukać klientów.

Wysłałam z mleczonej kąpieli i wytarłam się czarnym ręcznikiem. Uznaję tylko czarne ręczniki. I czarną pościel. Najlepiej, żeby była jedwabna. W ostateczności — satynowa. W dotyku jest taka sama jak jedwabna.

Zesłałam do holu. Poprzedniego dnia wyjęłam ze skrzynki pocztowej gazetę „Rublowka” — nowe pismo lokalne. Rozsyłane do wszystkich domów oraz

sklepów i restauracji. Jego grupę docelową, jak mawia Roma, stanowią wyłącznie ludzie naszego pokroju.

Przejrzałam gazetę. Mało reklam. Ludzie się nie palą, żeby zamieszczać reklamy w nowym piśmie. A to znaczy, że gazecie potrzebny jest przyływ gotówki.

Odszukałam nazwisko redaktora naczelnego. Aha. Wykreśliłam numer.

— Redakcja gazety „Rublowka”.

— Sekretariat Olgi Nikołajewny Nikitinej —
oznajmiłam tonem sekretarki Andżeli: zarazem urzędowo i serdecznie — proszę mnie połączyć z redaktorem naczelnym.

Po paru trzaskach w słuchawce odezwał się męski głos:

— Słucham.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy się przedstawić. Jednak nie — przedstawiła mnie już „sekretarka”.

— Otrzymałam waszą gazetę. Bardzo mi się spodobała — powiedziałam to uprzejmie i trochę wyniośle.

— Dziękuję — odparł męski głos.

— Rozważamy nawiązanie z państwem współpracy.

— Oczywiście. My też jesteśmy tym zainteresowani.

— Może przystalibyście do nas dziennikarkę? Z nią byśmy wszystko omówili.

Redaktor naczelny najwyraźniej się zawahał.

— Rozumiem, że cena nie będzie wygórowana. Jesteście młodym pismem i chcielibyśmy wam pomóc.

— Macie państwo biuro na Rublowce? — spytał.

— Nie.

— Szkoda... — w jego głosie dało się słyszeć zmieszanie. — Założeniem naszej gazety jest pisanie tylko o tym, co się dzieje na Rublowce.

— W takim razie zapraszam na moją daczę. Do Usowa.

— Świetnie. Będziemy czekać na wiadomość.

— Dziękuję. Zadzwoń, żeby się umówić na konkretny termin.

Odłożyłam słuchawkę bardzo zadowolona z siebie.

Po pierwsze, tak oto z łatwością zrobiłam pierwszy krok w naszej kampanii PR. Po drugie, będę udzielać wywiadu. Niech żyje medytacja! Przeczytają go wszyscy moi znajomi. I rodzice Romy. Postanowiłam o niczym im nie mówić. Niech o moich sukcesach dowiadują się z gazet.

Zadzwoiłam do Maszki.

— No, jak tam?

— Nic ciekawego. Jedna była do rzeczy, ale jąkała. Sama nie wiem.

— Nie, jąkały nie bierzemy. Będzie irytować klientów. Słuchaj, nie chciałam o tym wspominać, póki sprawa nie była pewna. Właśnie miałam spotkanie: umówiłam nas na wywiad w „Rublowce”. Super, nie?

— No. A za ile?

— Teraz im w ogóle nikt nie płaci, bo dopiero zaczynają. Nie wiem. Możemy im dać pięćset dolarów za duży materiał na całą stronę. Byle tylko przysłali fotografa.

— Fajnie. No dobra, bo tam czeka na mnie prawdziwy okaz — wykapana Sade.

— Ekstra.

W salonie natknęłam się na Romę. Zrobiłam obrażoną minę i wydełam wargi.

— Wyjeżdżam. Mam spotkanie w „Werandzie”
— rzucił w biegu.

Gdybym nie zeszła, w ogóle nic by mi nie powiedział.

Dziecko dwa dni temu wyszło ze szpitala, przeżyło taki stres, a on w niedzielę jedzie do „Werandy”?

Moje myśli nawarstwiały się, jak śnieg na kuli do robienia bałwana. I zlepiły się w jedno wielkie palące Rozdrażnienie.

Zupełnie zapomniałam o przyjeździe mojej mamy. Przywiózł ją kierowca Romy. Pracował u nas „od rana do nocy i z powrotem”, jak mawiała jedna moja znajoma. Takim trybem pracowali u niej wszyscy — od gosposi po kierowników jej niezliczonych sklepów. Po pół roku. Dłużej nikt tego nie wytrzymał.

Chcieliśmy nawet kupić kierowcy mały drewniany domek. Sprzedają takie, już złożone. Po cztery i pół tysiąca. Z dwoma małymi pokojami, kuchnią i łazienką. Przywieźliby go, ustawili, kierowca by się wprowadził i problem z głowy.

Ale nie zdążyliśmy. Roma odszedł z firmy ojca. Rzucił się na głęboką wodę samodzielnego życia. Przy tym obryzgał mnie i Artioma.

Musiałam jednak docenić, że Artiom poleci klasą biznesową. Co stwarzało pewną szansę, że jego sąsiadowi nie będzie zajeżdżał z butów.

— Nie gorąco panu? — spytała moja mama męża gosposi zaraz po przyjeździe.

Z uporem nosił czerwony kombinezon Ferrari, który cały czas wyglądał jak nowy.

— Nie.

Było dwadzieścia pięć stopni.

— To zaraz będzie. Zajmiemy się klombem. Tak że niech się pan przebierze.

Mąż gosposi już znał moją mamę. Dlatego uwierzył jej na słowo.

Westchnęłam. Jeśli mama zajmie się klombem, to znaczy, że ja i Artiom będziemy musieli trzymać grabie, łopaty i sadzonki.

Mama była wykładowcą matematyki. Kokieteryjnym, pryncypialnym, władczym i pełnym radości życia profesorem. Kiedy kadra wykładowcza Uniwersytetu Moskiewskiego zaczęła stopniowo odchodzić do szkół prywatnych, moja mama kategorycznie odrzucała wszelkie propozycje. Równie kategorycznie zabroniła mi zdawać na tę uczelnię. Żeby nie przyniosła jej wstydu.

Praca zawsze była u niej na pierwszym miejscu. „Możesz zdawać, gdzie chcesz, byle nie na Uniwersytet Moskiewski. Załatwię ci korepetycje i nawet pomogę dostać się na studia” — powiedziała, kiedy byłam w dziesiątej klasie.

Nie potrafiłam wybrać uczelni. Jeśli nie liczyć Akademii Teatralnej przy Teatrze Wachtangowa, gdzie odpadłam po pierwszym etapie egzaminów. Deklamowałam Cwietajewą. Za długim stołem naprzeciwko mnie siedziało dziesięciu wykładowców. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak na filmach. Tyle że nie wzywali pojedynczo, ale po kilka osób naraz.

Myślał Pan, że jestem rzeńskim,
Rozbrykanym chłopcem! *

— zaczęłam z marszu, głośno i dźwięcznie.

Cała dziesiątka jednocześnie uniosła głowy i popatrzyła na mnie z zainteresowaniem. To mnie oneśmieliło. Resztę wiersza wyrecytowałam szybko i bez wyrazu. Kiedy pod koniec zorientowałam się, że nikt na mnie nie patrzy, było już za późno.

Nie mogę powiedzieć, że bardzo mi zależało, aby zostać aktorką. Po prostu chciałam się przekonać, czy mam jakąś szansę.

Teraz myślę, że miałam — w końcu oni wszyscy tak gwałtownie podnieśli głowy!

Mój dyplom został kupiony. Przez Romę. Żeby mógł go pokazać swoim rodzicom. Myślał, że bez dyplomu mnie nie zaakceptują. Potem okazało się, że nawet z dyplomem mnie nie zaakceptowali.

Mama też wszystkim opowiadała o moich rzeńskich studiach. Myśl, że jej córka nie zdobyła wyższego wykształcenia, była dla niej torturą. Sama nigdy

* Fragment wiersza Mariny Cwietajewej *Myślał Pan, że jestem rzeńskim...* w przekładzie Joanny Salamon.

niczego w tym celu nie zrobiła, ale o tym starałam się nie myśleć. W końcu każdy ma własne wyobrażenia na temat wychowywania dzieci. Na przykład: nie skończyłam szkoły muzycznej i nie nauczyłam się grać w tenisa. Dlatego że, jak przedstawiła mi to mama, przyszedłam do niej i twardo powiedziałam: „Więcej tam nie pójdę”. A gdybym usłyszała coś takiego od Artioma, to dostałby klapsa w pupę i żwawo poszedł pakować swoje piłki, rakietę i strój tenisowy.

Jeszcze trudniej było mamie pogodzić się z tym, że teraz dawałam jej pieniądze. Przez pierwsze dwa czy trzy lata odmawiała ich przyjęcia. Ale później jej sytuacja się pogorszyła. I zgodziła się na „zasilki”, jak je nazywała.

Bardzo się różniliśmy. Gdybym to ja pracowała na uniwersytecie, zrobiłabym wszystko, żeby mój syn mógł studiować. Co więcej, zależałoby mi, żeby uczył się właśnie na mojej uczelni — miałabym na niego oko.

Poza tym w odróżnieniu od mamy mam nadzieję, że w dalekiej przyszłości będę mogła liczyć na pieniądze moich dzieci. To znaczy jak na razie jednego.

Artiom wesoło hasał z konewką po całym ogrodzie.

Mama coś sadziła. Nie mogłam spytać co, bo na pewno to ze mną uzgodniła. A skoro się zgodziłam, to pewnie było to coś ładnego. Jeśli tylko nie spieszyłam się dokądś w trakcie rozmowy.

Położyłam się w hamaku, i o dziwo, prace ogrodowe obeszły się bez mojego udziału.

— A gdzie Roma? — spytała mama pod wieczór.

— Pojechał do miasta — odpowiedziałam, zaciskając usta. Miałam taką minę, jakbym mówiła: „Widzisz, jakiego masz zięcia!”.

Mama pozostawiła moją odpowiedź bez komentarza. Obrzuciła mnie jedynie swoim słynnym spojrzeniem. Na pewno tak samo patrzy na wagarowiczów.

9

Koło trzeciej przyjechałam do biura.

Maszka już tam była. Piła kawę z Andżelą w sekretariacie. Sekretarka proponowała im czekoladki z restauracji na dole. Obie odmówiły, twierdząc, że są na diecie.

— Tym bardziej że zjadłam już kawałek tortu na śniadanie — przyznała się Andżela.

— To co, kogo wyślemy do psychologa? — spytała Maszka.

— Już teraz musimy o tym rozmawiać? — Wydawało mi się, że atmosfera jest trochę za bardzo rozluźniona.

— Jasne. Na co mamy czekać? A tak przy okazji, dzwoniłam do jednej agencji, która ma własną szkołę ochroniarzy. Są gotowi z nami współpracować.

A nawet przygotować dla nas specjalny program szkolenia.

Popatrzyłam na Maszkę ze zdziwieniem:

— A Ilii?

— U nich jest trzy razy taniej. Tylko dwa tysiące sześćset dolarów. Jeżeli będziesz obstawać przy Ilii, to dojdę do wniosku, że... — zająknęła się.

Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo jej zrezygnować z Ilii. Dwa tygodnie zazdrości, kokietowania, kłótni, intryg — a teraz co?

— Nie, nie. Trzeba tam pojechać, porozmawiać i jeśli wszystko będzie w porządku... Jak ich znalazłaś?

Maszka popatrzyła na mnie z ulgą i wdzięcznością. Naprawdę myślała, że rozstanie z Ilii może stanowić dla mnie jakiś problem?

— Przez internet.

Zgodnie zachichotałyśmy. Łącznie z sekretarką.

— A Ilii przyjedzie? — zainteresowała się Andżela.

Zadzwoiłam do niego. Powiedziałam, że prawdopodobnie nie będziemy mogły przyjąć jego propozycji — to dla nas za drogo.

Wyraźnie się spieszył:

— Mam nie przyjeżdżać?

— Prosimy o timeout. Na tydzień.

W razie potrzeby lepiej mieć go w pogotowiu.

— Odrzuciłem już dwie propozycje — wymamrotał.

— A mógłby pan dać nam numer psychologa? Na wypadek, gdybyśmy go potrzebowały?

Maszka wyszeptwała: „Yes!”, i wykonała stosowny ruch ręką.

— Daje? — ruchem warg spytała Andżela.
Zapisałam numer.

Jednocześnie wybrałyśmy Aleks (jest sierżantem i strzela obcasami), Kratkę (młoda, uczciwa i osłoni klienta własnym ciałem), Madame (z fałszywymi brylantami w uszach i wielkoświatowymi manierami) i Waligórę (metr dziewięćdziesiąt adrenaliny).

Na dłużej zatrzymałyśmy się przy kandydaturze Erudytki, która lubi mądre słowa. I o której Ilia powiedział, żeby jej nie brać.

Wzięłyśmy ją. Chyba tylko na złość Ilii.

Długo spierałyśmy się na temat Oli, która już pracowała w ochronie, ale nie umie strzelać.

— Zastanówcie się, co to za osoba! — gorączkowała się. — Brała pieniądze i nic więcej jej nie obchodziło! Ryzykowała ludzkie życie!

Zajrzała sekretarka:

— Dzwonią z jakiegoś teatru. Pytają, czy nie przyjmiecie do pracy karlic.

— Co takiego? — zdziwiła się Maszka.

— Jasne, że przyjmujemy! — Roześmiałam się.
Sekretarka trzasnęła drzwiami. Machnęłam ręką z miną „zapomnij o tym”.

— Ale przecież im mówiła, że nie umie strzelać!
— Maszka podjęła przerwany temat.

Nie rozumiałam, czemu broni Oli.

— I ten jej paskudny nawyk zachowywania się jak mężczyzna! Pewnie lesbijka! — Za późno ugryzłam się w język.

— Ma doświadczenie. I tylko ona dobrze wie, o jaką pracę chodzi.

Ola została przyjęta.

Potem zgodziłyśmy się na Modelkę. Tę, która przyszła z przyjaciółką. Wbrew zaleceniom Ilii przyjaciółkę też wzięłyśmy. Postanowiłyśmy zrezygnować z niej po konsultacjach u psychologa.

— Bierzymy Crazy?

Co to „mogłaby zabić”.

— Daj spokój, przecież to wariatka — ze śmiechem ucięłam dyskusję.

Andżela obchodziła urodziny.

Zorganizowała je w klubie ze striptizem.

Tylko dla przyjaciół.

Oprócz Andżeli byliśmy ja, Maszka, trzy trudne do rozróżnienia modnisie, gej Andriusza w skórzanych spodniach i dwóch chłopaków w połyskujących koszulkach, chyba hetero.

Niewielka okrągła sala oświetlona na czerwono. Dookoła — miękkie kanapy. Na środku — obity aksamitem podest dla striptizerów. Taka miniarena. Obrotowa. Siedział na niej wielki pluszowy niedźwiedź z różową kokardą. Prezent od geja.

Miś kręcił się na podeście, kierując swój pluszowy uśmiech do wszystkich po kolei.

Była jedenasta w nocy. Wcześniej zjedliśmy kolację na balkonie Andżeli. Lekki poczęstunek z koktajlami i koksem. I z czeburekami z „Białego Słońca Pustyni”.

Pięć gramów koksu Andżela skrupulatnie podzieliła na grube kreski. Wyglądały jak nasypy kolejowe. Ja pocięłam rurki do koktajli.

„Nasypy kolejowe” zostały przygotowane na oddzielnym stoliku, tuż obok deserów.

Podane na urodzinowy stół przypominały półmartwe nagie ciała na balu wampirów.

W całym mieszkaniu i na balkonie paliły się świece.

Wazony były pełne białych kwiatów. Tego zażyła sobie Andżela — żeby każdy przyniósł jej białe kwiaty. Chciała też, żebyśmy wszyscy byli ubrani na biało, ale na szczęście tylko ja jej posłuchałam. I tak miałam ochotę włożyć białą sukienkę. Kupiłam ją zimą w Courchevel, żeby się wystroić na Nowy Rok, ale wtedy założyłam coś innego. A sukienka w szafie czekała na swoją kolej, z ceną tysiąc dwieście dolarów na metce. Wcale nie drogo.

Przed obracającymi się na podeście striptizerkami wyglądalibyśmy w białych ubraniach jak grupa studentów medycyny na zajęciach z anatomii.

Mogliby wziąć nas za zboczeńców i nie wpuścić.

Chociaż nie — na pewno by nas wpuścili, bo wstęp kosztował sto dolarów, a z dziewięciuset dolarów klub by nie zrezygnował.

Zza aksamitnej zasłony wyszła dziewczyna w bikini w tygrysie cętki.

— Mogę przejechać się z waszym misiem?

Pozwoliliśmy jej.

Zrobiła striptiz, adresując go do niedźwiedzia. Rzuciła mu płomienne spojrzenia i części garderoby. Na koniec zdjęła z niego różową kokardę. Występ był bardzo sexy.

Piłam wermut w trójgraniastym kieliszku.

Samochód zostawiłam w domu. Przyjechaliśmy do klubu długą białą limuzyną. Miała potem porozwozić nas do domów.

Wynajęcie limuzyny było prezentem od młodych ludzi w świecących koszulach.

Jednemu z nich na kolanach siedziała półnaga striptizerka. Wyginała się ponętnie, łąsiła i co chwila wyciągała sto dolarów z pliku trzymanego przez niego w rękę, jakby odrywała płatki jakiegoś zielonego kwiatu.

Andżela poprosiła, żeby usunąć z podestu misia i dziewczynę, weszła na niego i wykonała „erotyczny taniec jubilatki”. Bez rozbierania.

Ja też nabrałam ochoty, żeby wejść na podest. W końcu od dzieciństwa marzyłam o scenie.

Tego uczucia nie da się z niczym porównać. Maszka i gej rzucali mi banknoty. Czułam się gibka i pociągająca. Gdybym miała na sobie bluzkę, na pewno bym ją zdjęła. Zsunęłam ramiączka sukienki.

O mały włos zrobiłabym szpagat, ale w porę się opanowałam. Nie umiem robić szpagatu. Zamiast tego zaprezentowałam coś w rodzaju „psa z głową w górę”.

Wydawało mi się, że jestem wyzwolona i pełna erotyzmu. Może zresztą naprawdę tak było.

Postanowiłam zatrudnić się tutaj incognito jako striptizerka i występować dwa razy w tygodniu w masce.

Chyba każda kobieta w głębi duszy ma potrzebę striptizu. Wystarczy, że trochę wypije.

Ktoś zaproponował, żeby wciągnąć po kresce białej damy.

Andżela stwierdziła, że wtedy wezwą milicję.

Na podeście tańczyła teraz Maszka. Dołączyła do niej striptizerka. Stanowiły wspaniały duet. Zmysłowość w połączeniu z profesjonalizmem.

Ja i gej poszliśmy obejrzeć klub. Mieliliśmy najdroższe bilety, dlatego mogliśmy wszędzie wchodzić.

Sala „Kamasutra”.

Sala „Show z wibratorem”.

Na scenie trwał pokaz prawdziwej miłości lesbijskiej. A raczej prawdziwego lesbijskiego seksu. W końcu, nawet u lesbijek, to nie to samo.

Show nie wywołał u mnie żadnych emocji. Wręcz przeciwnie. Ostudził te, które we mnie były.

Zero romantyzmu.

Naga prawda życia.

Nagiej prawdzie przyglądało się hałaśliwe towarzystwo podobne do naszego i samotny pijany Ormianin wysokiego wzrostu. Nie spuszczał oczu z kobiecych organów płciowych i ruchem robota rzucał na scenę sturublowe banknoty. Co dwie minuty jeden. Jak „Siewca rozrzucający obligacje” z Dwunastu krzesł

Świecące Koszule poszły do sauny. Z psiapsiółkami Andżeli i dwiema striptizerkami.

Maszka też gdzieś przepadła.

— Poszła na lesbos-party — oznajmiła Andżela z przekonaniem.

Uparcie puszczałyśmy w ruch koło fortuny, z nadzieją, że wygramy samochód. Albo wycieczkę do Egiptu. Ale na razie wygrywałyśmy tylko nagrody pocieszenia — prezerwatywy.

Po pewnym czasie obsługa ulitowała się nad nami i poinformowała, że każde zakręcenie kołem

kosztuje dwieście dolarów. Rachunek dostaniemy przy wyjściu.

Dlatego też ociągałyśmy się z wychodzeniem. Dopóki poślinionymi palcami nie zebrałyśmy ostatnich drobinek koko-dżambo ze śnieżnobiałej splotki w damskiej ubikacji.

Andżela wyciągnęła palec oblepiony białym proszkiem w kierunku moich ust. Najwyraźniej przypomniała jej się nasza noc na dacy. Popatrzyłam na nią uważnie i oblizałam palec. Andżela roześmiała się i wyszła. Ja też się roześmiałam. Resztki z mojej ręki wtarłam sobie w dziąsła, które zdrętwiały mi tak, że mogłabym bezboleśnie powyrywać sobie zęby.

Zachciało mi się pić.

Następnego dnia jubilatka musiała iść do pracy. Tatuś był pod tym względem bezlitosny, nawet dwudzieste urodziny nie mogły stanowić wymówki.

— Ciągle próbuję mu wytłumaczyć, że nam się to nie opłaca — opowiadała Andżela. — Ile wydaję na parking i benzynę! A obiady w restauracji na parterze? Wcześniej przynajmniej jadłam w domu, a teraz — nie! Mówię mu: „Policz sobie, ile mnie ta praca kosztuje!”.

Pojechałam spać na daczę. Chociaż równie dobrze wyspałabym się w limuzynie. Wszyscy by się zmieścili. Była długa jak rozciągnięty jamnik.

Na zakrętach ja i kierowca mieliśmy różne widoki za oknem. Ja widziałam to, co przed, a on to, co za zakrętem.

Po krętych drogach Rublowki limuzyna mknęła ze zręcznością skateboardzisty lawirującego w tłumie przechodniów.

Obudził mnie głód. Była siódma wieczorem.

Poszłam po gospozię.

Jej mąż czyścił rynny, stojąc na ostatnim stopniu jedenastometrowej drabiny. W zielonym kombinezonie roboczym. „Mam nadzieję, że nie zniszczył Ferari” — pomyślałam.

„Nie spadnie pan?” — chciałam spytać z głową zadartą do góry.

Ale stwierdziłam, że nie będę mu przeszkadzać.

W poszukiwaniu Sławy weszłam do ich pokoju położonego na samym końcu niskiego parteru. Na parapecie stało mnóstwo książek. Sławy nie było.

„Sporo czytają” — pomyślałam obojętnie.

Chwilęostałam w drzwiach. Nieoczekiwanie ciekawość popchnęła mnie do książek.

Przeleciałam wzrokiem po tytułach. POTEM JESZCZE RAZ. Zamrugalam. Nie pomogło.

Jak zostać wredną suką;

Poradnik psychologiczny dla wrednych suk;

Wredna suka w rodzinie i w pracy;

Wredna suka jako bizneswoman;

Książka kucharska wrednej suki — to jeszcze mogłam zrozumieć.

Idealna figura na lato.

Moja Sława nosiła rozmiar czterdziesty szósty.

Była tam jeszcze jedna ciekawa książeczka. Jak się przebić. Na okładce widniało zdjęcie znanej aktorki. Chyba kadr z filmu. Krótka fryzura aktorki wydała mi się znajoma. No tak! Sława taką nosi. Coś podobnego! Myślałam, że ścięła swoje długie, prawie do pasa, kasztanowe włosy, żeby nie przeszkadzały jej

w pracy. A ona, jak się okazuje, postanowiła zostać wredną suką i się przebić!

Trzeba będzie po kryjomu coś z tego poczytać. Mam nadzieję, że nie ma tam rad typu: „zabij swoją chlebodawczynię i ubierz się w jej sukienkę”.

Wydawnictwo „Feniks”. Ciekawe, czy wiedzą, kto jest ich grupą docelową?

Znalazłam Sławę w pokoju dzieciennym. W wielkiej misce myła samochody Artioma. Popatrzyłam na nią z zainteresowaniem. I podejrzliwie zarazem. „Wredna suka jako bizneswoman”.

Sława zostawiła samochody i poszła usmażyć mi kotlety z młodej kapusty.

Poprosiłam, żeby nakryła na werandzie. Mimo że słońce już zaszło.

Do kotletów zrobiła wyszukany sos. Śmietanowy z czosnkiem. I z bazylią. Na pewno z Książki kucharskiej wrednej suki.

10

Do gabinetu psychologa dotarłam w podłym nastroju. Depresja, która jakiś czas temu zapuściła korzenie w mojej psychice, rozkwitła teraz na całego. Jej kwiaty były czarne i kłujące.

Po urodzinach Andżeli nie udało mi się odnaleźć Maszki i musiałam przyjechać tu sama.

Okazało się, że psychologiem jest tleniona blondynka. Na parapecie stała torebka Chanel.

„Pewnie jakaś aferzystka”, pomyślałam.

Przyjmowała w zaniedbanym gabinecie w sute-renie.

Rozmawiała z Waligórą. Skinęłam jej głową jak dyrektorka w mojej szkole, kiedy wchodziła do klasy w trakcie lekcji.

— Może dlatego że dawno nie miałas mężczyzny?
— powiedziała psycholożka tak bezpośrednio, jakby
znały się z Waligórą od przedszkola.

— Dlaczego dawno? Miałam pięć dni temu — za-
protestowała Waligóra, bez cienia samochwalstwa.

— To znaczy, że nie czujesz się kobietą nawet w
trakcie zbliżenia?

— Nie o to chodzi...

Poczułam, że moja obecność tutaj jest nie na
miejscu. Miałam ochotę przeprosić i wyjść. Najcie-
kawsze było to, że w ogóle nie zwracały na mnie
uwagi. Jakbym była powietrzem. Chyba się nawet
uszczyptałam, żeby upewnić się, że istnieje.

— A o co?

— O to, że nikt nigdy nie nosił mnie na rękach.
Jeden facet próbował kiedyś przenieść mnie przez
kałużę, jak na filmie, ale się przewrócił, i oboje
wylądowaliśmy w błocie.

Oczy psycholożki wyrażały powagę bez udawanego
współczucia. Zuch dziewczyna.

Wyobraziłam sobie Waligórę w błocie. A pod nią
szalonego śmiałka, jakich wielu chodzi po świecie.

— Dlaczego wycofałaś się ze sportu?

— Miałam zwichnięte ramię. Teraz przy byle
uderzeniu wyskakuje mi ze stawów i trzeba je na-
stawiać.

— Stanowiło to dla ciebie problem?

— Nie. Problemy zaczęły się później. Kiedy oka-
zało się, że jestem najwyższa z moich znajomych.

Biedna Waligóra. Zrobiło mi się jej żal. To już
lepiej być małą. Karlicą. Chyba. Taka przynajmniej
może stawać na palcach.

— Powinnaś bardziej koncentrować się na sobie, a mniej na otoczeniu. Weźmy przykład. Jakiego koloru majtki masz dzisiaj?

Waligóra się zamyśliła.

Ja też. Przypomniałam sobie. Czarne z czerwoną koronką. Kiedy się ubierałam, przez chwilę trzymałam je w rękę i myślałam, czy nie będą prześwitywać przez spódnicę.

— Białe — powiedziała Waligóra z przekonaniem.

— A dlaczego?

Waligóra się zmieszała. Po raz pierwszy spojrzała na mnie. Jakby ode mnie mogła się dowiedzieć, dlaczego przyszła do psychologa w białych majtkach. Bo może do psychologów trzeba przychodzić w zielonych — w kolorze trawki i stanu relaksacji. To znaczy nie trawki, tylko trawy. Gazonu.

— Dlatego że masz same białe? — spytała psycholożka beznamiętnie, tak że nie wiedziałam: czy to źle mieć same białe majtki, czy dobrze.

— Nie. Po prostu te schły na kaloryferze i wzięłam je, żeby nie grzebać w szafie.

Wyobraziłam sobie kaloryfer, na którym schły białe majtki Waligóry. Ogromne, w kształcie odwróconego domku. Widziałam coś podobnego w supermarkecie. Oczami duszy zobaczyłam taki kaloryfer w moim salonie. Brr!

— Mam dla ciebie zadanie. Codziennie rano masz poświęcić trzy minuty na wybór bielizny. Po kilku dniach wydłuż ten czas do pięciu minut. Przymierzaj, zdejmuj, przeglądaj się w lustrze, rób, co chcesz, bylebyś przez pięć minut wybierała majtki.

Waligóra posłusznie pokiwała głową.

— Kiedy nauczysz się spędzać dziesięć minut na wyborze bielizny, przestaniesz się czymkolwiek przejmować.

Nie mogłam się zorientować — kpi czy mówi poważnie?

Waligóra wzięła długopis i na małej kartce zapisała: „5 minut. Lepiej — 10”.

— A tak poza tym, nigdy nie próbowałaś przenieść swojego mężczyzny przez kałużę?

Waligóra ze zdumieniem popatrzyła na psycholożkę.

— To spróbuj. Myślę, że ci się spodoba.

— A co pani napisze o mnie w opinii?

— A jak uważasz?

Waligóra się zastanowiła, po czym bez wahania powiedziała:

— Że jestem zakompleksiona. Ale obowiązkowa.

— I co jeszcze?

— Że mam swoje dziwactwa, ale można na mnie polegać.

— Tak właśnie napiszę.

Spodobała mi się Waligóra. A raczej obie mi się spodobały. Do tej pory byłam nie najlepszego zdania o psychologach i psychiatrach. Słyszałam o nich od mojej przyjaciółki Nastii. W dziesiątej klasie kolejny raz pokłóciła się z mamą i próbowała się otruć. Chyba się natykała diazepamu.

Mama wezwała karetkę. Lekarz z pogotowia powiedział jej, że w takich wypadkach są zobowiązani odwieźć pacjenta do szpitala psychiatrycznego. Działo się to pod koniec pierestrojki. Ale łąpówki już brali. Mama Nastii im nie zapłaciła i dziewczynę odwieźli

do domu wariatów. Leczyli ją głównie sulfazyną. Zobaczyłam Nastię miesiąc później z okna taksówki, jak kuśtykała po naszej ulicy. Wybiegłam jej na spotkanie. Mówiła powoli i bez sensu. Tylko dwa razy uśmiechnęła się łobuzersko, jak tylko ona potrafiła. Jakby jej nieprzenikniona maska zniknęła na dwie krótkie chwile. Zabrałam ją do domu. Na kanapie leżało czasopismo. „Pionier” czy coś w tym rodzaju. Nastia usiadła i machinalnie je otworzyła. W środku było opowiadanie. O wojnie. Całkiem dobre. Pamiętam, że mi się podobało. Na jego podstawie nakręcono film. Nastia zaczęła płakać. Gorzko i gwałtownie. Nigdy nie zapomnę jej twarzy mokrej od łez.

Okazało się, że w szpitalu codziennie od czwartej do piątej czytano fragment tego opowiadania. Pacjenci musieli płakać całym kolektywem. W Nastii wyrobił się odruch warunkowy.

Takie to było leczenie. Nawiasem mówiąc, mama Nastii musiała wykupić jej kartotekę ze szpitala, żeby Nastia mogła iść na studia. Wtedy świrów nie przyjmowali. Nie wiem, jak teraz.

Waligóra dyktowała psycholożce jakieś swoje dane, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie wspomnieć przy okazji o moich lękach. I przygnębieniu. A jeśli mnie też poradzi mierzyć majtki?

Wyobraziłam sobie tę rozmowę:

„Kiedy to się zaczęło?”

„Jakiś dwa miesiące temu”.

„Zdarzyło się coś wcześniej?”

„Nie”.

„Czy lęki czasem zanikają?”

„Tak”.

„Kiedy? W jakich sytuacjach?”

„Jak sobie wciągnę kreskę”.

Faktycznie. Może cała ta depresja wzięła się z kokainy?

Nagle zdałam sobie sprawę, że właśnie tak jest. Tkwię w błędnym kole.

Sama umiem udzielić sobie porady psychologicznej. Powinnam mniej snifować.

Tamara nie stawiała się do pracy. Zadzwoiłam do niej do domu.

— Nie dałam rady... — wybąkała.

— A jutro da pani radę? — spytałam tak, jak się pyta chorych psychicznie: łagodnie i ze świadomością, że odpowiedź może być nieadekwatna do pytania.

Tamara już dwa lata była moją gosposią. Ogólnie rzecz biorąc, nie miałam jej nic do zarzucenia.

— Tak — powiedziała niepewnie.

— W takim razie do jutra.

Chyba nie dojdzie do tego, że będę musiała przywieźć Sławę z daczy?

Mam nadzieję, że Tamara jutro tu dotrze.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych. W naszym domu drzwi mają tendencję do trzaskania.

Pewnie Roma. Nareszcie. Złapałam pierwszą z brzegu myjkę i zaczęłam zawzięcie szorować szafkę kuchenną.

Roma zastygł na progu kuchni.

Zdmuchnęłam z twarzy kosmyk włosów. Tamara zawsze tak robiła.

Tarłam szafkę, nie zwracając uwagi na Rome.
„Zobacz, co potrafię!”

Sądziłam, że milczy w zachwycie nad moimi
gospodarskimi talentami.

— Musimy porozmawiać — odezwał się.

Przecierałam półki, nie odwracając głowy w jego
kierunku. „Skrzywdzona i obrażona żona przy pracach
domowych”.

— Olu!

Rzadko zwracał się do mnie po imieniu. Pewnie
zrobiło mu się wstyd, że on wraca z zabawy, a ja tu
sprzątam całe mieszkanie. A w dodatku zaraz będę mu
gotować obiad. I... Co jeszcze? Ach tak — prac jego
rzeczy. I prasować. I? Wyprowadzę psa na spacer!
Stop. Nie mamy psa.

Milczałam z urazą.

— Zostaw tę gąbkę! — wybuchnął Roma. — I tak
nie umiesz niczego myć! Jeszcze coś zniszczysz...

Speszyłam się.

Pomyślałam chwilę i wrzuciłam myjkę do zlewu.
Sięgnęłam po papierosy.

— No co?

— W Monako jest klinika, która się specjalizuje w
leczeniu narkomanów. Uważam, że powinnaś...

— Co takiego? — wykrzyknęłam oburzona.

— Nie przerywaj. Daj mi dokończyć. Powinnaś tam
pojechać. Nie zdajesz sobie sprawy, że to już za daleko
zaszło. Nie chodzi mi o nas, tylko o ciebie.

— Bzdura. Zacząłeś tę rozmowę, żeby nie musieć
się tłumaczyć, gdzie się szlajałeś przez trzy dni.

— Olu, pomyśl o Artiomie. Miał zapalenie
otrzewnej, potem zrosty...

— O Artiomie? — wrzasnęłam. — A ty jak często myślisz o Artiomie? Zapomniałeś złożyć mu życzenia imieninowe! Mimo że moja mama ci o tym przypominała! A spotkanie rodziców w szkole? Pojechałeś? A on czekał! Nic cię nie obchodzi. Kiedy ostatni raz zabrałeś go do kina?

Roma wyszedł. Biegłam za nim po mieszkaniu, ciągnąc swoje demaskatorskie przemówienie. Po kilku minutach zabrakło mi sił.

— Co? Nie masz nic do powiedzenia?

— Po prostu z tobą nie da się rozmawiać. Od razu zaczynasz wrzeszczeć.

— Gdzie byłeś przez te trzy dni? — wrzasnęłam.

— A ty gdzie wczoraj nocowałeś?

— Byłam na urodzinach u Andżeli!

— Nie zauważyłaś przypadkiem, że już od dawna wszędzie chodzisz sama?

— Roma, czego ty chcesz?

— Już niczego. Odchodzę.

— Dokąd? — W moim głosie nie było niepokoju. Raczej szyderstwo.

— Najpierw do hotelu. Potem zobaczę.

— Masz za dużo pieniędzy? Musisz je wydawać na hotel?

— Powiedz Tamarze, żeby mnie spakowała. Przyślę kierowcę po rzeczy.

— Zabieraj się! Wolna droga! I sam sobie proś Tamarę, o co chcesz! Ja mam swoją godność!

— Nie masz pojęcia o godności.

— Spotykasz się z jakąś kurwą!

— Skoro tak uważasz...

Na sekundę zamarłam. Poczułam, że skóra na mojej głowie oddzieliła się od czaszki. Pewnie włosy stanęły mi dęba.

Doskoczyłam do Romy.

Dawno tego nie robiłam. Najpierw trzeba trochę rozluźnić rękę.

Wymierzyłam mu siarczysty policzek.

Znowu się zamachnęłam, ale Roma chwycił mnie za przegub dłoni.

— Uspokój się. Nikogo nie mam.

— Spieprzaj stąd!

Myśli, że odchodzi? To ja go wyrzucam z domu!

— Nawet nie wiesz, jak mi działasz na nerwy.

Wyszedł.

Pierwszy raz był wobec mnie ordynarny.

Usiadłam na kanapie. Wcisnęłam guzik pilota. „Działam mu na nerwy”.

Może naprawdę tak jest?

Pomyślałam, że właśnie opuścił mnie mąż. Hm. Zgodnie z tradycyjnym modelem zachowania powinnam teraz płakać, zawodzić i rwać włosy z głowy.

Miałam poczucie, że tę partię przegrałam. I czekam na rewanż.

Dokąd on pójdzie? I po co? Żeby dać mi nauczkę? Przecież chciał, żebym pojechała do Monako.

A może jednak kogoś ma.

Mężczyźni nie odchodzą, jeśli nie mają do kogo. W każdym razie żadna z moich znajomych nie była w stanie tak zaleźć mężowi za skórę, żeby ten wyprowadził się do hotelu.

Myśl, że Roma ma kochankę, wydała mi się absurdalna. Podobno kobiety zawsze wyczuwają takie rzeczy. A ja niczego nie wyczułam.

Chyba że chodzi o jakąś prostytutkę.

Mimo wszystko Roma jest zbyt dobrze wychowany, żeby porzucić rodzinę dla prostytutki.

Muszę coś zrobić. Tylko co?

Zadzwoiłam do Kati.

— Mąż mnie zostawił — oznajmiłam i z ciekawością czekałam na jej reakcję.

Ale takiej reakcji się nie spodziewałam.

— Tak?

Ani śladu zaskoczenia.

— Czuję się, jakbym właśnie ci powiedziała, że na śniadanie jadłam jajecznicę. Z dwóch jajek.

— W sumie można było to przewidzieć.

— Można było przewidzieć, że Roma mnie porzuci?

— No, tak. Przecież ostatnio mieliście dość luźne układy. A faceci tego nie lubią.

— Katia, powiedz szczerze: masz zamiar mi współczuć czy nie?

— Przyjadę do ciebie, chcesz? — moja przyjaciółka w końcu się opamiętała.

Skąd mi przyszło do głowy, że ona jest moją przyjaciółką?

— Nie. Nie chcę.

— A co robisz?

— Sprzątam kuchnię. Gospościa dziś nie przyszła.

— Aha.

Znowu się nie zdziwiła. Jakbym codziennie coś sprzątała.

Obeszłam całe mieszkanie. Miałam mętlik w głowie.

Z szafki na książki wyjęłam puderniczkę. Tak naprawdę było to stylizowane na puderniczkę opakowanie po kremie Renaissance Cellulaire Yves Rochera. Lubię kremy tej firmy. I Celi Cosmet.

Dla mnie było to coś więcej niż tylko pudełko po kremie. To był mój żelazny zapas.

Kokaina świetnie sobie radzi z mętlikiem w głowie.

Położyłam się i cichutko zapłakałam.

Może lepiej będzie pojechać do Andżeli.

W „Delikatesach Jelisiejewskich” wzięłam dwie butelki chardonnay i podeszłam do kasy.

— Dwa tysiące dwieście osiemdziesiąt — uprzejmie oznajmiła kasjerka w chusteczce na głowie, jakie nosiła cała żeńska część obsługi.

Podałam jej kartę i zaczęłam podziwiać sztukaterie na suficie.

— Terminal nie akceptuje karty.

— Niech pani jeszcze raz spróbuje — poradziłam jej obojętnie, nie odrywając wzroku od zawilego wzoru.

— Niestety.

Spojrzałam na kasjerkę. Miałam wrażenie, że uśmiecha się drwiąco.

— Proszę zadzwonić do banku.

Do banku musiałam zadzwonić sama. Byłam cała w nerwach. Na pewno Roma zablokował moją kartę. To do niego niepodobne, ale słyszałam, że mężczyzna całkowicie się zmienia, kiedy odchodzi.

Okazało się, że przekroczyłam limit na ten miesiąc. Oczywiście przez koło fortuny. I koko-dżambo.

Zawsze trudno mi się zmieścić w limicie.

Była dopiero ósma wieczorem.

Czułam się wściekła i zagubiona zarazem. W torebce miałam pięćset rubli.

Żeby zachować twarz, kupiłam kilka butelek piwa.

Nie zadzwonię do Romy. Niech sobie nie myśli. Pożyczę pieniądze od Andżeli.

Andżela siedziała na stolku barowym w swojej kuchni i rozmawiała z ojcem przez telefon:

— Nie, mama była tu z projektantem godzinę temu, wybierali dla mnie zasłony... Nie wiem...

Zrobiła śmieszoną minę, która miała oznaczać: „Przepraszam cię, zaraz będę wolna. Sama rozumiesz — tata”.

— Czasami wypisują nam rachunki na to samo imię i nazwisko... Nie, po prostu tak jest wygodniej... W tym salonie wszyscy nas znają... Jak to „często”?

Andżela teatralnie przewróciła oczami. Uśmiechnęłam się do niej ze współczuciem.

— Jasne, że mogę rozpoznać po zabiegach, która z nas jaki brała. Jesteśmy w różnym wieku i bierzemy różne zabiegi... Niekoniecznie mama bierze droższe...

Usiadłam naprzeciwko niej i machinalnie sięgnęłam do wazy po cukierka.

— Wcale nie, we wszystkich salonach są podobne ceny, tamten prowadzą nasi znajomi i jest najlepsza obsługa... To pa. Całuję.

— Koszmar — westchnęła. — W tym miesiącu zaszalałyśmy z mamą w salonie odnowy i ojciec dostał astronomiczny rachunek. Chyba ustrzeliłyśmy dwudziestkę.

— Co ty? Dwadzieścia tysięcy dolarów?

— Przecież tam jest drogo jak cholera! Nic się na to nie poradzi. A mama wyjechała i sama muszę się wyplątywać.

— No, koszmar — zgodziłam się.

— Właśnie się zdziwiłam, że nam kartę rabatową sami przynieśli, i to na talerzyku z błękitną obwódką...

— Ja też przekroczyłam limit.

— I co? Zablokowało cię?

— Właśnie — westchnęłam.

— To powiedz Romie, przecież cię nie zostawi bez pieniędzy.

— Odszedł ode mnie.

Andżela z uwagą popatrzyła mi w oczy.

— No co ty?

— Tak. Powiedział, że jutro przyśle po rzeczy.

— Ale numer. Ma kogoś?

Wzruszyłam ramionami:

— Nie wiem. Chyba nie.

— Przejmujesz się tym?

— No.

— Co za okropny dzień. — Andżela zignorowała mojego grolscha i wyjęła z lodówki otwartą butelkę wina. — Rozmawiałam z Maszką i...

— Co?

Andżela zamyśliła się i spojrzała na mnie w skupieniu.

— Też ma kłopoty finansowe.

— Tak?

— A w dodatku coś czuję, że przeszła na herę. —
Andżela westchnęła dwuznacznie.

— Nie mów!

Wiele razy proponowano mi heroinę. Zawsze odmawiałam. Wydawało mi się, że branie heroiny to już narkomania.

— Przez cały tydzień wyciąga ode mnie pieniądze. Jakbym je drukowała. A wiesz, jakie mi ojciec awantury urządza... I jeszcze będę musiała prosić, żeby mi dał na wyjazd.

— Dokąd jedziesz?

— Na czerwiec — do Monako. A potem zobacze.

— Może bym pojechała z tobą.

— Pewnie!

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy z tym Monako. Do żadnego Monako się nie wybieram.

Przywieźliśmy Artioma na lotnisko. Trochę się niepokoiłam. W końcu pierwszy raz pojedzie sam za granicę. Leciał British Airways. Przed odprawą pasażerów powiesiliśmy mu na szyi paszportówkę z dokumentami. Stewardesa uśmiechnęła się profesjonalnie.

— Proszę się nie martwić. Będę go trzymać za rękę i puszcę dopiero wtedy, jak już będzie przypięty pasami. — Tak sobie przetłumaczyłam, co powiedziała piękną angielszczyzną.

Roma uściskał synowi dłoń.

— Dzwon. I nie tęsknij. Ucz się angielskiego.

Objęłam Artioma:

— Poznasz nowych kolegów. A jak tylko będziesz chciał pogadać po rosyjsku, zaraz dzwoń do mnie. Albo do taty.

Artiom sprawiał wrażenie, że chce się z nami jak najszybciej pożegnać. Patrzył na stewardesę jak na swoją własność i wielkodusznym uśmiechem przeproszał ją za sentymentalnych rodziców.

Odprowadzaliśmy ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za bramką kontroli celnej.

— Mogłaby mu pomóc nieść plecak — powiedziałam niezadowolona.

— Brytyjski model wychowania tego nie przewiduje — odparł Roma.

Przyjechał do domu poprzedniego wieczoru, kiedy babcia przywiozła Artioma z daczki.

Żeby nie stresować dziecka przed podróżą.

Akurat jadłam z Artiomem kolację.

Roma skinął mi głową tak, jakbyśmy rozstali się godzinę wcześniej.

Przez chwilę powyglądał się z synem.

— Zjedz z nami! — powiedziałam serdecznie. Czułam się jak Elizabeth Taylor na premierze filmu.

Dzieci wszystko wyczuwają. Trudno je oszukać. Ale właśnie to próbowałam robić. Artiom musi polecieć do Londynu, nie wiedząc, że w domu jest coś nie w porządku. Roma usiadł przy stole.

— Nie jestem głodny.

— To może herbaty?

Przyniosłam filiżankę i imbryk. Z lodówki wyjęłam tort. Lodowy. Super.

Roma spoglądał na mnie nieufnie. Moja troskliwość wyraźnie go niepokoiła.

Nalałam herbaty.

— Zaraz po przyjeździe masz oddać pięćset dolarów miss Samson, dobrze? Będzie ci je dawać po trochu, jak pojedziecie na zakupy — wyjaśniał Roma Artiowski, nie zwracając na mnie uwagi. Nawet nie podziękował za herbatę.

— Miss Symsyn? — spytał Artiom.

— Miss Samson — wyraźnie powtórzył mój mąż.

— Miss Sam-son — tym razem Artiom wymówił nazwisko poprawnie.

— No dobra. Mecz się zaczął.

Słyszałam, jak Roma sadowi się na kanapie w salonie i włącza telewizor.

Nienawidziłam, kiedy wychodził w trakcie posiłku.

Świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

Dlaczego tak się zachowuje? Jakbym to ja zrobiła coś złego. Jakby to nie on odszedł. Myśli, że skoro na niego nie krzyczę, to czuję się winna?

Nie rozumie, że jestem taka miła, nie żeby mu się przypodobać, tylko ze względu na dziecko?

Przyskoczyłam do niego z wściekłością.

Rozparł się na poduszkach jak basza.

— Bądź uprzejmy wstać i wrócić do syna! — wyszczałam. — Mecze możesz sobie oglądać w hotelu. Czy gdzie tam nocujesz.

Identyczny wyraz oczu miał na chwilę przed tym, jak go ostatnio spoliczkowałam.

Pewnie spodziewał się kolejnego uderzenia.

Poszedł do kuchni.

Artiom spojrzął na nas podejrzliwie.

— Już zjadłem. Kłóćcie się dalej.
— Skąd ci, dziecko, przyszło do głowy, że się kłócimy? — spytałam łagodnie.

Roma stał w drzwiach.

— Mama po prostu się martwi, że jutro wyjeżdżasz.

— Tata też się martwi — podchwyciłam.

— Mama nie może sobie miejsca znaleźć.

— Za to tata raz-dwa sobie znalazł.

— Mam was dosyć! — Artiom zwykle powstrzymywał się od podobnych wybuchów.

Na chwilę odebrało nam mowę.

— Artiom! Co to ma znaczyć? Jak ty się odzywasz?
— oprzytomniałam pierwsza.

Artiom milczał ponuro.

— Marsz do gabinetu! Porozmawiamy sobie — nakazał Roma.

Nie najlepszy pomysł z tym gabinetem. Dlatego że już od dawna korzystam z niego jak z buduaru.

Wyobraziłam sobie, jak Roma ze złością rozprawia się z zasuniętymi na głucho zasłonami. I wypuszcza dzieńne światło do pokoju, który zdążył zapomnieć, jak ono wygląda.

Artiom wyszedł po dziesięciu minutach. Było widać, że płakał. Poszedł się umyć. Wpadłam do gabinetu.

Okno było zasłonięte. No tak, minęła już dziesiąta wieczorem.

— Coś ty mu powiedział? Jeśli go skrzywdziłeś...
— prawie krzyczałam.

— Rozmawialiśmy normalnie.

— Po tej normalnej rozmowie on teraz pewnie płacze! A jutro wyjeżdża! Niczego nie potrafisz zrobić jak trzeba!

— Nie zbliżaj się do mnie. I daj mi wreszcie spokój. Będę spał tutaj.

— Jak śmiesz?!

Dumnie uniosłam głowę. Co za cham.

— Artiom płakał, bo boi się sam lecieć samolotem.

— Boi się? — to mnie zbiło z tropu.

Roma kiwnął głową.

— I co mu powiedziałaś? — aż przysiadłam z zaskoczenia.

— Że jeśli stewardesa będzie sympatyczna i weźmie go za rękę, to wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęłam się. Roma doskonale wybrnął z sytuacji. Stewardesa na pewno weźmie Artiona za rękę, bo tak dyktują przepisy dotyczące przewozu dzieci.

— Roma, a jeśli ona będzie niesympatyczna?

Zadzwoiła moja komórka. Wyświetlił się numer Maszki. Rozmawiałam z nią godzinę temu. Prosiła mnie o pożyczkę. Równie dobrze mogłaby prosić żebraka o brylanty. Moja karta była zablokowana. Ciekawe, czy Roma o tym wie? W każdym razie nie daje nic po sobie poznać. A sama nie będę go prosić o pieniądze. Na razie.

Nie odebrałam. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Romy wyjaśniłam:

— Maszka.

— To co będzie, jeśli stewardesa okaże się jakąś pokraką? — wróciłam do przerwanego wątku.

— No wiesz... Trzeba będzie trochę zepsuć dziecku dobry gust i przekonać je, że jest sympatyczna. Wszystko ma swoją cenę.

— Aha. A za piętnaście lat przyprowadzi nam jakąś tykę z końskim uśmiechem. I każe nam mówić do niej „córciu”.

— Nie martw się. Jakoś to będzie. Wyczerpaliśmy już tematy rozmów, więc wysłałam z pokoju.

Maszka przysłała mi SMS-a: „Masz koks?”.

To mnie zeźliło. Chyba już do reszty zwariowała. Wysłać mi takiego SMS-a! A gdyby ktoś inny go przeczytał? Artiom albo Roma?

Najwyraźniej gdzieś balowała na całego.

Nie odpisałam. I wyłączyłam telefon. Bo jeszcze w nocy zacznie do mnie wydzwaniać. A Roma uzna, że mam romans. I że jakiś półgłówek nie może zasnąć, dopóki nie usłyszy mojego głosu.

Przewracałam się w łóżku i walczyłam z chęcią pójścia do Romy.

„Nie, nie pójdę. Pomyśli, że się boję, że mnie rzuci. A on już mnie rzucił. Niech sam tu przyjdzie”.

— Ślicznotka! — powiedział przeciągle zachwycony Roma, patrząc na piegowatą stewardesę czekającą na nas przy odprawie. Można było pomyśleć, że to usłyszała, bo zwróciła na nas swoje wybałuszone z powodu silnych szkieł oczy.

— Rzeczywiście, całkiem do rzeczy — potwierdziłam na wyrost.

Kierowca Romy odwiózł mnie do domu.

11

Psycholożka z torebką Chanel zdyskwalifikowała pięć dziewczyn. W ich opiniach napisała tłustym drukiem: „Brak predyspozycji zawodowych”. I dla każdej wysmarowała uzasadnienie na trzy strony.

Crazy była „labilna psychicznie”, należało się po niej spodziewać „nieadekwatnych reakcji w zaskakujących sytuacjach” i stwierdzono u niej „niepełną integrację struktury osobowości”. W dodatku miała zbyt niski poziom intelektu.

Ola nie nadawała się dlatego, że była „zamknięta na rozwój” i „porywcza”, a poza tym „nie wiązała z zawodem swojej przyszłości”. Ale najbardziej niebezpieczną jej cechą okazała się „mściwość”.

Kratka grzeszyła „sentymentalizmem” i „potrzebą dokonywania bohaterskich czynów”. Poza tym

psycholożka sugerowała nam, żeby nie rozpatrywać kandydatek poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Nie spodobała jej się Modelka. „Istnieje wysokie prawdopodobieństwo nawiązywania przez nią intymnych relacji z klientami”. Na domiar złego „charakteryzuje ją egocentryzm”.

Przyjaciółka Modelki też została odrzucona. Była „słabo rozwinięta psychicznie” i „chorowita”. No i „nadmiernie podejrzliwa”.

Siedziałam w zapuszczonym gabinecie i potakiwałam.

— Ogólnie rzecz biorąc, o żadnej z nich bym nie powiedziała, że ma odpowiednie predyspozycje.

— A może spotkałaby się pani z nimi jeszcze raz, po szkoleniu?

— Dobrze, to może być ciekawe.

Zadzwoiła komórka. Andżela.

— Poczekaj sekundę, nie rozłączaj się. Zebrałam wszystkie opinie, skinęłam psycholożce na pożegnanie, położyłam na biurku trzysta dolarów i wyszłam.

— Andżela, wybacz, miałam spotkanie.

Andżela mówiła, jakby miała zatkany nos.

— Nie słyszę cię! Zaczekaj, tylko wyjdę.

Pchnęłam drzwi.

— Maszka nie żyje.

— Co? — byłam pewna, że się przestyszałam.

— Maszka.

Pierwsza myśl: „Przecież wczoraj do mnie dzwoniła. To niemożliwe”.

— Wczoraj do mnie dzwoniła.

— Do mnie też. Ale nie odebrałam. Wyobrażasz sobie? — Andżela cicho zaszlochała, po czym znie-nacka wybuchnęła płaczem.

„Ja też nie odebrałam” — przeleciało mi przez głowę.

Miałam wrażenie, że rozmawiamy o czymś nieistotnym. Co można naprawić. Jakbyśmy na przykład nie zaprosiły Maszki do restauracji i teraz trzeba było szybko do niej zadzwonić. Albo nie powiedziały jej, że do „Słowińskiego” przywieźli nową kolekcję.

— Umarła... — chlipała Andżela — rozumiesz?

Przed oczami stanęła mi twarz Maszki. Roześmiana...

— Proszę cię, przyjedź do mnie — wyjęczała Andżela.

Kiwnęłam głową i się rozłączyłam. Chciałam dokądś biec, coś robić. Nagle zrobiło mi się bardzo żal Maszki. Umarła. Wsiadłam do samochodu i rozplakałam się. To były łzy smutku. Nie rozpaczy i nie hysterii. Ciągle widziałam jej twarz. Dlaczego umarła? Wykręciłam numer Andżeli.

— Dlaczego umarła?

Na pewno zaraz usłyszę coś takiego, że się roześmieję i powiem: „Głuptasie, przecież to nie śmierć. Rozchorowała się, ale wyzdrowieje”. Jeszcze chwila i bym się uśmiechnęła.

— Przedawkowanie. Pewnie heroina. Mówiłam ci. Rano znalazła ją gospoia. Wezwała pogotowie.

Maszka zostawiła list. Pożegnalny. Chyba czuła, że jest z nią źle. A może zrobiła to celowo...

Obie płakałyśmy do słuchawki.

Z jakiegoś powodu wszystkie barwy wokół mnie stały się bardziej jaskrawe. Liście — bardziej zielone, niebo w bocznym lusterku — bardziej błękitne. Napis ŻYRANDOLE przede mną raził krzyczącą czerwienią.

Chciałam być przy Maszce, objąć ją i uspokoić.

Próbowałam wyobrazić ją sobie w kostnicy. Sztynną. Nie udało się.

Siną.

Poczułam strach.

— Andżela, jadę do ciebie.

Zatrzymałam wzrok na nieforemnym kapeluszu staruszki przechodzącej przez ulicę.

Ludzie szli, palili, nosili niegustowne kapelusze — robili dokładnie to samo, co przed śmiercią Maszki.

Ta śmierć niczego nie zmieniła. Nawet we mnie.

Pogrzeb był trzy dni później.

Przyleciała Lenka z Mediolanu. Jej siostra.

Przyjechała mama z Kryłatskoje. Z mężem.

Ludzie przekazywali sobie z rąk do rąk jej list. Kartkę z kołnotatnika.

Pierwsze dwie linijki były napisane równym pismem. „Mamusi, wybacz mi. Lenka, ty też mi wybacz”.

Następna linijka skręcała w górę, litery wyglądały, jakby krnąbrnie skakały po papierze i nie chciały

układać się w słowa. Były różnej wielkości, a ostatnie przeszły w pismo drukowane.

„Bardzo Was kocham. Nie myślcie o mnie...” Zdanie najwyraźniej się urywało. Wszyscy snuli domysły, co Maszka chciała dopisać: „źle”? A może „więcej”? Albo „niesprawiedliwie”?

Słysząc było krakanie wron.

Pochowali ją w sukni ślubnej.

Trzy lata wcześniej Maszka planowała wyjść za mąż. Kupiła suknię. Ale ślubu nie było.

Podeszłam do jej mamy. Stała nad grobem, z nieobecnyim spojrzeniem.

Uśmiechałam się.

Patrzyła na mnie na wylot, pod ziemię.

Chciałam spalić się ze wstydu za mój uśmiech, ale im bardziej byłam spięta, tym szerzej się uśmiechałam.

Równie dobrze mogłam wybuchnąć śmiechem.

Mam to od dzieciństwa.

Pierwszy raz mi się to przydarzyło, kiedy na obozie pionierskim zdechło piskłę. Od tamtej pory zawsze się uśmiecham. Kiedy inni płaczą.

Kiedyś rozstawałam się z chłopakiem. Zdradził mnie. Uśmiechałam się od ucha do ucha. Mimo że chciało mi się ryczeć. A on patrzył na mój uśmiech i czuł się jak śmieć. Myślał, że jest mi obojętny. Gdyby choć trochę bardziej był mi obojętny, ryczałabym. I jego ambicja tak bardzo by nie ucierpiała. Dzwonił do mnie jeszcze przez kilka lat.

Zaskoczyła mnie obecność Ilii. Skąd się dowiedział? Pewnie od sekretarki.

Tym razem nie wydał mi się taki przystojny. W dodatku fatalnie się ubrał. Przyszedł w czarnym golfie, chociaż był środek maja. Przed kim chciał się popisać?

Wszyscy pewnie myśleli, że to jakiś krewny. Ubo-
gi. Podeszłam do niego.

Wyglądał na przestraszonego.

— Pojadę już. Mieszkamy w Reutowie — powie-
dział tonem usprawiedliwienia.

Co ma do rzeczy Reutowo? Po prostu chce jak najszybciej się stąd wyrwać. To po co w ogóle przyjechał?

— A my na Rublowce. — Nie wiem, po co to powiedziałam. Jakbym ogłaszała wyrok.

— Nikita, jak to się stało, że razem zaczęłyście organizować tę agencję? — spytała Lenka.

Wzruszyłam ramionami:

— Nie wiem.

— Widziałaś, co się z nią działo?

— Widziałam.

— To dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? — Głos drżał jej z oburzenia. — Dlaczego?

— Była moją przyjaciółką. Miałaby mi to za złe.

Lenka popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

Miałam ochotę powiedzieć: „Twoja młodsza siostra do mnie dzwoniła. W nocy. Nie odebrałam, bo bałam się, że mnie poprosi o pieniądze. A może chciała prosić o pomoc!”.

Maszka zmarła o czwartej nad ranem.

Telefon wyłączyłam wcześniej.

Lena jeszcze raz spojrzała na mnie i szybko odeszła. Na pewno wykreśliła mnie ze swojego życia. Straciła i Maszkę, i mnie.

Stypa odbywała się w Centrum Handlu Zagranicznego. Maszka nie znosiła tego miejsca. Mówiła, że jest „obciachowe”.

Myślałam o tym w łazience i płakałam.

Umarły przypomina noworodka. Decydują za niego inni. Dlatego że nie potrafi im niczego wyjaśnić. Ani przekazać swoich myśli. Tyle że ma mniej perspektyw. Chociaż kto wie?

Usypałam cienką kreskę.
„Kocham cię, Maszka”.

Lenka szukała przyjaciół siostry.

Nikt się nie przyznawał do przyjaźni z Maszką.

Lenka podejrzewała mnie.

Rozmawiała ze mną zimno i z nienawiścią.

Raz zadzwoniła mama Maszki. Płakała. Krzyczała, że nie upilnowaliśmy jej córki.

Chciałam ogłuchnąć.

Przyszli do mnie z milicji. Dobrze, że Artiom wyjechał. Tamara patrzyła na mnie spod oka.

Milicja zjawiała się na prośbę Lenki. Wypytywali mnie. W charakterze podejrzanej.

— To nie moja wina! — krzyknęłam do słuchawki.

— Czyżby? — odparła Lenka.

— Sama ją opuściłaś!

Wcale tak nie myślałam. To była moja wina. Moja — jej przyjaciółki. W dodatku starszej. Maszka umarła przeze mnie.

Milicja chyba też była tego zdania.

Jak to się mogło stać?

Trzeba uciekać. Tylko dokąd?

Albo raczej — od czego?

Chcę być dobra. Żeby moje przyjaciółki nie umierały.

Muszę poszukać sobie nowych przyjaciółek i zacząć nowe życie.

12

Zostawiłam samochód na drugim poziomie podziemnego parkingu. Drugi poziom był przeznaczony dla pracowników.

Przyjechałam do biura pierwszy raz od śmierci Maszki.

Powoli szłam korytarzem, jakbym chciała coś odwlec.

Za mną trzasnęły drzwi. Odwróciłam się.

Andżela. Na wysokich szpilkach i z różową torebką-sakiewką.

— Koszmar! — oznajmiła na powitanie. — Nie dość, że im daliśmy komputer, to jeszcze mam im kupować papier do drukarki!

Uśmiechnęłam się.

Andżela nigdy nie będzie miała problemów ze znalezieniem pracy. Każda firma z pocałowaniem ręki przyjmie pracownika kupującego komputery i papier.

— Dość tego! Jak mi nie zaczną płacić — zwalniam się!

Nasza sekretarka czytała książkę *Mafijny menedżer. Poradnik korporacyjnego machiavellego*. Skinęłam jej głową i poszłam do gabinetu.

Myślałam o Maszce. Miałam wrażenie, że gdzieś tu jest. Zaraz otworzę drzwi i ją zobaczę. Z kolejną kandydatką na ochroniarkę.

Zamiast Maszy w gabinecie zobaczyłam tłum ludzików. Siedziały w fotelach, na kanapie, chodziły w kółko na swoich krótkich nóżkach. Miały poważne spojrzenia. I wielkie głowy. Niektóre przypominały zabawki Artioma.

Karzelki.

Ostrożnie zamknęłam drzwi.

— A cóż to? — spytałam sekretarkę.

— Karlice. Sama pani chciała. Osiem osób.

— Wspaniale.

Wróciłam do gabinetu.

Podeszła do mnie kobietka z dziecięcym kucykiem i przedstawiła się jako Andżelina Siergiejewna. Starsza. Spytała, co im możemy zaproponować.

— Tylko żadnych rozbieranek, wyuzdanek i tym podobnych hopsztosów. Jesteśmy poważną trupą. Bo wie pani — jak ktoś chce samych kobiet, to różnie bywa.

Byłam ubawiona. Pierwszy raz od śmierci Maszki.

— Rozbieranki wykluczone! — obiecałam.
Wśród mikrusek zapanowało radosne poruszenie.
— I dwa dni wolne! — Andżelina Siergiejewna kontynuowała walkę o prawa pracownicze.
Kiwnęłam głową.
— Ubrania oczywiście na koszt firmy.
— A gdzie się ubieracie?
— Mamy swojego krawca!
Mówiąc swoim dziwnym niskim głosem, Andżelina Siergiejewna gwałtownie gestykulowała. Mimo woli patrzyłam na jej ręce i w żaden sposób nie mogłam przyjrzeć się jej samej.
Rzuciło mi się w oczy, jaką ma szorstką skórę dłoni. Niepasującą do tak małej istoty.
— No to gdzie będziemy pracować? Proszę powiedzieć.
Wzięłam ze stołu kartkę i napisałam na niej adres biura Romy. Nie wiedzieć czemu dużymi drukowanymi literami.
— To będzie tylko jedno zlecenie. Kilka numerów cyrkowych. Zgadzacie się?
— Czterysta dolarów.
— Może być. Zapłacą wam na miejscu. A jeśli będą zadowoleni, dostaniecie stałą pracę. Wszystko zależy od Romana Anatolijewicza Nikitina. Napisałam wam nazwisko. Macie ze sobą psy?
— Jakie psy?
— Przecież mówiłam, żeby przyjść z psami!
Z oburzeniem popatrzyłam na zakłopotane karlice. Każda z nich miała prawdziwą dorosłą torebkę.
— Bez psów połowa sumy — oznajmiłam kategorycznie. W końcu Roma jeszcze należy do mojej

rodziny. — Numer na dziesięć minut, nie więcej. Tak że się zastanówcie.

— Zgadzą się.

Andżelina Siergiejewna zostawiła mi swoją wizytówkę. Było tam napisane: „Trupa Małe Lwice”. Coś w sam raz dla Romy.

Zadzwoiłam na portiernię jego biura i poprosiłam, żeby wpuścili karlice bez przeszkód.

W internecie znalazłam adres agencji ochrony, która miała własne centrum szkoleniowe.

Musiałam przygotować dziewczyny do pracy. To jedyne, co mogłam zrobić dla Maszki.

Na biurku leżały „Akta osobowe”. Erudytki, Aleks, Waligóry, Madame, Harley, Myszki... Przez chwilę trzymałam w ręku teczkę Oli. Po namyśle odłożyłam ją na bok. Trzeba ufać opinii profesjonalistów.

Nie mogłam zaprosić Ilii. Wyszłoby na to, że ledwie pozbyłam się Maszki, już rzucam się w wir spotkań z Ilia.

Chociaż jego pomoc bardzo by mi się teraz przydała.

Firma ochroniarska mieściła się w suterenie. Przy wejściu wisiała gablota z różnego rodzaju bronią.

I ja będę musiała zawiesić taką gablotę.

Można było u nich kupić właściwie każdy rodzaj sprzętu do samoobrony. Od pałki po pistolet gazowy. Od paralizatora po krótką broń palną. W ciągu dwóch dni byli w stanie zdobyć dowolne pozwolenie.

Prowadzili szkołę. Z opracowanym przez siebie programem. Dysponowali nawet strzelnicą.

Dyrektor agencji był poważnym człowiekiem. Przy nim wszystko, czym się zajmowałam, wydało mi się dziecinadą.

Dopóki mnie nie pochwalił:

— Świetny pomysł. Kobiety są bardzo poszukiwane. My po prostu mamy inny profil.

— A będziecie w stanie dostosować do nich swój program?

— Oczywiście. Niech tylko da nam pani trochę czasu.

Czasu im nie dałam. Zajęcia powinny rozpocząć się za trzy dni. W poniedziałek. I zakończyć po dwóch tygodniach.

— Mam rozumieć, że w ciągu dwóch tygodni zrobicie z nich supermanki? — chciałam się upewnić.

— Po pierwsze, jeśli mają do tego predyspozycje.

— Mają.

— Po drugie, szkolenie da im wiedzę wystarczającą tylko na początek. Potem dwa razy w tygodniu będą musiały przyjeżdżać na trening i na strzelnicę. Przez pół roku. Inaczej stracą licencję.

— Bezpłatnie?

— Naturalnie, że nie. Ale zwykle osiemdziesiąt procent kosztów pokrywa klient — w końcu w jego interesie leży, żeby dziewczyny podwyższyły kwalifikacje. Zresztą to nie jest takie drogie, niech się pani nie martwi. A przez dwa tygodnie znakomicie opanują teorię.

— To znaczy co?

— No... — Dyrektor nosił wąsy i krawat. — Na przykład, czy ochroniarz powinien otwierać klientowi drzwi samochodu?

— Jasne!

A co innego miałby robić?

— Nie powinien! Oczywiście, jeśli pracuje sam.

Z mojej twarzy najwyraźniej dało się odczytać powątpiewanie.

— Zgadzam się: wszyscy chcą, żeby im otwierać drzwi. Dlatego nauczymy dziewczyny, jak to robić.

— A jak?

— Lewą ręką. Prawa powinna trzymać się ciała. Być jak najbliżej pistoletu.

— A gdzie się trzyma pistolet?

— Za paskiem.

— Au kobiet?

— U kobiet — pod pachą.

Ogólnie rzecz biorąc, spodobali mi się. Sama nabrałam ochoty, żeby pochodzić na treningi, nauczyć się bić i strzelać.

— Kto pierwszy wchodzi do pomieszczenia?

— Nie mam pojęcia.

— To zależy do jakiego. Do restauracji — ochroniarz. Do domu na terenie chronionym — klient. A kto pierwszy wychodzi?

— Kto?

— Zawsze ochroniarz! A u nas co? Z ochroniarzy robią sobie odźwiernych. Tylko drzwi otwierają i latają po papierosy.

— A nie powinni?

— To nie należy do ich obowiązków. Ale i tak latają.

Szkolenie miało mnie kosztować trzy tysiące sześćset dolarów.

Musiałam je zdobyć w ciągu trzech dni. Może zadzwonić do Romy? Wróciłam do biura. Roma sam do mnie zadzwonił.

— Co to było? — spytał, z trudem hamując wściekłość.

Zdażyłam już zapomnieć o karlicach. Boję się, kiedy Roma jest w takim stanie. Dobrze, że siedzi w swojej firmie.

— Czyżby ci się nie spodobało? — starałam się, żeby mój głos brzmiał wesoło.

— Zwariowałaś. Słyszysz? Zupełnie ci odbiło!

Zachciało mi się płakać.

Nie znoszę, jak ktoś na mnie krzyczy.

— Co o mnie w biurze pomyśla? Że jestem mężem psychicznie chorej?

Też coś. W normalnym biurze wszyscy by się razem pośmiali.

— Przepróż mnie. Powiedz, że głupio zrobiłaś.

Milczałam.

Po moich policzkach pociekły łzy.

— Przepróż.

Czułam się, jakbym miała przed sobą czerwoną płachtę, która przesłania mi wzrok. Chciałam się na nią rzucić. Nie wiadomo po co.

— Masz zablokowaną kartę? Nie odblokuję jej, póki mnie nie przeprosisz.

Szybko odłożył słuchawkę. Ale oddzwoniłam.

— Pieniądze? — krzyknęłam. — Od dawna jesteś dla mnie tylko rachunkiem bankowym! Rozumiesz? Nie dajesz mi już prezentów, tylko pieniądze, jak

bankomat! Kiedy ostatnio mi coś kupiłeś, co?

— Bo nigdy nic ci się nie podoba!

— Tak? Może kolczyki mi się nie podobały? Albo pierścionek? Albo bransoletka? Nie podobają mi się duperele, ale ty świetnie o tym wiesz! A nasze rozmowy? No, o czym my rozmawiamy? O pieniądzach! Ile zapłacić za szkołę, ile kosztuje mój hotel, a ile — samochód! Nie jest tak? Oszczędłeś ode mnie, a wiesz, co czuję?

Roma milczał.

— Że nie mam pieniędzy! — oznajmiłam triumfalnie. — Chcesz przeprosin? Proszę bardzo: wsadź sobie w dupę swoją forszę!

Odłożyłam słuchawkę i zrobiło mi się nieswojo. Może trochę przesadziłam. Wystarczyło powiedzieć: „zabieraj się ze swoją forszą”.

Tym sposobem zostałam bez pieniędzy.

A czeka mnie szkolenie dziewczyn.

Może jednak rzucić tę „Nikitę”?

Nie, nie mogę.

Maszka to wymyśliła. I ja to zrobię.

A może, jak ona, umrzeć z przedawkowania?

Wyobraziłam sobie, jak stygnącą ręką piszę na kartce: „Nie myślcie o mnie...”.

Koszmar.

Mnie też by pochowali w sukni ślubnej.

Mam ją na daczce, w schowku na ubrania. Przez dziesięć lat zdążyła pewnie pożółknąć.

Artiom by płakał na pogrzebie.

Żal przylgnał mi do serca jak mucha do lepu.

Nie, trzeba dziecku oszczędzić takich tragedii.

Nie umrę. Nigdy.

Będę pić zieloną herbatę.

I wachać co najwyżej róże na klombie.

Miałam ochotę zadzwonić do Lenki i poinformować ją o moim postanowieniu. Twardym postanowieniu. Kropka.

13

— Obdzwoń wszystkie dziewczyny, które zapisałyśmy do ochrony budynków — poleciłam sekretarce - i powiedz mi, ile może zacząć pracę od zaraz.

— Dobrze. Tylko że ich jest pięćdziesiąt. Dzwonienia na cały dzień.

Poszłam do Andżeli. Pisała coś na komputerze.

— Nie przeszkadzam? — spytałam poważnie. Ale w duchu chichotałam.

— Nie, coś ty! To w ogóle nie należy do mnie. Po prostu szef mnie prosił, żeby mu przetłumaczyć parę faksów.

— Z angielskiego?

— No. Na francuski.

Popatrzyłam na Andżelę z szacunkiem.

— A na co mu to?

— Nie wiem, robi jakieś machlojki.

Poprosiłam ją o pomoc. Andżela zna całą Moskwę. Wszystkich, którzy urządzają pokazy, przyjęcia i prezentacje. Chciałam, żeby moje dziewczyny ochraniały jakąś poważną imprezę. Żeby mój oddział wszedł do akcji.

— Może być „Paşowa Róza”? Planują pokaz kostiumów kąpielowych. Wiem od właściciela.

— OK.

Andżela wykręciła numer.

— To ja... No, niezły był ubaw... No... Słuchaj, mam interes. Jest taka agencja ochroniarek „Nikita”... Nikt jeszcze nie słyszał... To masz okazję być pierwszy. Czujesz, jaki czad? Ochroniarki na pokazie kostiumów kąpielowych.

Mocno trzymałam kciuki. I siedziałam bez ruchu.

— I co z tego, że w Maneżu? Ilu ludzi potrzebujesz? Żaden problem, nawet więcej, jak chcesz...

Andżela szepnęła do mnie:

— Dwadzieścia.

Zaczęłam kiwać głową, jakbym miała tik nerwowy. Jakoś znajdę dwadzieścia osób.

— Tanio! Tanio! Tanio! — powtarzałam przyjaćciółce bezgłośnie.

— Tylko że u nich nie jest tanio...

Gwałtownie pokręciłam głowę i zrobiłam straszną minę.

— Tanio, tanio! — wysyczałam, sądząc, że Andżela źle mnie zrozumiała.

— Tak tylko mówię, na wszelki wypadek... Wcale tak nie myślę... Nie martw się, spodobają ci się...

Pewnie, że same ślicznotki... — Andżela spojrzała na mnie, a ja chrząknęłam sceptycznie. — Może nie wszystkie bez wyjątku. Słuchaj, to nie jest agencja modelek, tylko ochrony... Dobrze. Zadzwoń do ciebie.

Rzuciłam się Andżeli na szyję.

— Mój ty geniuszu! — wyznałam szczerze. — Andżela, jestem twoją fanką.

Andżela uśmiechnęła się skromnie:

— Drobiazg. Mogę jeszcze gdzieś zadzwonić.

Sekretarka znalazła dwadzieścia dziewczyn.

Chciały zarabiać po sto pięćdziesiąt dolarów. Niektóre z nich już ochraniały imprezy. Moje strażniczki przyprowadziły koleżanki. Obawiam się, że jakiś areszt śledczy pozostał bez nadzoru.

Podliczyłam: za miesiąc pracy trzeba im zapłacić trzy tysiące dolarów. Których nie mam. Czy przyjmą jednorazowe zlecenie?

„Pąsowa Róża” zaakceptowała moją cenę — dwa tysiące za pokaz.

Postanowiłam zaryzykować. Tym razem zrezygnować z zysku. Pożyczyć skądś brakujący tysiąc. I mieć dwadzieścia osób do swojej dyspozycji na resztę miesiąca.

Kolejny problem stanowiły ubrania. Może zadzwonić do „Majordomusa”?

Ta sprawa rozwiązała się sama. „Róża” przysłała faks: „Warunkiem współpracy jest to, że my zapewniamy uniformy. Czarne spodnie, długie czarne bluzki i fioletowe krawaty”.

Oczywiście się zgodziłam. Poprosili, żebym przesała im dane firmy do sporządzenia umowy.

Tyle że moja firma nie była jeszcze zarejestrowana.

Agencję ochrony można było kupić za piętnaście tysięcy dolarów. Nie miałam tyle. Do rejestracji nowej agencji konieczny był schowek na broń spełniający wszystkie normy. W dodatku nie mógł się znajdować w wynajmowanym pomieszczeniu.

Firma, która organizowała dla nas szkolenie, zgodziła się wziąć umowę na siebie. Najpierw zażądali części zysku, ale ostatecznie zrozumieli, że od tego zależy nasza dalsza współpraca.

Umowa została podpisana, a pieniądze wpłacone jako zaliczka na szkolenie.

Rozpoczęły się zajęcia.

Tymczasem ja pełną parą zajmowałam się „Różą”.

Zorganizowałam spotkanie „różowego oddziału”.

W moim gabinecie rozsiadło się dwadzieścia nieapetycznych kobiet.

Na koks było już za późno. Trzymałam się. Powietrza.

Trzeba było jakoś je ulepszyć.

— Musicie cały czas się uśmiechać. Nie ustami, tylko sercem, żebyście miały uśmiech w oczach. Jasne? To będzie wasz miesiąc próbny. Zostaną tylko najlepsze. Te, które myślą pozytywnie. Czują się piękne i pociągające. I stale się uśmiechają. Rozumiecie?

Ćwiczyłam z nimi, jak stać przy drzwiach. Jak zachowywać się w stosunku do gości. Co powiedzieć w razie potrzeby.

Sekretarka siedziała i tak się śmiała w duchu, że nie była w stanie opanować ust.

Kobiety starały się i denerwowały. Chwilami myślałam, że może lepiej, żeby się nie uśmiechały.

— I żadnego makijażu! Macie przynieść kosmetyki ze sobą i umalować się zgodnie z moimi wskazówkami.

„Róża” dostarczyła uniformy. Free size.

Nadszedł dzień pokazu. Moje biuro przypominało garderobę z filmu *Moulin Rouge*.

Stylista Pasza biegał pomiędzy ochroniarkami z grzebieniem, lakierem do włosów i szminką.

— Jak sobie usta umalowałaś? Jakbyś się konfitur najadła! — krzyczał z oburzeniem swoim cienkim głosem. — Nie, tylko bez tapirowania! I tak nie umiecie tego robić!

— Iwanowa jeszcze nie dotarła! — oznajmiła sekretarka.

— Dzwoniłaś do niej?

— Tak, ale od rana nie odpowiada.

— Przyjedzie. Na pewno przyjedzie — wmawiałam sobie.

Nie przyjechała.

Zgodnie z umową musiałam zapewnić „Róży” dwadzieścia osób.

— Katia, ratuj. Potrzebuję jednej z twoich panienek. — Poczulałam, jak Katia jeży się na drugim końcu przewodu.

— Dla siebie?

— Tak. Zginęła mi jedna ochroniarka.

— Ale ja nie mam ochroniarek!

— Co za różnica? Zapłacę jej jak za seks ze zboczeńcem!

— Dlaczego ze zbrodźcą? — Katia obruszyła się za swoich klientów.

Przysłała piersiastą blondynkę. Kusilo mnie, żeby założyć jej fioletowy krawat na gołe ciało, a do ręki dać tabliczkę z napisem „Nikita”.

— Będiesz twarzą firmy — oświadczyłam jej radośnie.

Odrzuciła się do mnie tyłem. Zapewne dlatego, że przywykła być inną częścią ciała.

Strażniczki z aresztu napełniały ją strachem. Dyskretnie przykazałam sekretarce pilnować, żeby nie uciekła.

Nie zapamiętałam ani jednego kostiumu z pokazu. W ogóle ich nie widziałam.

Nie spuszczałam oka ze swoich ochroniarek.

Jedna wyjęła nogę z buta. W sekundę znalazłam się przy niej.

Druga poprosiła gościa o papierosa. Spojrzałam na nią tak, że zakrztusiła się dymem.

Trzecia powiedziała:

— To jest wejście służbowe. — I nie mogąc się powstrzymać, dodała: — Nie widać?

Miotalam się między nimi, rozdając gościom czarujące uśmiechy.

Chwilami miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

W połowie wieczoru zdałam sobie sprawę, że zapomniałam założyć biżuterię.

Po pokazie podszedł do mnie właściciel „Pąsowej Róży”.

— Bez pani ta uroczystość nie mogłaby się odbyć — oznajmił głośno, całując mnie w rękę.

Wpatrywałam się w niego. Kpi czy mówi serio? Nie odrywał ode mnie zachwyconego wzroku.

— Dziennikarze fotografowali pani dziewczęta częściej niż moje modelki! Czy da się pani jutro zaprosić na lunch?

Miał dla mnie propozycję biznesową. Chciał podpisać umowę na ochronę trzech sklepów.

— Na początek trzech — dodał wieloznacznie.

Miałam ochotę skakać z radości. Zmęczenie przeszło mi jak ręką odjął. Uśmiechałam się szeroko. Jestem wspaniała. Zrobiłam to. Yes, yes, yes!

Sama wszystko wymyśliłam. Sama przygotowałam. I sama dopilnowałam.

Sama.

Czułam się tak, jakbym wyszła w przestrzeń kosmiczną bez skafandra. I nie umarła. A wręcz przeciwnie — wypełniła misję. Na oczach zachwyconych widzów całego świata.

Gdzieś stamtąd, z kosmosu, patrzyła na mnie Maszka. I śmiała się dźwięcznie.

— Za to, żebyśmy kiedyś wszyscy się spotkali.
— Andżela uniosła kieliszek z pieniącym się szampanem, a drugi wyciągnęła w moją stronę.

Goście prawie się już rozeszli, a my wciąż trwa-
łyśmy przy barze.

— Pokażę ci Moskwę Maszki, chcesz? — nieoczekiwanie zaproponowała Andżela.

Kiwnęłam głową. Była północ.

Andżela zawiozła mnie pod budynek Poczty Głównej na Miasnickiej. Weszliśmy przez żelazną bramę.

— Mamy szczęście, że dziś sobota — wyjaśniła. — Lesbijki bawią się tylko w soboty i tylko w tym klubie.

— Lesbijki? — zdziwiłam się.

Na drzwiach wisiała tabliczka: „Impreza prywatna”.

— Dobry wieczór! — przywitała się Andżela energicznie. — My na waszą imprezę!

Z ciekawością zerkałam w głąb sali. Między stolikami tańczyło kilka obejmujących się par. Pary składały się wyłącznie z dziewczyn. Chociaż wydawało mi się, że chłopaków też widziałam.

Za wstęp zapłaciłyśmy po siedemdziesiąt pięć rubli.

Przy drzwiach stała niewysoka wysportowana kobieta koło czterdziestki — pewnie właścicielka lokalu. Wyróżniała się w tłumie. O takich mówi się, że mają w sobie coś. Patrzyła rozmówcy prosto w oczy, jakby zagłędała do środka, ale nie szukała tam niedoskonałości, tylko wpuszczała promyczek czegoś jasnego i dobrego.

Najprawdopodobniej młodość upłynęła jej w namiotach i przy ogniskach z gitarą albo na spływach kajakowych w górach. Pewnie miała męża.

Tyle że mąż nie doceniał uroków górskich wypraw. Za to pojawiły się przyjaciółki. Bliskie. Od serca. I tak dalej.

A może całe życie banalnie pracowała jako kucharka w szkolnej stołówce.

Mała sala była szczelnie wypełniona ludźmi.

Trochę wytrzeźwiałam.

Nie wiedzieć czemu wcale nie czułam się bezpieczna wśród setki dziewczyn. A raczej pięćdziesięciu par.

Na szczęście za barem stał mężczyzna. Trochę podniosło mnie to na duchu. Chciałam nawet z nim pogadać, ale jakoś się nie kwapił. Ciekawe, czy uznał mnie za jedną z nich?

Nikt nie przyglądał się ani mnie, ani Andżeli. O dziwo. Wyglądem zdecydowanie odstawałyśmy od reszty. W sukniach wieczorowych, ufryzowane. Andżela w brylantach.

Większość dziewczyn miała na sobie dzinsy i bezkształtne swetry. Te, które wzięłam za chłopaków, nosiły męskie koszule i szelki. Ale było ich niewiele.

Jedna panna siedziała przy barze w białym koronkowym gorsecie i w mini. Była tutejszą gwiazdą. Prawie każdy podchodził, żeby zamienić z nią parę słów i się pocałować.

W ogóle wszyscy się tu stale całowali. Na stojąco, na siedząco i w tańcu. W usta.

Było jak w zwyczajnym nocnym klubie. Jedne dziewczyny nawiązywały znajomość, inne kłóciły się przy wyjściu, jeszcze inne wyznawały sobie miłość w kącie. Tyle że mnie przypominało to igraszki w piaskownicy, które dzieci traktują z największą powagą. A otoczenie przygląda się temu pobłaźliwie, w najlepszym wypadku — z ciekawością.

Wszystko, co się działo, wydawało mi się taką zabawą. Pocałunki. Namiętność. Dziewczyna w gorsecie gwałtownie wybiegła do drugiej sali. Dogoniła ją osobniczka z ogoloną głową i w szelkach.

Przyparła ją do ściany. Podglądałam je z przejścia. Dziewczyna w gorsecie zaczęła płakać i chyba się tłumaczyć. Łysa ją całowała, a ja czułam się jak olbrzym wśród karzełek.

Znowu te nieszczęsne karzełki...

— No i jak? — spytała mnie Andżela na ucho.

— Banda nieudacznic.

— Bywają gorsze bandy — uśmiechnęła się Andżela.

Popatrzyłam na nią pytająco.

— Wyjawię ci tajemnicę. O Maszce. Daj słowo, że nikomu nie powiesz!

Kiwnęłam głową.

— Słowo.

— Po pierwsze, sama jej to obiecałam — wyjaśniła Andżela — a po drugie — to mogłoby być niebezpieczne.

Maszka poznała członkinie sekty.

Sekta nazywa się szczurzanki.

Ma siedzibę w Podolsku. Otacza kultem nie boga, tylko pierwszą kobietę.

Maszka trafiła do nich przypadkowo. Widziała obrzęd inicjacyjny. Kobiety wkładają żółte szaty i zażywają jakiś narkotyk. Maszka nie wiedziała jaki. Ale jego działanie bardzo jej się spodobało.

Rytuał rozpoczyna się od modlitwy do szatana i do „świętej Lilith” — przywódczyni szczurzanek.

Kandydatka musi przynieść ze sobą kota, rozbić mu głowę i wyssać trochę mózgu.

Potem Lilith zabija szczura. Musi za to złożyć ofiarę krwi. Nacina sobie rękę i maże krwią twarz swoją i reszty zgromadzonych.

Nie mogłam uwierzyć, że Maszka brała w tym udział.

Chyba narkotyk rzeczywiście dobrze działał.

A potem wszyscy piją „napój miłosny” i uprawiają seks.

— Wyobrażasz to sobie? — spytała Andżela. — Maszka była pod wrażeniem! Mówiła też, że one wszystkie się sobą nawzajem opiekują. Prawdziwe kobiece bractwo.

Tak właśnie muszą czuć się daltonistki. Wkładają granatowy sweter do džinsów i myślą, że świetnie wyglądają. A jakaś kumpelka rzuca im od niechcienia: „Fajny masz ten zielony sweterek, pasuje ci do pantofli”.

— Chodźmy stąd — poprosiłam Andżelę.

Roześmiała się.

— No co ty, tutaj są normalne dziewczyny. Tyle że lesbijki. Wielkie rzeczy!

Właścicielka odprowadziła nas uważnym wzrokiem.

— Jeszcze tu przyjdziemy — obiecałam. I zacisnęłam kciuki.

Lenka wróciła do Włoch. Antonio za długo pozostawał bez nadzoru. Po Mediolanie włóczy się pełno turystek gotowych do miłosnych przygód. Nie tyle co w Wenecji, ale zawsze...

14

Idiotyczna ta jesień. Liście nabierają barwy rozstania. Tę samą barwę ma wino w naszych kieliszkach. Z aromatem bananów. Im więcej wina, tym mniej aromatu.

Zrobiło się zimno. Nikt już nie siedzi na tarasie w „Werandzie”. Tylko my. Ja. Katia. Anton i Andżela. Owijamy się kocami i wdychamy opary gazu z grzejników.

Obserwuję wrony. Krążą nad nami płynnie i chaotycznie.

— Tata kupił sobie maybacha — powiedziała Andżela z nutą zawiści — za czterysta tysięcy dolarów.

Wrony wyglądają jak samolociki z papieru. Jak mogą latać bez machania skrzydłami? Ja, choćbym machała do upadłego, i tak nie polecę.

— Co to jest maybach? — spytałam.

— Samochód. Odlotowy. Przysłali do Moskwy tylko trzydzieści sztuk. A zamówień było na sto — wyjaśniła Andżela, patrząc, jak kelner otwiera kolejną butelkę.

— Jadę — oświadczył Anton. Ale nie zrobił niczego, co potwierdzałoby jego zamiar.

— Dokąd? — zainteresowała się Katia od niechcienia.

— Do kina. Kto jedzie ze mną?

— Nikt — Andżela wyraziła ogólny pogląd.

— No i dobrze. Macie tu całą armię absztyfikantów. — Anton zazdrośnie zerknął na sąsiedni stolik.

— Tak, tak, lepiej idź do kina. Bo póki tu siedzisz, to nikt do nas nie podejdzie. — Andżela uśmiechnęła się jak do fotografii.

— Jasne. Myślą, że jestem alfonsem i za dużo za was policzę.

— Nie strój się w cudze piórka — skomentowała Katia, robiąc maślane oczy do kogoś za moimi plecami.

— Nie proście mnie, i tak nie zostanę.

— Pakuj manatki — poganiała go Andżela.

— A może napiję się jeszcze wina? — droczył się Anton.

Trójka mężczyzn, których Anton nazwał naszymi absztyfikantami, poprosiła o rachunek.

— Wino weź na drogę — wysyczała Andżela.

— W dziobie — poradziłam. — I łykaj po trochu. Do kina ci starczy. A tam sobie dokupisz.

Anton pojechał. Wcześniej zderzył się w drzwiach z naszą znajomą Olesią i ledwie skinął jej głową, bo nie zaszczycał uwagą ludzi z niskim IQ.

Olesia bardzo kochała swojego męża — już od piętnastu lat. On też ją kochał. Problem polegał na tym, że ona w żaden sposób nie potrafiła uwierzyć swojemu szczęściu.

Najwyraźniej była rozstrojona. Zapłakane oczy ukryła za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi.

Przekonałyśmy się, że pojawienie Olesi nie zrobiło najmniejszego wrażenia na facetach siedzących przy sąsiednim stoliku, więc mogłyśmy spokojnie zaprosić ją do naszego.

— Dziewczyny, postanowiłam znaleźć sobie kochanka — powiedziała Olesia, jakby powiadamiała nas o śmierci kogoś bliskiego.

— O, tam masz cały stół! — wskazałam głową. Doszłam do wniosku, że Olesia może być znakomitą przynętą. — Uśmiechnij się do nich, mało z krzeseł nie pospadali, jak weszłaś.

— Naprawdę? — Olesia wyprostowała się i zdjęła okulary. Aż jej się oczy zaświeciły. Typowe zachowanie samicy.

— Mrugnij do nich — podpowiedziała Katia, zerkając na mnie i ledwie tłumiąc śmiech.

— Byle nie do blondyna — zastrzegła Andżela i sprawdziła, czy jej różowa atlasowa bluzka jest wystarczająco rozpięta. Była. Gdyby Andżela miała choć odrobinę mniejsze piersi, byłyby widoczne w całej okazałości.

Nalałam Olesi wina do kieliszka Antona. W tej samej chwili zjawił się kelner i zaproponował swoje usługi.

— Mrugaj, mrugaj!

Olesia nie potrzebowała zachęty. Duszkiem wypić wino.

— Dyskretny aromat bananów — skomentowała za nią Andżela.

— Podać menu? — spytał Olesię kelner. Gwałtownie zamachałyśmy rękami i kelner odszedł urażony.

— Do ataku, Oleśka! — już nie powstrzymywałam śmiechu.

Trzech młodych ludzi, atrakcyjnych nie tylko w grupie, ale i każdy z osobna, wstało od stołu.

Olesia zwróciła się w ich kierunku z taką miną, jakby nastąpili jej na nogę.

Rozpływając się z radości, nie odrywałyśmy wzroku od Olesi.

Powoli zamknęła lewe oko i równie powoli je otworzyła. Przypomniały mi się długopisy, w których dziewczyna rozbiera się w miarę ich przechylania.

Ryknęłyśmy śmiechem. Prawie spadłam pod stół. Andżela zakryła się nowym czasopismem „Bourgeoisie”. Katia próbowała naśladować manewr Olesi z okiem.

Młodzi ludzie obserwowali nas w milczeniu. Najwyraźniej czekali, aż nam przejdzie. Olesia uśmiechała się z konsternacją.

— To moje przyjaciółki — powiedziała przepraszającym tonem.

— Nie! Nie! — natychmiast zaprotestowałyśmy, machając rękami.

Andżela pierwsza się opanowała — teatralnym gestem opuściła pismo i próbowała przybrać minę: „Tak, słucham panów. Z kim mam przyjemność?”.

— Czy mogę zaprosić na kolację?

Patrzył Andżeli prosto w oczy i mówił z niewzruszoną powagą.

Blondyn z dziwaczną fryzurą a la Gerard Depardieu. Ale w odróżnieniu od niego nie gruby. Przeciwnie. Miał świetną figurę. I wyjątkowe spojrzenie. Pod takim spojrzeniem kobietom robi się dobrze i spokojnie.

Mnie i Katii to nie dotyczyło.

— A gdzie zwykle jada pan kolację? — spytała Katia. Mając na myśli, że nie samym spojrzeniem żyje człowiek.

— Bo my nie chodzimy byle gdzie — wsparłam przyjaciółkę.

— No tak, i kiedy? — chciała wiedzieć Olesia. Modliłam się, żeby mrugnęła jeszcze raz.

Blondyn wzruszył ramionami:

— Może w „Skandynawii”?

Katia się skrzywiła.

— W jakiej „Skandynawii”?

— Gdzie to jest? — spytałam, podejrzewając, że skoro nie znam tej restauracji, świadczy to o niej jak najgorzej.

Blondyn podszedł do Andżeli.

— Chciałbym panią zaprosić. — Zaakcentował słowo „panią”.

— Tanią? Powiedział pan „tanią”? — Katia nie starała się już robić dobrego wrażenia. Zrozumiała, że nie jest zaproszona. Mnie też się rozwiały złudzenia.

— A, to niestety. My jesteśmy kobiety luksusowe — śmiałam się, patrząc na zakłopotaną minę blondyna.

Dwóch jego kolegów odeszło na bok bez słowa.

Blondyn nie dawał za wygraną:

— Da mi pani swój numer telefonu?

— Niech pan zapisze — nieoczekiwanie zgodziła się Andżela, jakby się wystraszyła, że zaraz mu się znudzi i pójdzie w ślad za kolegami.

Podyktowała numer.

Blondyn poczuł się ośmielony.

— To kiedy zadzwonić? — spytał z nutą non-szalancji.

Andżela wyczuła zmianę tonu i przyjrzała mu się uważnie.

— Jutro, kwadrans po dwunastej — zadysponowała wyniośle. — Minutę później wyłączam telefon.

— Zadzwonię równo kwadrans po dwunastej — powiedział blondyn na pożegnanie.

Olesia znowu miała na nosie okulary.

— Dziewczyny, zamierzam zażywać leki antydepresyjne — poinformowała nas przez łyzy.

— Bierz seroxat. Bardzo dobrze działa — poradziła Katia.

— Mam dla ciebie świetne lekarstwo. Chodźmy do samochodu — wielkodusznie zaproponowała Andżela. Była w szampańskim humorze i chciała obdzielić nim cały świat.

— Koks? — zainteresowałam się.
— Nie. Holenderska gandzia. Czadowa.
— Ale ja jeszcze nie próbowałam... — wyznała Olesia.

Katia nie miała ochoty, więc, okutane w restauracyjne pledy, poszłyśmy palić do samochodu Andżeli we trójkę.

Stanął przy nas czarny cayenne. Przyciemniana szyba powoli się opuściła. W oknie ukazał się blondyn Andżeli.

— Tylko nie zapomnijcie oddać pledów! — uśmiechnął się.

W tym samym czasie Andżela robiła Olesi grubego skręta.

— Jutro, dwunasta piętnaście — odcięła się brutalnie i zamknęła okno.

Olesia zakrztusiła się dymem.

— Może jej starczy jak na debiut? — spytałam.

— Jeszcze raz, dziewczyny — zażądała Olesia.

— Mamy jednakowe samochody —, przemówiła Andżela, zaciągając się głęboko. — Nie wydaje się wam, że to znak?

Katia zamówiła ananasy, bo jej zdaniem przyspieszają spalanie tłuszczu.

Holenderska trawka w połączeniu z winem po-działała na mnie jak śnieg w lipcu: nie wiadomo, czy to brzydkie lato, czy piękna zima.

— Idę do łazienki — oznajmiła Olesia.

— Będziemy pamiętać — Katia kiwnęła głową.

— Co to za „Skandynawia”?

Andżela przyniosła pismo „Where”. Bardzo praktyczna gazetka. Przeczytałyśmy: „Skandynawia.

Wszystkie produkty ze Szwecji. Średnia cena —
pięćdziesiąt pięć dolarów na osobę".

— A w „Galerii” ile jest? — zainteresowałam się.

— W „Galerii” pięćdziesiąt — odczytała Andżela.

— Fajne miejsce. Jutro pójdziemy.

Ja i Katia poprosiłyśmy, żeby zabrała nas ze sobą. Wręcz wymogłyśmy na niej obietnicę, że nie pójdzie bez nas. W końcu znajomi blondyna też byli niczego sobie. A mnie, można powiedzieć, porzucił mąż. Mam prawo zaszaleć.

Olesia rzygała w toalecie. Andżela poszła sprawdzić sytuację. Kiedy wróciła, na jej twarzy malowało się obrzydzenie.

— Wszystko już uświwiła. I jeszcze jej mało — zdała relację.

W drzwiach ukazała się Olesia. Wyglądała blado i nieszczęśliwie.

Zadzwoił telefon Andżeli.

— Dziewczyny, tak się źle czuję — poskarżyła się Olesia — całą łazienkę zarzygałam.

— Halo! Kto? — Andżela nie dowierzała — Kto?

— Głupio przed kelnerami — powiedziała Katia.

— Co sobie pomyśla?

— Idę znowu. — Olesia zerwała się z miejsca, a ja się zaniepokoiłam, czy aby dobiegnie do celu.

— Przecież wyraźnie powiedziałam: piętnaście po dwunastej — z rozdrażnieniem krzyknęła Andżela, jednocześnie rzucając komórkę na kanapę i łapiąc Olesię wpół.

— Proszę wezwać menedżera! — głośno zażądała Katia. — Czym struliście naszą znajomą?

Menedżer niepewnie zauważył, że niczego nie zdążyła zamówić.

— Ale jadła z naszych talerzy! — oburzała się Katia. — To znaczy, że wszystkie się rozchorujemy!

Patrzyłam na to wszystko z boku. Jak widz w kinie. Wołałabym tylko, żeby wyłączyli dźwięk.

Gospościa znowu nie przyszła. Zadzwoiłam do niej. Rozmawiała ze mną jak gdyby nigdy nic.

— Więc jak, przyjedzie pani? — próbowałam wymóc na niej jedyną satysfakcjonującą mnie odpowiedź.

— Nie, na razie nie dam rady.

— Jak to „nie dam rady”? — Aż mnie zatkało z oburzenia. Na co one sobie pozwalają?

— Przepraszam.

Miałam wrażenie, że powiedziała to szczerze. W końcu dobrze ją traktowałam. Nawet nazywałam „swoją drugą mamą”.

— Dobrze. Zadzwonię do agencji, znajdę kogoś innego.

— Przepraszam — powtórzyła.

— Dam pani dobrą opinię. Chociaż nie wiem, o co chodzi.

Agencja obiecała przysłać kogoś następnego dnia. Może i dobrze, że nie mam gospośc. To oznacza oszczędności! Wystraszyłam się własnych myśli. Nie mogę się im poddawać.

Wierzyłam święcie, że człowiekowi nie przydarza się nic, czego nie jest w stanie znieść.

Zatrudnię dwie gospoście. Albo trzy.

Wybierałam się do teściowej w gości. W najgorszym sensie tego słowa.

Z półek mojej ogromnej garderoby wyciągałam rzeczy, jedną po drugiej trzymałam w ręku, jakbym je ważyła, po czym rzucałam na kanapę. Dopóki nie znalazła się na niej połowa szafy.

Moje ubieranie się zawsze wygląda w ten sposób. I co ja pocznę bez gosposi? Kto będzie to wszystko układał w szafie i prasował?

Najczęściej kupuję ubrania znanych projektantów. W Pasażu Trietiańskim. Albo w „Soho”.

Trzymałam w ręku wieszak z czarnym kostiumem od Valentina. Teściowa go doceni.

Rzuciłam kostium na stertę. Sięgnęłam po spódnicę Cavalli.

Niepewnie zatrzymałam się przed sukienką Armaniego. Znowu zerknęłam na Valentina. W strojach Valentina kobieta czuje się damą. W Cavalli ma wrażenie, że mąż nareszcie wyjechał w delegację. A w tych od Armaniego — że mąż wyjechał w delegację, ale ona nadal jest damą.

Jak zwykle wybrałam Cavalli. Z lubością wyobraziłam sobie wściekły wzrok teściowej.

Zadzwoił telefon. Roma. Poinformował mnie, że już od dawna znowu mogę używać swoich kart Visa i AmEx.

Lubię Romę za to, że nie jest pamiętliwy.

— A po co jedziesz do moich rodziców? — zainteresował się.

— Poskarżyć się na ciebie — westchnęłam. Za głośno. Roma gotów pomyśleć, że wypuściłam dym z jointa.

— Raczej nie licz, że się nad tobą ulitują.

— Jasne, że nie. Ale przy okazji pokażę teściowi zdjęcie moich ochroniarek. Twój ojciec szlachetnie zadeklarował, że weźmie ze dwie — więc to będzie moja mała kampania PR.

Już drugi raz przekopywałam wszystkie swoje szkatułki i szklane misy w poszukiwaniu kolczyków. Po pół karata plus trzy karaty drobnych brylantów.

Patrzyłam pod kanapą i na wszystkich półkach. Nawet w łóżku.

Poszłam do samochodu. Może tam będą. W popielniczce. Czasami zdejmuję kolczyki w drodze do domu. Są za ciężkie. Uszy mnie bołą.

Kolczyków nigdzie nie było. Nagle skojarzyłam ich zniknięcie z dziwnym zwolnieniem się gosposi.

„A to suka!” Złapałam za telefon. I co jej powiem? Zacznie płakać, a ja niczego nie mogę udowodnić.

Kolejny raz wysypałam zawartość wszystkich pudełeczek w sypialni i łazience. Poodsuwałam meble. Nie ma.

Zadzwoiłam do Weroniki.

Wysłuchała mnie ze współczuciem. Wypytała o szczegóły. Opowiedziała, jak gosposia ukradła jej znajomej wszystkie futra. Podyktowałam jej dane mojej Tamary. Całe szczęście, że nie wyrzuciłam kwestionariusza z agencji.

Mąż Weroniki miał takiego Borysowicza. Wyplacał mu pensję. Cała jego praca polegała na odbieraniu długów.

— Ale jesteś pewna, że to ona? — zapytała Weronika.

— Przecież nie jestem głupia!

— Bo wyobrażasz sobie, co on z nią zrobi?

Spróbowałam sobie wyobrazić. Wspomniałam, jak w Pradze poszliśmy do muzeum, w którym były zebrane narzędzia tortur z całego świata. Na wszelki wypadek skłamałam:

— Tak.

— No dobrze, zadzwonię do ciebie, jak coś będzie wiadomo.

Teściowa przywitała mnie wyblakłym wzrokiem starzejącej się kobiety.

— Uroczą szmatka.

Teść od razu docenił Cavalli. I jakby nas porównywał, obrzucił żonę niechętnym spojrzeniem pewnego siebie homoseksualisty.

Nagle dotarło do mnie, dlaczego teściowej nie podoba się moja spódnica. Bo sama nie może już takiej nosić. A przecież kiedyś mogła.

Czy przypadkiem nie zatrzęsienie podobnych spódnic w jej szafie zmusiło teścia w młodości do rewizji seksualnych upodobań?

Teść przeglądał zdjęcia moich dziewczyn ze zdziwioną miną estety na śmietniku.

— Moja droga, nie masz innych zdjęć? — spytał.

— Mam. Moje. Julii Roberts. Cameron Diaz. I Bruce'a Willisa. — Wymienienie ostatniego nazwiska było graniem pod publiczność.

— To gbur — odparował teść.

— Weź tę — teściowa sięgnęła po zdjęcie Madame. Co za szczęśliwe stadło. Rzadko się zdarza, żeby żona

podsuwała mężowi najładniejszą dziewczynę.

— Tak. I jeszcze tę — wskazałam podobiznę Waligóry.

Ustaliliśmy, że sama je przywiozę.

Teściowa przyglądała mi się bez skrepowania. Przypomniałam sobie, że porzucił mnie mąż, i zrobiłam cierpiętniczą minę. Spuściłam oczy. Ledwie nabrałam powietrza, żeby westchnąć z bólem, kiedy powstrzymał mnie jej lodowaty głos:

— Myślisz, że wróci do ciebie?

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Kiedyś takim samym głosem powiedziała: „Mój syn nigdy się z tobą nie ożeni”.

Nie odpowiedziałam. Rozumiałyśmy się bez słów. Wiedziała równie dobrze jak ja, że wróci. Miała w tym swoją zasługę. To ona wychowała go tak, że konieczność podejmowania samodzielnych decyzji przerażała go bardziej niż najbezwzględniejszy kobiecy despotyzm.

Na przykład: jakie skarpetki włożyć? Do brązowych spodni i czarnych butów? I który z trzech jednakowych guzików na kuchence mikrofalowej wcisnąć, żeby podgrzać sobie kolację?

15

Wąłęsałam się po mieszkaniu z kąta w kąt. Weszłam do pokoju dzieciennego, obejrzałam zdjęcia na ścianie w holu, trochę postąpiłam przed lustrem w garderobie. Jak nudno jest w pustym domu! Łatwo poczuć się nikim. Nie ma kim komenderować. Ani męża, ani syna, ani gosposi. Ani nawet psa.

Psy w Nowym Jorku — tym to się powodzi! Nad każdym czuwa pięć osób, które dbają o to, żeby zwierzę nie cierpiało na brak poczucia własnej wartości. Fryzjer, weterynarz, treser, specjalista od wyprowadzania na spacer i instruktor jogi. Joga dla psów nazywa się doga. Składają się na nią proste ćwiczenia, które potrafi wykonać każdy kosmaty pupilek. Oczywiście pod kierunkiem zawodowca.

Cała piątka pieszczotliwie powtarza psu, że jest kochany, dobry, mądry, piękny — i tak od rana do nocy. Naturalnie, skutkiem tego pies nabiera przekonania o własnej wyjątkowości.

Gdybym była nowojorskim psem, nie interesowałabym się nowinkami chirurgii plastycznej.

I pewnie nie bała się starości.

„Mądra”, „piękna”, „kochana”, „dobra”.

Przez pięć dni w tygodniu.

Dwa pozostałe dni poświęciłabym na autotrening psychologiczny.

Jeszcze raz obeszłam całe mieszkanie. Czym tu się zająć?

Szkoda, że nie lubię czytać książek. Ich autorzy zawsze się wymądrzają. Też mogłabym być pisarką. Na tej zasadzie wielu moich znajomych ni z tego, ni z owego zostało projektantami mody albo wnętrz. Tacy myślą, że im więcej naszyją na kurtkę cekinów, koronek i porwanego płótna — pomarańczowe futerko też nie zawadzi — tym bardziej prawdopodobne, że ich talent zostanie dostrzeżony. Naszywają to wszystko z taką pewnością siebie, że ci, którym się efekt nie podoba, boją się do tego przyznać. Żeby nie wyjść na pozbawionych dobrego gustu. Tak samo jest z projektowaniem wnętrz. I z literaturą. Można pisać, co się chce. Ja bym na przykład napisała: „Niebo było błękitne. Ale nie jednolicie błękitne. Gdyby ludzka skóra była niebieska, niebo przypominałoby cellulit w zaawansowanym stadium”.

Odlotowe, prawda? Kto myśli, że nieodlotowe, pozbawiony jest zmysłu artystycznego.

Człowieka charakteryzuje instynkt stadny. O tych, co się wyróżniają, mówi się, że są nienormalni. Niech żyją szaleńcy! Bez nich byłoby tak nudno!

Ciekawe, czy ja jestem szalona? Mam nadzieję, że tak.

Nacisnęłam guzik pilota. Włączyłam Fashion TV. Bardzo lubię ten kanał. Piękne obrazki, piękni ludzie. Dziewczyny czerpią stąd tyle emocji, co faceci z kanału sportowego.

Moja agencja ochraniała trzy sklepy „Pąsowej Róży”.

Prawdziwy biznes. I taki fajny, że aż trudno uwierzyć w jego dochodowość.

Postanowiłam, że pierwsze zyski wydam na wielki i piękny pomnik nagrobny Maszki. Projekt trzeba będzie zamówić u jakiegoś artysty. Na przykład rzeźbiarza monumentalisty Ceretelego. Roma mnie kiedyś z nim poznał. Czarujący staruszek. Kochała się w nim Liza Minelli. Ale on pewnie nie zgodzi się robić pomnika Maszce.

A jednak to dziwne, że Maszki nie ma. W żadnym zakątku kuli ziemskiej. Więc gdzie jest?

Kiedy umiera ktoś bardzo bliski, łatwo uwierzyć, że już nie istnieje. Bo gdyby istniał, byłby tuż obok. Na pewno. A kiedy nie bardzo bliski... Wydaje się, że po prostu wyjechał. Na jakiś czas. Może na zawsze.

Maszka, wróć!

Blondyn zadzwonił równo piętnaście po dwunastej. Co było nietypowe. Jeszcze nikt z naszych wielbicieli nie zadzwonił tak punktualnie. Wszyscy dzwonili

osiemnaście, dwadzieścia pięć po dwunastej albo za dwadzieścia pierwsza. Wszystkim zależało na zademonstrowaniu, jacy są ważni. Blondynowi na tym nie zależało. Wyciągnęliśmy stąd wniosek, że jest zadufanym w sobie typkiem z manią wielkości.

Zadzwoił, akurat kiedy Andżela siedziała w biurze i omawiała z szefem swoją przyszłość w firmie. A dokładnie: możliwość dostawania pensji. Telefon leżał na stole tuż przed nią. Nie spuszczała wzroku z zegara.

12.13

— Sieriożeńka, nie mogę pracować za darmo. W końcu to głupie.

— Dopiero się uczysz i nabierasz doświadczenia.

Jeżeli ta rozmowa była szefowi Andżeli nie na rękę, to starał się tego nie okazywać i zachowywać powagę. 12.14

— Nawet wstyd mi się przyznawać przed przyjaciółmi, że pracuję, a nie zarabiam. Wiesz, ile tu kosztuje parking? A obiady? A benzyna? No i mój czas?

— Parking masz za darmo. Obiady możesz jeść w stołówce. A ile jest wart twój czas, właśnie próbuję się dowiedzieć.

12.15

Dzwonek telefonu. Andżela złapała za komórkę.

— Halo — powiedziała zmysłowo, wspominając przenikliwe spojrzenie blondyna. — Cześć.

Szef westchnął i ukradkiem zerknął na zegarek. Andżela nie zwracała na niego uwagi.

— Dobrze. Tak. Co? Andżela... Dziękuję.

Szef podniósł na swoją pracownicę zdziwiony wzrok. Andżela bezceremonialnie bawiła się łańcuszkiem na piersiach.

— Tak. A ty jak masz na imię?

W restauracji nawet się sobie nie przedstawili.

Szef z rozdrażnieniem postukał palcem po szkiełku swojego zegarka. Andżela zrobiła płynny gest ręką, jakby go odprowadzała. Siedzieli w gabinecie szefa. Rozejrzał się na boki, być może chciał się co do tego upewnić.

— Ale przecież to nie ma być randka — wyszczebiotała Andżela do słuchawki to, co z nami ustaliła.

— Zaprosimy przyjaciół, prawda?

Szef trzasnął drzwiami.

„Skandynawia” okazała się hałaśliwym miejscem przypominającym piwiarnię w Monachium.

Żałowałam, że akurat postanowiłam zacząć się odchudzać. Nie w porę — jak zawsze. Zamówiłam rukolę. Andżela wzięła mozzarellę.

Dowiedzieliśmy się, że nasi adoratorzy są piłkarzami. Byłymi.

Przez dwadzieścia minut słuchałyśmy ich komentarzy na temat ostatniego meczu. Spartak przegrał, bo komuś tam dali żółtą kartkę.

Zaczełyśmy się zbierać do wyjścia.

Blondyn miał na imię Denis. Powiedział, że jeśli piłka nożna nas nie interesuje, to w zasadzie mogą zmienić temat.

Łaskawie przyjęłyśmy tę ofiarę.

Z zadowoleniem przekonaliśmy się, że o wszystkim innym potrafią rozprawiać z równym entuzjazmem, co o piłce. Tego wieczoru zweryfikowałam swoje wyobrażenia o sportowcach — wcześniej sądziłam, że są niczym więcej, jak tylko tępymi i ograniczonymi preparatami anatomicznymi. Choć wcale nie jestem przeciwna okazom, na podstawie których można się uczyć anatomii. Wręcz przeciwnie.

Andżela się zakochała. Wygadywała świństwa i żartowała cynicznie, co zawsze było u niej pierwszą oznaką narodzin głębokiego uczucia.

Kiedy Denis wymienił swoje nazwisko, nawet mnie wydało się ono znajome, chociaż ze sportem mam wspólne tyle co nic.

Andżela otworzyła szeroko oczy i słodko spytała:

— A to nie był przypadkiem dyskobol? Zawsze lubiłam te zawody w telewizji.

Od tej pory nazywaaliśmy Denisa Dyskobolem. W tajemnicy przed nim.

Z czasem Andżela została Dyskobolką.

Razem stanowili parę Dyskoboli.

Denis odwiózł Andżelę do domu, po czym całowali się w samochodzie. Półtorej godziny. Potem poszli do niej.

Andżela podała mu pęk kluczy i poprosiła o pomoc przy otwieraniu drzwi. Nie uprzedziła go jednak, że to klucze od dachy rodziców. Dlatego że scena właśnie rozgrywająca się na klatce schodowej była przez nią niejednokrotnie przećwiczona i nawet miała swoją nazwę: „Rozochocony i zbity z tropu adorator wyrusza w powrotną drogę do domu”.

Po wielu bezowocnych próbach włożenia klucza do dziurki Denis skomentował sytuację, używając wyrazów powszechnie uważanych za wulgarne.

Andżelę oburzyła jego postawa. Po gwałtownej sprzeczce odjechał, a Andżela bez najmniejszych problemów otworzyła drzwi odpowiednim kluczem.

Jej zdaniem mężczyznom należy stworzyć warunki do podjęcia walki o swoje szczęście.

— A zwłaszcza sportowcom — mówiła. — Wiesz, jaką oni mają wolę walki? Nie można im podawać siebie na tacy, bo szybko się znudzą.

Denis nie dzwonił dwa dni.

Andżela ze zgryzoty schudła dwa kilo.

Szkoda, że to nie ja chudłam z powodu Denisa.

Próbowałam chudnąć z głodu.

Kiedy rano zobaczyłam, jak w programie „Smak” pieką babeczki, zakreśliło mi się w głowie. O mały włos zjadłabym telewizor.

Pomyślałam, że jeszcze trochę i z głodu zacznę mieć halucynacje. Niewykluczone, że będę mogła przepowiadać przyszłość.

Przyszłość wszystkich cukierni widziałam czarno. Ludzkość siedmiomilowymi krokami zmierza w stronę zdrowego trybu życia, i dlatego nie zdziwię się, jeśli wkrótce zakłady ciastkarskie zejną do podziemia. A francuskie piekarnie skryją się w suterenach z szyldem „Go-Go Club”. Może powinnam zająć się wypiekami pieczywa?

Muszę poradzić się Iry Danilinej.

Kiedyś powiedziała żonie Fiodora Bondarczuka, Swietłanie, że powinna występować w telewizji.

Swietłana wtedy nie miała żadnego zajęcia, jeśli nie liczyć domu, męża i dzieci. Po dwóch latach nieoczekiwanie przyjęła propozycję prowadzenia programu na kanale Domowym. Tak się jej to spodobało, że kiedy spotkała znajomego Iry, ledwie zdążyła się z nim przywitać, wykrzyknęła: „Dlaczego od razu nie posłuchałam Danilinej? Zmarnowałam tyle czasu!”.

Uznałam, że lekka sałatka na pewno mi nie zaszkodzi. Tak samo jak jogurt, który jest bardzo zdrowy. I dwie parówki. Dobrze, skoro już tyle zjadłam, mogę dołożyć do parówek ziemniaczane puree.

Odchudzanie zacznę od jutra.

Dwa czekoladowe cukierki.

Ser z winogronami — bardzo wyszukane danie.

Strasznie się opchałam.

Denis zadzwonił do Andżeli.

Tak naprawdę nikt nie wie, co rządzi światem i ludzkimi czynami.

Nic nie powiedziałam Andżeli, ale pomyślałam sobie, że moje obżarstwo w jakiś sposób przyczyniło się do tego telefonu. Może podświadomie, kierując się miłością bliźniego, Denis postanowił położyć kres temu objadaniu się?

Dlatego że naturalnym biegiem rzeczy natychmiast przestałam się objadać. Zaczęłyśmy z podnieceniem omawiać ich rozmowę.

Denis zaproponował Andżeli spotkanie. Wielkodusznie zgodziła się zjeść z nim kolację. Za swoje stracone na tle nerwowym dwa kilo postanowiła zemścić się okrutnie. Tylko w żaden sposób nie mogła wymyślić — jak.

16

Pojechałam na daczę.

Sława powiedziała mi, że kilka razy była u mnie sąsiadka. Mieszkała dwa domy dalej. Miała sześćdziesiąt lat. Ale z jakiegoś powodu bardzo chciała się ze mną zaprzyjaźnić. Zapraszała mnie do siebie na śniadania i przynosiła Artiomowi to książki, to zabawki.

Staruchy ostatnio napełniają mnie lękiem. Zachowują się, jakby wszystko było w porządku. Jakby nie miały zmarszczek wokół oczu, policzków wiszących na kościach policzkowych jak gacie na sznurku, jakby ich tyłki nie przypominały przekłutych balonów — jednym słowem, jakby nie przydarzyła się im straszna rzecz pod nazwą „klimakterium”.

Swoją drogą w mojej rodzinie przekwitanie przychodzi wcześniej. Powinnam chodzić na siłownię. Mówią, że to pomaga. Chociaż pewnie kłamią.

Być może sąsiadka dowiedziała się o moim tymczasowym rozstaniu z Romą i postanowiła podzielić się ze mną życiową mądrością.

Poprosiłam Sławę, żeby nie odbierała telefonu.

Nie widziałam niczego złego w tym, że trochę odpocznemy z mężem od siebie. Nabierzemy nowych doświadczeń. Bez których życie małżeńskie staje się nie do zniesienia.

Za jakiś czas pewnie wydarzy się cud i zatęsknimy za sobą. Albo zwyczajnie zdamy sobie sprawę, że nikogo lepszego nie znajdziemy.

Roma zrozumie, ile może stracić, i znów będzie nosił mnie na rękach.

Ostatecznie nie tylko Waligóra chce być noszona na rękach. I nie tylko przez kałuże.

Przyjechała Andżela. Z Denisem i koko-dzambo.

Mózg po kokainie przypomina oszalałego jedno-rękiego bandytę, w którym wszystkie kombinacje wypadają jednocześnie, a zarazem istnieją niezależnie od siebie. Zrobiłam kreskę i natychmiast ogarnęło mnie takie poczucie winy, jakbym po długiej sesji na siłowni objadła się odsmażanymi ziemniakami.

Andżela najwyraźniej była zakochana. Chwilami miałam wrażenie, że zostały z niej jedynie ogromne zachwycone oczy. W tych oczach nie było wiecznie niezadowolonego taty, połyskującej spódnicy Luca Luca, rachunku z salonu piękności ani źle wyregu-

lowanych brwi — był tylko Denis. Leniwie rozparty w fotelu, opowiadający dowcipy wypróbowane na setkach dziewczyn. Andżela śmiała się, szeroko otwierając usta, pomna, że jej śmiech zrobił wrażenie na dziesiątkach mężczyzn.

Tak się zaczął ich romans.

Pasowali do siebie. Oboje lubili długo spać i późno wstawać. Oboje nie musieli nigdzie rano się spieszyć (kariera Andżeli dobiegła końca, zanim na dobre się zaczęła. Któregoś dnia spełniła swoją groźbę i nie poszła do pracy). W ciągu dnia jechali do miasta, gdzie Denis swoje zarobione na sporcie pieniądze lekką ręką wydawał na kortach tenisowych i w klubach sportowych. Andżela z taką samą łatwością uszczuplała budżet ojca w salonach piękności, na ogół w Pasażu Trietiańskim.

Wieczorem spotykali się w restauracjach.

Zamawiali jednakowe niskokaloryczne sałatki albo rybę na parze, jedli, palili fajkę wodną, sączyli czerwone wino. Czasami pili białe wino, rzadziej — whisky. Denis zawsze miał zapas koksu. Byli dla siebie stworzeni.

Umiejętnie kształtowali swoje stosunki: Andżela po mistrzowsku sprawiała, że Denis nigdy się nie nudził, on za to dbał, żeby Andżela zawsze czuła się kobietą. W praktyce wyglądało to tak, że ona czasami kilka godzin nie odbierała jego telefonów, a on przy każdym spotkaniu komentował jej strój. Aż przyjemnie było na nich patrzeć. Nabrałam ochoty, żeby się zakochać. Mieć oczy błyszczące jak u Andżeli i niczego wokół nie zauważać. Uśmiechać się wieloznacznie, kiedy ktoś spyta: „Jak się masz?”.

I współczuć tym, którzy uśmiechają się inaczej. Kiedy patrzyłam na Andżelę, pragnęłam również wznieść się do świata piękna, zostać członkinią klubu „uświęconych miłością”.

Zaczęłam z ciekawością rozglądać się wokół siebie. Nagle zauważyłam, jak wielu jest pociągających mężczyzn. Dziwne, wcześniej mi się zdawało, że otaczają mnie same pokraki.

Robiłam wdzięczne minki i z zapartym tchem szukałam skierowanych na mnie oczu. Przecież ktoś zakochał się w Andżeli. Ot tak, w jakimś lokalu, w czasie zwyczajnej kolacji... A ile takich kolacji musiała zjeść, żeby w końcu spotkać Denisa?

Nie myślałam przy tym o Romie. Zakochiwanie się we własnym mężu wydawało mi się oznaką słabości. Przy okazji dobrze by mu zrobiło, gdyby miał powód do zazdrości. Myśli, że jest pępkiem świata... Poczekamy, zobaczymy. Jeszcze wróci do mnie na kolanach...

Nie byłam zła na Romę. Po prostu nie lubię, jak się mnie poucza. Być może właśnie dlatego tak wcześniej wyszłam za mąż, żeby przestać być pouczaną. Ale nie tylko to mną kierowało. Roma był idealnym mężczyzną. Skądinąd do tej pory oszczędzał mi pouczeń. A to znaczy, że mnie kochał. Dlaczego akurat teraz wzięło go na robienie uwag — nie rozumiałam.

Kolejny raz walczyłam z bezsennością. Validol nie pomagał.

Moje myśli wirowały jak zepsuta karuzela. Raz w jedną, raz w drugą stronę.

Roma odbił mnie swojemu przyjacielowi.

Obaj zaczęli jednocześnie o mnie zabiegać.

Spędzaliśmy we trójkę całe dni.

Wprawnie lawirowałam między nimi, po równo obdzielając ich uwagą. Z łaski.

Zdrowy duch rywalizacji przydawał ich zalotom inteligencji. Każdy z nich starał się udowodnić, że jest lepszy — nie tylko mnie, ale i przeciwnikowi.

Szaleli z zazdrości o mnie i bacznie obserwowali nawzajem swoje osiągnięcia.

W pewnym momencie zaczęło mi się wydawać, że kocham ich obu. Z całą powagą wyobrażałam sobie idylliczne sceny z naszego wspólnego życia rodzinnego. Gala żyła przez pewien czas i z Salwadorem Dali, i z Eluardem. Przecież nie jestem gorsza od niej.

Jednak po pewnym czasie zrozumiałam, że Roma nie jest Salwadorem Dali. I że jako człowiek niepojmujący sztuki nigdy nie zgodzi się na podobne stosunki.

Roma podobał mi się bardziej niż jego przyjaciel. Ale przyjaciel tak bardzo mnie kochał!

Sama poinformowałam Romę, kiedy zostałam na noc u jego rywała. Z zamierającym sercem i podnieceniem człowieka szykującego się do skoku na bungee, który się boi, ale wierzy, że nic złego go nie spotka. Bo wszystko jest uwzględnione: długość liny, waga skaczącego, odległość od ziemi...

Moje rachuby okazały się trafne. Roma, silniejszy z nich, raz-dwa odbił mnie przyjacielowi. Tyle że przestali się przyjaźnić. Przez jakiś czas bardzo mnie to smuciło. Za to zyskałam szacunek Romy. Ludzie szanują tylko to, co osiągnęli z trudem. Ale okres tych

podwójnych zalotów wspominam do dziś. Z uśmiechem.

Zadzwoiłam do Romy późnym wieczorem:

— I co, masz już kogoś?

Bardzo się starałam, żeby w moim głosie nie było słychać drwiny.

— Mam. Zacząłem się czuć świetnie we własnym towarzystwie — odparł Roma, jak zwykle bardzo uprzejmie.

— No, no. — Myślę, że to zabrzmiało jak pochwała. Chętnie dałabym mu w nagrodę cukierka.

Siedzieliśmy we „Fresco”, oglądali mecz i jedli ostrygi. „Perła nr 2” — niezbyt tłuste, o pięknych muszlach. Denis miał do nich szczególne upodobanie.

Upodobania (dotyczące jedzenia, ubrań, wystroju domu) są instynktowne. Występują również u zwierząt. I u dzieci. Żadne dziecko nie lubi ostryg. A ja tak. Moje upodobania podporządkowane są wielowiekowym doświadczeniom ludzkości. Chociaż to nie jest zbyt rozsądne, bo żadnemu człowiekowi doświadczenia te nie pomogły dotąd uniknąć śmierci.

Odkąd poznałyśmy Denisa, zaczęłyśmy często oglądać mecze. Z przyjemnością. Dwudziestu dwóch chłopaków biegiem po boisku zarabia miliony. Piękny widok.

„Fresco” jest sympatyczną restauracją. Mimo że cieszysz się złą sławą. Tak twierdzi mąż mojej znajomej.

„Tam się chodzi na podryw" — powiedział jej.

„I co w tym złego — zdziwiła się znajoma — że samotni ludzie chcą kogoś poznać?"

Tego dnia samotni we „Fresco" byli tylko w naszej grupie. Jeśli nie liczyć stałych bywalców w sali dla VIP-ów: byłych megagwiazd piłki nożnej, Szalimowa i Koli Pisariowa, wraz z aktualną gwiazdą, Mostowojem.

Szalimow pił wino, palił fajkę wodną i cierpliwie poganiał kelnerów, a Mostowej omiatał wchodzące dziewczyny wzrokiem starego wyjadacza. Kola Pisariow pałaszował kurczaka.

Robiłam słodkie oczy do Mostowoja, dopóki nie przyjechała Ira Danilina.

Była druhną na ślubie Szalimowa. Często gościła u nich we Włoszech.

Zalecał się do niej Ronaldo. Już wtedy był znany na cały świat.

Pisywał do niej liściki. I nie odstępował jej na krok.

Danilina była wtedy zakochana w kimś innym.

— Jesteś sama? — spytał Igor Szalimow, sprawdzając, czy przyniesione przez kelnera wino jest dostatecznie schłodzone.

— Sama. — Danilina skinęła mu głową i podeszła, żeby pocałować mnie na powitanie.

— A mogłabyś być z Ronaldo — rzucił Szalimow w zadumie. Z jego tonu nie dało się wywnioskować, czy to byłoby dobrze, czy źle.

Ira przyszła na spotkanie z dziennikarką. Miała opowiedzieć, jak na pokazie Vivienne Westwood odmówiła wyjścia na wybieg na jej słynnych gigan-

tycznych obcasach. Naomi Campbell nie odmówiła, a Ira odmówiła. I Naomi gruchnęła na ziemię w obecności fotografów ze wszystkich stolic świata. A Danilina dumnie przedefilowała tam i z powrotem, po drodze klepiąc się po pupie wytwornym gestem. Co w pełni odpowiadało wizji wielkiej Westwood.

Do naszego stołu przysiadła się blondynka z ogromnym biustem wylewającym się z rozpiętej bluzki. Nowa znajoma Antona.

Dwoje samotnych ludzi, którzy poznali się poprzedniego dnia w „First” o piątej rano. Nie przespali się ze sobą tylko dlatego, że stracili się z oczu gdzieś w okolicy toalet. We „Fresco” spotkali się przypadkowo, ale to ich specjalnie nie zdziwiło. Świat jest mały. Nie można też powiedzieć, żeby się szczególnie ucieszyli. Za jej plecami stało dwóch ochroniarzy z automatami. W szykownych garniturach barwy khaki.

Anton nie wiadomo dlaczego przez cały dzień flirtował z Katią.

Blondynka przedstawiła się jako Śnieżanna. Uznałam, że to jej pseudonim.

— Wyszłam za mąż, jak miałam dwadzieścia jeden lat — mówiła — a uwolniłam się dopiero po trzydziestce.

Ledwie się uwolniła, a już sprytnie stała się kochanką jednego z naszych oligarchów. Jego eleganccy ochroniarze strzegli jej teraz przed spotkaniami z samotnymi ludźmi.

Katia opowiadała, jak jej znajoma — Swietłana, dziewczyna znanego śpiewaka — nieoczekiwanie

dla wszystkich i samej siebie została śpiewaczką operową.

Fakt ten stał się dla nas inspiracją. Wywróżyliśmy Andżeli burzliwą karierę na niwie kobiecego futbolu, a Śnieżannie — oligarchiczną przyszłość w przemyśle naftowym.

— Nudy — skomentowała Śnieżanna przeciągle. Jej górna warga przypominała dżdżownicę. Połykiwała wilgocią i trzęsa się podczas mówienia.

— Wchodzę do sklepu i wiem, że mogę kupić absolutnie wszystko. Niczego więcej nie chcę.

— Trzeba pracować nad siłą woli — łagodnie strofował ją Anton.

Chelsea grało z CSKA Moskwa. Oczywiście wygrało.

— Nie rozumiem — Śnieżanna ziewnęła, a jej dżdżownicowe usta rozciągnęły się na pół twarzy — po co Abramowiczowi to Chelsea?

Denis przez dwie sekundy patrzył jej prosto w twarz, jakby dopiero teraz ją zauważył. Po czym odwrócił się w kierunku telewizora, nie zniżając się do odpowiedzi.

— No właśnie, po co kupił drużynę piłki nożnej? — spytała Andżela, obejmując Denisa.

— A co jeszcze miał sobie kupić? — postanowiłam podtrzymać rozmowę. — Następny jacht? Następny samolot? Albo wyspę? Możliwości wydawania pieniędzy wcale nie jest tak dużo. Dla Abramowicza.

— Nie wydawania, tylko inwestowania — poprawiła mnie Katia. Tylko ona w naszym towarzystwie miała żyłkę do interesów. — Chelsea jest właścicielem

ogromnych terenów prawie w centrum Londynu. Z klubem, restauracją i nie wiadomo czym jeszcze.

— Nie macie zielonego pojęcia, o czym mówicie!
— nie wytrzymał Denis. Oczy mu błyszczały.
— Wiecie, jak to jest, kiedy wielotysięczne trybuny biją ci brawo? Kiedy skandują na twoją cześć? Co innego może budzić takie emocje? Samolot? Jacht? Nowy krawat?

Denis mówił z takim zapałem i patrzył na nas z takim pobłażliwym współczuciem, że natychmiast poczułam się mała i nic niewarta.

Na moją cześć trybuny nigdy nie skandowały. I pewnie nie będą. Chociaż... Jeśli, na przykład, Abramowicz rozwiedzie się z żoną...

— Dzisiaj przeczytałem w gazecie piękny wiersz. O jesieni. — Anton zaciągnął się dymem z fajki i patrząc w sufit, głośno wydeklamował z zaśpiewem:

Uszy upadły na podłogę,
tak jak jesienią opadają z topoli żółte liście*.

Denis i Anton nie darzyli się sympatią. Tych dwóch próżniaków, przejadających zarobione niegdyś pieniądze, traktowało się nawzajem z pogardą.

Denis żył przeszłością. Swoimi golami, dawnymi oznakami popularności, wspomnieniami. Anton pisał autobiografię atramentem sympatycznym. Następnego dnia zostawała pusta kartka.

Fragment utworu Daniily Charmsa *Straszna śmierć*, w przekładzie Jerzego Czecha.

Obaj byli umiarkowanie zainteresowani przyszłością. Tyle że z różnych przyczyn. Anton miał przyszłość w nosie, a Denis po prostu w nią nie wierzył, sądząc, że wszystko, co najlepsze, ma już za sobą.

— Piękny wiersz — powiedziała Śnieżanna.

Nie miałam siły się śmiać.

Podeszła Danilina.

Dziennikarka właśnie się z nią pożegnała. Załączając uprzejmy uśmiech i lepkie spojrzenie.

— Herbata — rzuciła Danilina kelnerowi.

Damy biznesu nie piją do obiadu.

— Jak twój nowy sklep? — rozpoczęłam rozmowę na poziomie.

Temat był niebezpieczny.

Danilina miała fioła na punkcie swoich prześcieradeł, poduszek i wszelkiej maści poszewek. Mogła opowiadać o nich godzinami.

— Ja też chcę otworzyć sklepik — wtrąciła Śnieżanna w samą porę.

— Jesteś na to za młoda — uśmiechnął się Anton.

Ekran telewizora pokazywał piłkarzy Chelsea tuż pod naszą bramką. Groźna sytuacja.

— Cicho bądźcie! — ofuknął nas Denis.

— Masz swój sklep, tak? — nie dawała za wygraną Śnieżanna.

— Całkiem dobrze idzie — powiedziała Danilina bez cienia uśmiechu. — Igor Czapurin był w tkalni Fabric Fronline i zakochał się po uszy w tym, co robią.

— A co robią? — spytała Śnieżanna.

Zazdroszczę ludziom, którzy nie boją się wyjść na profanów.

— To słynna fabryka — Danilina popatrzyła na Śnieżannę z niedowierzaniem. Przytaknęłam jej małodusznie. — Produkuje jedwab. Wszyscy, od Vivienne Westwood po Chanel, zamawiają u nich materiały. Najlepsze, jakie mogą być.

— A co z Czapurinem? — zainteresowała się Śnieżanna, garnąca się do świata gwiazd.

— Czapurin powiedział mi: „Ira, wszystko z nimi ustaliłem! Chcesz ich sprzedawać? Czekają na ciebie!”.

Danilina uśmiechnęła się.

— Więc pojechałam do Szwajcarii. Umówiłam się na spotkanie. Podpisaliśmy umowę. Dopiero potem się okazało, że Czapurin niczego im o mnie nie mówił! Wyobrażacie sobie?

— Jak to? — spytałyśmy ze Śnieżanną jednocześnie.

— A tak to — teraz uśmiech nie schodził z ust Danilinej. — Pojechałam, myślałam, że mnie z transparentami powitają...

— Ale z ciebie numer... — pochwaliła ją Andżela.

— I wszystko sama ustaliłaś? — dopytywałam się.

— Tak. Teraz sprzedaję Fabric Line i Schlossberg. I Pratesi oczywiście.

Szykowaliśmy się do wysłuchania króciutkiego wykładu o tym, jak to człowiek spędza w łóżku jedną trzecią życia i jak ważne jest...

Danilina wstała od stołu.

— Fajnie było was widzieć. Muszę lecieć, mam spotkanie.

Byliśmy nieco rozczarowani.

Mogłaby poświęcać więcej czasu swoim potencjalnym klientom.

Mam stare poduszki. Kupiłam je trzy lata temu. Koldry też. Pora je zmienić na nowe.

Jeśli przeciętny człowiek spędza w łóżku jedną trzecią życia, to ja więcej.

Andżela dostrzegła coś ciekawego za oknem.

Przed „Fresco” zaparkowała nowa błyszcząca łada żiguli eskortowana przez dżipa z ochroniarzami.

Wysiadł z niej niewysoki mężczyzna, od stóp do głów w Dolce & Gabbana i z grzywką a la Hitler.

— Jak to? Sierioża przesiadł się z lamborghini na ładę? — zdziwiła się Andżela.

— Pewnie przerznął go w karty — powiedziała Katia.

Okazało się, że Sierioża razem z przyjacielem kupili sobie łady, żeby podrywać „zwyuczajne dziewczyny”. Jeździli w tym celu na jakąś uczelnię.

Sierioża podjął cztery próby.

— I co? — spytał Anton ze szczerym zainteresowaniem.

— Same idiotki — westchnął Sierioża — i wszystkie chcą pieniędzy.

— A tamtemu jak poszło? — nie tracił nadziei nasz przyjaciel.

— Tak samo — machnął ręką Sierioża. Jego twarz wyrażała takie rozczarowanie, że natychmiast chciało się go pocieszać.

— To może w metrze? — zaproponowałam.

Sierioża westchnął.

— Jadę do „Werandy” — powiedział, obojętnie przebiegając wzrokiem po ekranie telewizora. Chelsea nadal prowadziło. — Moi znajomi tam siedzą.

Chłopaki z automatami profesjonalnie kryli go przed spojrzzeniami przechodniów, kiedy otwierał drzwi swojej łady.

— Gol! — krzyknął Denis i zamówił kolejną butelkę wina. — Tylko nie myśl sobie — powiedział do kelnera Andriusza — my je liczymy.

— Szkoda tylko, że ich sami nie przynosicie — wymamrotał Andriusza.

— Za to sami je wypijamy — pocieszył go Anton.

17

Znalazłam swoje kolczyki. Przez cały czas niewinnie leżały w misie z cukierkami. Widocznie włożyłam je tam, żeby nie zginęły.

Odkryłam je, dopiero kiedy zjadłam wszystkie cukierki.

Chwyciłam za telefon z szybkością milicjanta drogowki wyciągającego lizaka, kiedy ktoś przejeżdża na czerwonym świetle.

— Weronika? — krzyknęłam do słuchawki. Chciało mi się śmiać i płakać jednocześnie. — Zabijesz mnie, ale znalazłam kolczyki!

— Dzięki Bogu — powiedziała moja przyjaciółka Weronika — bo twoja gospośia uparcie się nie przyznaje.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedziała. Ogarnęło mnie potworne poczucie winy.

— Słuchaj, a co jej zrobili? — spytałam prawie szeptem, jak pytają dzieci, kiedy nabroją: „I co teraz będzie?”.

— No, nie znam szczegółów... — zaczęła Weronika, najwyraźniej już wyobrażając sobie, jak będzie opowiadać o całej sprawie swoim psiapsiółkom. Zacznie tak: „Nikita dostała głupawki po koksie...”.

— Nie chodzi mi o szczegóły — przerwałam jej.

Wiedziałam, że już nigdy i nigdzie nie chcę słyszeć ani o mojej gosposi, ani o tym, co się z nią stało.

Jeśli nieszczęścia nie traktuje się jak nieszczęście, to ono przestaje istnieć.

Niestety, działa to tylko wtedy, kiedy inni są nieszczęśliwi.

— Może powinnaś zadzwonić do niej i przeprosić? — spytała Weronika, najwyraźniej z zamiarem działania mi na nerwy. Pewnie Igor znowu nocował poza domem.

— Jasne — zgodziłam się posłusznie. Nic dziwnego, że Igor woli spędzać noce u innych kobiet.

— I dobrze by było dać jej trochę pieniędzy. Za straty moralne.

Niezła myśl. Przynajmniej nie będzie mnie dręczyć sumienie.

— A ile, jak myślisz? — spytałam.

— Nie wiem. Z tysiąc.

— Tak. Masz rację. Co prawda ostatnio nie najlepiej stoję z pieniędzmi...

— A co, Roma przestał ci dawać?

— Sama teraz zarabiam. I to więcej niż on.
Odłożyłam słuchawkę. Co za niesmaczna historia.
Przyglądałam się leżącym na dłoni kolczykom.
Widok brylantów zawsze mnie uspokajał.
„Teraz będę chować wszystko do sejfu” — zdecydowałam.
Staralam się nie myśleć o Tamarze. Dam jej pieniądze. Tysiąc. Tylko muszę wymyślić, jak to zrobić. Sama do niej nie zadzwonię. Nie będę w stanie.
Że też właśnie mnie musiało się coś takiego przytrafić!
Znowu zadzwoniłam do Weroniki.
— Słuchaj, a może poprosić Borysowicza, żeby dał jej te pieniądze? — wyjęczałam.
— Zwariowałaś? Nie zgodzi się. — Po chwili Weronika postanowiła ulitować się nade mną: — Dobrze, coś wymyślę. Przywieź pieniądze.
— OK!
Od razu poweselałam. Wyobraziłam sobie radość Tamary. Tysiąc dolców. Próbowałam przekonać ją telepatycznie, żeby się ucieszyła.
Zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczona. Nie będę już o tym myśleć. Moje myślenie i tak nikomu nie pomoże.
Włożyłam kolczyki do popielniczki. Przesunęłam je na sam środek. Popielniczka była kryształowa, barwy rubinowowiśniowej. Jak beaujolais.

W mojej ochroniarskiej drużynie znalazło się sześć osób:
Erudytką — lubiła się wymądrzać;

Aleks — strzelała obcasami jak oficerowie Białej Gwardii;

Waligóra — kiedy kogoś poznawała, chcąc nie chcąc najpierw dowiadywała się, czy ma łupież;

Madame — fałszywe brylanty wyglądały na niej jak prawdziwe;

Harley — swoim istnieniem dowiodła, że słowo „rocker” jest unisex.

Myszka — jej zaletą było to, że niewiele dało się o niej powiedzieć.

Erudytką i Madame pracowały u mojego teścia. Pojawiał się z nimi na wszystkich imprezach publicznych, razem pozowali do zdjęć dla kronik towarzyskich, tak że stopniowo wyrażenie „dziewczęta z firmy ochroniarskiej «Nikita»” stawało się równie znane i utarte, co na przykład „nowa kolekcja Oscara de la Renta”.

Aleks wzięła jedna moja znajoma, która zajmowała się sprzedażą kefiru albo białego sera. A może serwatki. Z tej znajomej był kawał wrednej suki, toteż nie robiłam sobie nadziei, że Aleks długo u niej popracuje.

Harley ochraniała szesnastoletnią córkę jednego z gwiazdorów naszego show-biznesu. Głośny skandal wywołany przez romans córki z kierowcą skłonił go do zatrudnienia ochroniarki. Do obowiązków Harley należało prowadzenie samochodu. Czasami — motocykla. Kiedy córka miała ochotę włożyć skórzaną kurtkę.

Do tej pory nie udało mi się sprzedać tylko Waligóry i Myski.

Obiecałam je ludziom z telewizyjnej Jedynki.

Reżyser zadzwonił do mnie, akurat kiedy postanowiłam podwyższyć swój poziom intelektualny przez czytanie gazet. Wybrałam pięć i nadludzkiem wysiłkiem zmuszałam się, żeby przeczytać je od deski do deski. Nie było łatwo. Gazety przypominały mi serial. Jeśli nie zna się poprzednich odcinków, trudno znaleźć sens w poczynaniach bohaterów.

Ostatnie strony — to co innego. Tam piszą o sporcie. Zwłaszcza o piłce nożnej. Kto z kim podpisał kontrakt, kto kogo przekupił, kto z kim wygrał. Wszystko jest jasne i ciekawe.

Koszmar. Mam nadzieję, że się w ten sposób nie degraduję.

Reżyser powiedział, że chce zrobić reportaż o mojej agencji. Że puszcza go w porze największej oglądalności i że będzie to znakomita bezpłatna reklama.

Mówił łagodnie, ale przekonująco.

Zawsze chciałam być sławna. Chyba wszyscy chcą. Tylko niektórzy wstydzą się do tego przyznać.

Jeśli człowiek nie chce być sławny, to znaczy, że jest stuknięty. Albo ma złe zamiary. Albo uważa, że pozjadał wszystkie rozumy.

Gdybym była gwiazdą, we wszystkich nocnych klubach tłum rozstępowałby się przede mną. A w „Lecie” Pasza-face-control witałby się ze mną jak ze swoją. Na prezentacjach fotografowie by mnie otaczali zwartym murem. Nazywałabym go „murem próżności”. I podczas spotkań z nieznanymi nie starałabym się dobrze wypaść: niech mnie kochają taką, jaka jestem. Nawet celowo robiłabym wrażenie osoby gorszej

niż w rzeczywistości. Jakoś to zniosą.

Zadzwoń! Roma. Spytał, co nowego.

— Telewizja będzie robić o mnie reportaż.

Znałam odpowiedź na każde pytanie, które mogłabym zadać Romie. I z góry wiedziałam, jak zareaguje — cokolwiek bym powiedziała.

Wątpię, żeby ludzie, którzy przeżyli razem kilka lat, mogli mieć jeszcze sobie coś ciekawego do powiedzenia.

— Tylko nie pij przed nagraniem. I wszystko będzie dobrze — swoim zwyczajem powiedział Roma.

— Poprzestanę na koksie — jak zwykle się obraziłam.

Okazało się, że jest bardzo młody. Reżyser. Jego wargi wyglądały na lekko podpuchnięte. Jakby dopiero co się całował. Kilka godzin z rzędu.

W jego sposobie wydawania poleceń ekipie było coś dziecięcego. Jakby się bawił żołnierzkami. Młody generał o bardzo zmysłowych ustach. Naszła mnie ochota, żeby dotknąć ich palcem. To mnie rozśmieszyło. A on się speszył. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, widząc rumieńce na jego policzkach. Policzkach z dołeczkami.

Nosił wspaniałe, prawdziwie męskie imię: Stas.

Kiedy na mnie patrzył, uśmiech zniknął z jego twarzy. A na mojej przeciwnie — pojawiał się. Arogancki uśmiech kota, który trzyma mysz za ogon.

Ekipa kręciła scenę, w której grała Waligóra. Podjeżdża mercedes, wysiada z niego aktor ucharakteryzowany na oligarchę (roztargniony wzrok,

wyczyszczone na glanc buty, dobrze przynajmniej, że bez cygara), pojawiają się faceci w moro z automatami i rozbieganymi oczkami i nagle — wkracza elegancka i niezawodna Waligóra. Niezawodna jak miłość matki do dziecka. Elegancka jak okładka „Vogue'a”.

Stas ciągle był z czegoś niezadowolony. To chciał, żeby operator kręcił bez szerokich planów, to znów, żeby ustawić kontrastowe światło.

A ja chciałam patrzeć na jego usta. Nie miały regularnego konturu. Może dlatego, że w dzieciństwie często się bił? Usta boksera.

Wyobraziłam sobie, że jestem małą dziewczynką, o którą bije się Stas.

Prowadząca program rudowłosa kobieta przypominała mi obrazek z komiksu. Nad jej głową widziałam rzędkę wyrazów w dymku. Mówiła tak, że gdyby w telewizorze wysiadł dźwięk, widzowie bez trudu mogliby odczytywać słowa z ruchu jej warg.

Robiła ze mną wywiad.

Pod spojrzeniem Stasa gubiłam się w gwałtownym potoku jej wypowiedzi i nie docierała do mnie treść pytań. Stas łagodnie mówił:

— Stop!

A ja czułam się głupia i do niczego. Stas znowu mówił:

— Kamera. Akcja!

Uśmiechałam się sztucznie i gadałam bzdury.

Chciałam spodobać się tym nabrzmiałym ustom.

Byłam stremowana i zachowywałam się idiotycznie.

Nawet Waligóra próbowała podnieść mnie na duchu.

A ja próbowałam wziąć się w garść i myśleć o czymś innym. O czymś zwyczajnym. Ciekawe, ile czasu Waligóra spędza teraz na wybieraniu bielizny?

W końcu straciłam cierpliwość i się rozzłościłam. Co mi strzeliło do głowy? Psuć nagranie z powodu jakiegoś chłoptasia? Jak będę sławna, to nie tacy będą za mną biegać.

Powiedział, że mogę przyjechać na montaż.

Podyktowałam mu swój numer. Najbardziej wyniosłym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

I przymilnie spojrzałam mu prosto w oczy. Zrozumiał już, że jestem warta zachodu?

Uśmiechnął się swoimi dołeczkami.

Przeleciał wzrokiem po moich nogach w dżinsowej mini.

Co-o-o?

Zrozumiałam, że nabrzmiałość jego warg wcale nie jest dziecięca. Tylko bezczelna i zaprawiona w bojach. Przyjemnie było o tym myśleć.

Upewniłam się, czy telefon działa.

Oczywiście nie zadzwoni od razu.

Oczywiście świetnie opanował grę w kotka i myszkę.

Oczywiście jeszcze się nie zorientował, że to ja zawsze jestem kotem.

Na wszelki wypadek znowu sprawdziłam, czy telefon jest w gotowości (czasami sam się wyłącza).

To mnie rozśmieszyło.

Jakbym straciła wzrok i nagle znowu zaczęła dostrzegać kształty przedmiotów.

Czyżbym się zakochała?

Jeszcze zanim Roma udał, że mnie porzuca, często myślałam: „Czy to możliwe, że w moim życiu nic się już nie wydarzy?”.

Szkoda, że nie wzięłam numeru Stasa.

Spojrzałam w lustro. Ciekawe, na ile lat wyglądam? I w ogóle, czy we mnie jeszcze można się zakochać? Nie jestem brzydsza od Andżeli. Jestem ładniejsza. O wiele.

Było mi przyjemnie myśleć o tym, że o tym myślę. Było mi przyjemnie przeżywać sercowe perturbacje i być świadomą przeżywania sercowych perturbacji.

W moim życiu znowu się coś dzieje!

Andżela przyjechała do mojego biura.

Opowiadałam jej o Stasie, jakbyśmy mieli romans. I to od dawna.

Andżela udawała, że mnie słucha.

Kiedy tylko przerwałam na chwilę swój monolog, od razu zaczęła mówić o Denisie.

Denis jest bardzo sexy.

Myślę, że Stas też jest bardzo sexy.

Denis jest wesoły.

Stas ma wspaniałe poczucie humoru.

Denis kocha Andżelę.

Stas zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia.

Andżela uważa, że pora przedstawić Denisa ojcu.

Ja uważam, że będzie można przedstawić Stasa Artiomowi.

Zadzwoił telefon Andżeli. Denis.

Po co wymyślam niestworzone rzeczy o jakimś Stasie, który pewnie wcale nie zawraca sobie mną głowy?

— Stęskniłeś się, kochanie?... No, powiedz: stęskniłeś się?... Po prostu powiedz: tak czy nie?

Wyciągnęłam z biurka kilka cienkich teczek. Każdy klient ma swoją. Nie wiedzieć czemu, wzięłam w kółko kilka nazwisk na grafiku pracy ochroniarek.

Andżela skończyła rozmowę z zadowoloną miną. Gdyby miała ogon, na pewno by nim zamerdęła.

— Działa mi na nerwy — oznajmiła radośnie. — Specjalnie nie mów, że się stęsknił.

— A co mówisz? — spytałam, nie bardzo rozumiejąc, co ją tak cieszy.

— Mówi, że aby się stęsknić, trzeba spędzić z kimś jakiś czas, a potem się rozstać. I zacząć tęsknić.

— Słusznie — pokiwałam głową. Przypomniałam sobie, że zakochanemu wszystko się podoba w obiekcie uczuć.

— Ale mówi, że o mnie myśli. Wyobrażasz sobie?

Wyobraziłam sobie Denisa, który z zagadkowym uśmiechem w jednej ręce trzyma piłkę, a w drugiej kieliszek czerwonego wina. Super. Na ekranie przed nim strzelają gole, sędzia rozdaje czerwone kartki, a on nic, tylko myśli o Andżeli.

W moim ciasnym sekretariacie sekretarka płakała nad AntykrzysowymPR-em Olszewskiego.

— Ty też kogoś spotkasz — pocieszała ją Andżela. Z powagą i poczuciem winy w głosie.

Sekretarka kochała Andżelę. Była przekonana, że wszystkich, których miała spotkać, już spotkała.

Na biurku leżała jeszcze jedna otwarta książka. Thompson. *Strategiczne zarządzanie*.

Kiedy Artiom miał trzy lata, prosił mnie, żebym dała mu spróbować papierosa. Nie zgodziłam się, więc płakał. Było mi go żal, bo wiedziałam, że jego łzy są szczerze — naprawdę tego chciał. Ale się uśmiechałam, bo w żaden sposób nie potrafiłam z nim dzielić jego smutku.

Patrzyłam na ryczącą z nieszczęśliwej miłości sekretarkę i próbowałam sobie przypomnieć, ile dni temu gosposia prosiła mnie, żebym kupiła proszek do prania.

Andżela stała za nią, wywracała oczami, robiła miny i dawała mi znaki, żebym pomogła jej uspokoić histeryzującą dziewczynę.

W końcu ulitowałam się nad przyjaciółką. Spojrzałam na zegarek i krzyknęłam:

— Andżela, już piąta! Ojciec cię zabije! Idź, jakoś sobie poradzimy.

Poradziłam sobie z sekretarką bez trudu. Po prostu wysłałam ją do domu.

Co za femme fatale z tej Andżeli. Ciekawe, ile kosztuje operacja powiększenia piersi?

18

Ubieranie się na wizytę u mojej teściowej to cały rytuał. Wybrałam spódnice, za którą zapłaciłam kiedyś tysiąc sześćset dolarów (to były czasy!). Różowe kwiaty lotosu na białym tle. Carolina Herrera.

Kiedyś podarowałam kochankowi na walentynki piżamę Brioni za tysiąc dwieście. Jedwabną. Kupiłam ją w Centrum Handlowym „Moskwa”. Nie mogłam się powstrzymać i zostawiłam paragon w pudełku. Szczyt snobizmu. A nuż nie wie, ile kosztuje piżama Brioni? Z okazji Dnia Kobiet przyniósł mi wielki bukiet róż. A na prima aprilis się rozstaliśmy.

Roma kolejny raz odniósł zwycięstwo nad konkurencją. Wcale o tym nie wiedząc. A może jednak się domyślał?

Jechałam z przyjacielską wizytą do teściowej. I do jej pięknego egzaltowanego męża. Mam nadzieję, że homoseksualizm nie jest dziedziczny. Roma w tańcu lubi kręcić tyłkiem. Co też mi chodzi po głowie?

Ich trawnik był starannie przystrzyżony. Ogrodnik w zielonym kombinezonie tropił z odkurzaczem pojedyncze liście. Wycie odkurzacza zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Co jest lepsze: kilka romantycznych żółtych listków na klombie czy ten potworny hałas na całą okolicę? To kwestia smaku. Teściowa wołała hałas.

Sama wyglądała jak klomb — taka przystrzyżona i zadbana. I jesienna.

Oznajmiłam jej, że świetnie wygląda. Schlebianie teściowej weszło mi w nawyk. Wybuchnęła swoim słynnym basowym śmiechem. Właściwie dlaczego mnie nie kocha? W końcu jestem matką Artioma. Czy to nie wystarcza, aby zneutralizować fakt, że jestem też żoną jej syna?

Ogrodnik wyłączył odkurzacza. Spytał, czy może już iść. Z charakterystycznym tadżyckim akcentem. Teściową nazywał „pani”. Mnie też. Pracował tu od niedawna. Ale miałam wrażenie, że już go gdzieś widziałam. Ci Tadżycy przenoszą się z daczy na daczę po całej Rublowce.

Fioletowoliliowy teść prezentował się bardzo prowokująco w towarzystwie moich dziewczyn — Madame i Erudytki. Zapewne ciągle prowokowanie było jego reakcją obronną. Tylko na co — z jego milionami?

Stałyśmy z teściową, każda w innym rogu wielkiego zagraconego salonu. Żadna z nas nie kwapiła się

do rozmowy. Na filmach tak właśnie wygląda początek pojedynku, kiedy przeciwnicy powoli zbliżają się do siebie. Pierwszy strzał teściowa oddała w powietrze. Bardzo szlachetnie z jej strony.

— Napijesz się?

Nie chciałam pić. Przyjechałam samochodem. Poza tym nie miałam ochoty na picie z teściową. Bałam się jej.

— Napiję.

Teściowa nigdy nie pudłowała. Wypiłyśmy butelkę Villa Antinori, rozmawiając o mojej spódnicy. Rozmawiając o jej spódnicy (dżinsowa od Armaniego), opróżniłyśmy drugą. Wydawało się, że nie mamy więcej tematów do rozmowy.

Otworzyłyśmy trzecią butelkę.

— Nie bój się, wróci do ciebie — powiedziała, kręcąc w palcach cienką nóżkę kieliszka.

Wcale się nie bałam. Ale miło było usłyszeć to od niej.

— A może nie wróci — odparłam, sama nie wiedząc, dlaczego to mówię. Pewnie żeby sprawić jej przyjemność. — W końcu nie byłam najlepszą żoną na świecie.

Zrobiło mi się żal i Romy, i mnie. Bardzo chciałam, żeby teściowa również mnie pożałowała.

— Matką też byłaś taką sobie — stwierdziła — pamiętasz? Zaraz po urodzeniu Artioma? Nie matką, tylko maciorą, możesz mi wierzyć.

Od samego początku nie znosiłam teściowej.

— Nie płacz. Wszystkie jesteśmy takie same — pocieszyła mnie matka Romy. Jak umiała.

Trączyliśmy się kieliszkami.

— Za nasze dzieci — powiedziałam.

— I za naszych facetów.

Kiwnęłam głową.

— Chociaż mojego to trudno nazwać facetem. Z faceta jest w nim tyle, że pieniądze zarabia. I krew mi psuje. A poza tym...

Spojrzała na mnie bezradnie i dopiła wino. Łapczywie. Jakby wlewała w siebie eliksir życia. Albo lekarstwo. Albo truciznę.

Ściemniło się. Zapadła wieczorna cisza.

— Bo nie można go traktować jak faceta — powiedziałam. — Lepiej jak przyjaciółkę. Fajnie — można porozmawiać o depilacji, implantach i kosmetykach.

Teściowa zaczęła gapić się na mnie z niedowierzaniem.

— Oczywiście — wzruszyłam ramionami — w końcu najważniejsze, żeby nie odszedł. Mam rację? W pewnym wieku... — zerknęłam na nią z niepokojem, ale przytaknęła mi z rezygnacją — człowiekowi potrzebna jest stabilizacja finansowa i żeby miał przy sobie kogoś bliskiego...

— To kara za moją młodość — nieoczekiwanie zaśmiała się teściowa. — Myślisz, że ty sobie używałaś? To ja sobie używałam! Jeszcze jak! — Wstała, mało brakowało, a przewróciłaby stół. Podeszła do telewizora. Po ruchu warg poznałam, że przeklina. — Mam! — Wzięła pilota i włączyła MUZ-TV. Filip Kirkorow śpiewał coś chwytającego za serce. Teściowa zaczęła płynnie poruszać ramionami, rękami i biodrami.

„Jak się zestarzeję, za nic w świecie nie będę tańczyć” — obiecałam sobie w myślach.

— Chodź tutaj! — zawołała i razem wykonałyśmy taniec z Pulp Fiction. Mnie przypadła rola Travolty. Teściowa zatykała nos dwoma palcami, dopóki nie padła na podłogę.

Patrząc na nią z góry, pomyślałam, że to tylko stara pijana kobieta. Której już od dawna nie kocha mąż.

— Ja sama! — odepchnęła moją rękę i wstała z trudem. — To mówisz, żeby o depilacji i implantach?

— Jasne — kiwnęłam głową.

— Ja jestem tylko po to, żeby kochać mnie... — zahuczwała teściowa.

Potem odśpiewałyśmy Dla nas to dopiero początek. Grupy Zwierzaki.

Następnie się objęłyśmy i wyznały sobie miłość.

— Zostań na noc — powiedziała teściowa — inaczej jutro pomyślisz, że ci się to przyśniło.

Jeszcze trochę się poobejmowałyśmy, po czym poszłam spać do pokoju gościnnego.

To znaczy — chyba poszłam. Skoro się tam obudziłam następnego ranka.

Wczorajszy ogrodnik już od kilku chwil coś do mnie mówił. Nic nie rozumiałam. Zdawało mi się, że wyje odkurzacz. A wyło w mojej głowie. Nagle wszystko ucichło. Pozostał tylko głos Tadżyka.

— Pani, chcę spytać, palić liście czy je wywieźć za dom?

Słyszałam już ten głos. Znowu poczułam nogi na swoim ciele i lepkie palce na piersiach. Opowiadałam im kawały. A oni zastanawiali się, co ze mną zrobić. Nie pomyliłabym tego głosu z żadnym innym.

Przyglądałam mu się w milczeniu. Krzyczeć? Niech go złapią i pobiją. Albo skopią — na dobre. Aż się udławi własną krwią.

Tadzyk stał i uśmiechał się z zakłopotaniem.

— To co, pani?

Nie poznał mnie? Może my dla nich wyglądamy jednakowo, jak oni dla nas?

Byli wtedy na herze albo na czymś podobnym; ja miałam worek na głowie. A mój głos?

Nie, nie poznał. Patrzy na mnie tępyimi niewinnymi oczkami.

— Ten ogrodnik wyrzucił mnie z samochodu — powiedziałam teściowej.

Podniosła na mnie wzrok. Nie starając się go skupić.

Machnęła ręką.

— Poznałam jego głos!

Też będę miała takie kace w jej wieku?

— Nikita, uspokój się! Masz białą gorączkę.

Teściowa teatralnym gestem położyła sobie dłoń na czole.

— Ale ja go poznałam! Naprawdę mamie nie przeszkadza, że po domu chodzą bandyci? I narkomani?

— Narkomani? — teściowa opadła na fotel i uśmiechnęła się: — Co to, to tak... Do mnie pije?

— Oliwa pomaga. Jedna łyżka — powiedziałam, idąc w stronę drzwi.

— Co?

— Przed picciem. Potem się nie ma kaca.

— Nikita, idź do lekarza.

— Do widzenia.

Wsiadłam do samochodu i włączyłam muzykę. Wiatr kołysał sosnami, na ogrodzeniu siedziały wrony.

Wrony z bliska wydają się bardzo szczupłe. Mają sportową sylwetkę — z powodu długich nóg.

Być może kiedyś otworzę klub fitness, a wtedy wrona będzie moim logo. Do tego slogan: „Jeśli nie umiesz latać, to znaczy, że nie musisz”.

Drzwi do gabinetu były szczelnie zamknięte. Przewadziłam naradę operacyjną. Erudytką najwyraźniej czuła się dumna, że w niej uczestniczy. Madame zachowywała powagę — stosownie do sytuacji.

— Jest pani pewna? — spytała Erudytką. — Bo podświadomość może czasem racjonalnie...

— Nie jestem całkowicie pewna. — Bolała mnie głowa i nie miałam ochoty słuchać o podświadomości.

— Ale na osiemdziesiąt procent. Musimy to sprawdzić. Waligóra przyniesie wam sprzęt do podsłuchiwania. Gospodarzom na razie nic nie mówcie. Poza tym wiecie już, co robić.

— Mamy założyć w jego pokoju pluskwy i dowiedzieć się, czy ma komórkę — przytaknęła Madame.

— I trzeba wyjaśnić, jak trafił do tej pracy, z kim i dokąd wychodzi, kiedy ma dni wolne. Jeśli, oczywi-

ście, ma dni wolne — Erudytką recytowała jak przy tablicy.

Wyjęłam z torebki fortral i połknęłam wielką tabletkę bez popijania.

— Tylko go nie spłoszcie — poprosiłam — i pilnujcie, żeby sejfy były pozamykane i pieniądze nie leżały na wierzchu.

Nie pojechałam na daczę.

Od pewnego czasu wołałam zostawać w moim zaniedbanym mieszkaniu w Moskwie. Już prawie miesiąc nikt w nim nie sprzątał. Wraciałam do domu i z dziwną satysfakcją dostrzegałam oznaki rozkładu i zapuszczenia. W niektórych kątach pojawiły się pajęczyny. Podobały mi się.

Był w nich duch indywidualizmu. Nikt nie ma pajęczyn. Wszyscy mają gosposie. To tak, jakby ludzie maszerowali w zwartym szyku ze śpiewem na ustach i wszystkim było dobrze: i idącym, i gapiom. A kiedy jeden człowiek opuszcza szereg, niczego to nie zmienia. Dla innych. Po prostu przestaje być częścią i staje się całością.

Dopiero kiedy wyhodowałam pajęczyny, poczułam, że mam w pełni ukształtowaną osobowość. Ciekawe, czy jeśli wpuszczę do mieszkania ze dwie myszy, popadnę w manię wielkości?

A jeśli od koksów tracę rozum? Czy w ogóle go mam? Może przejdę samą siebie i stracę rozum, którego nie mam?

Nie, chyba go jednak mam, skoro nie zaproponowałam teściowej wspólnego snifowania.

Denis leżał na kanapie w moim gabinecie i chyba spał. Andżela już od pięciu minut malowała sobie usta. Ja rozmawiałam przez telefon. A raczej słuchałam. Olesia skarżyła mi się, że mąż urządził jej awanturę. Zobaczył, jak Olesia całuje się w samochodzie. Ze swoim trenerem. Szachów. Olesia postanowiła nauczyć się grać w szachy, żeby być bardziej atrakcyjna dla męża.

— Niczego nie było — chlipała Olesia w słuchawkę — tylko się całowaliśmy. A ten idiota wcześniej wrócił z pracy.

Oglądałam swój manikiur. Lubię mieć owalne paznokcie.

— Co nic nie mówisz? — ofuknęła mnie Olesia.

— A po co w ogóle się z nim całowałaś? — spytałam, spodziewając się usłyszeć długą listę zalet trenera szachów.

— Bo lubię się całować! — krzyknęła Olesia. —
Co w tym złego?

Wzruszyłam ramionami, chociaż Olesia nie mogła tego widzieć.

— Dobrze, że nie lubisz na przykład obciągać — westchnęłam.

Denis otworzył oczy.

— Jedźmy do lasu — powiedział.

— Dziwne masz skojarzenia — warknęła Andżela.

Pożegnałam się z Olesią. Miała zamiar dzwonić do męża i powiedzieć mu, że zwolniła trenera. Chciała sprawić mu radość.

Przyjechał Anton. Powiedział, że Katia wyjechała do Paryża. Zawiozła dziewczynki na zamkniętą

impreszę u jednego z naszych emigrantów. Z okazji urodzin jego córki.

— Chciałbyś małą słodką córeczkę? Z różową kokardką? — spytała Andżela Denisa, wydymając uszminkowane usta.

— Z kokardką? To nie chciałbym. — Denis leniwie zwrócił głowę ku drzwiom. Weszła sekretarka. Postawiła na stoliku tacę z kawą i colą. Uśmiechnęła się kolejno do Denisa i Antona.

Denis usiadł.

— To o niej mówiłaś, że lesbijka? — spytał Denis, nie czekając, aż sekretarka wyjdzie.

Dziewczyna obejrzała się i zarumieniła. Przestraszyłam się, że znowu będzie płakać, i już postanowiłam ją zwolnić, kiedy uśmiechnęła się i bez skrępowania popatrzyła Denisowi w oczy. Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmieszek. Sekretarka jeszcze raz się uśmiechnęła i wyszła.

— Mógłbyś sobie odpuścić! — powiedziała Andżela ze złością.

— A mógłbym robić to, co chcę? — Denis mocno ucisnął Andżelę, a ona zachichotała.

— Chcesz tylko piłki nożnej i koksu — oświadczyła kapryśnie moja przyjaciółka. Najwyraźniej spodziewając się sprzeciwu z jego strony.

— A ty koksu i mnie. — Denis już się zabrał do całowania, a Andżela popiskiwała teatralnie.

— Czyli coś was jednak łączy — zauważył Anton.

Tak skrętnie wyrównywał kreskę dwoma kartami kredytowymi, że wyszła nienaturalnie równa — jakby

zdechła dżdżownica spadła nam na stół. Biała i tłusta.

— Dokąd nas zaprowadzi kręta ścieżka ta? — zaśpiewała Andżela na sobie tylko znaną melodię.

— Sama jesteś kręta — burknął urażony Anton.

— A ścieżka jest prosta jak drut.

Postanowiliśmy, że na wolne dni pojedziemy do Zawidowa. Wynajmiemy duży dom, pojeździmy konno, zagramy w bowling i będziemy brodzić w żółtych liściach. Denis zaproponował, żebyśmy wzięli ze sobą sekretarkę.

— Będę zazdrosna — powiedziała Andżela.

— Ona też — powiedział Anton.

— A ja chciałbym być zazdrosny o was — oznajmił Denis w rozmarzeniu i z miejsca zarobił od Andżeli kuksańca w bok.

Na kolację pojechaliśmy do „Górek” na Twerską. Anton zaprosił Śnieżannę z obstawą.

— Szczypta egzotyki nie zawadzi — wyjaśnił.

Śnieżanna przestrzegła postu. Cały tydzień. Przed spowiedzią. I komunią. Nie chciała czytać menu.

— Nawet się nie napijesz? — nie mogłam uwierzyć.

Śnieżannę ogarnęły wątpliwości.

— No, może tylko kieliszczyk... — powiedziała niepewnie.

— Obowiązkowo! — podchwycił Anton.

Śnieżanna wyciągnęła komórkę.

— Tylko spytam batuszki... Halo... Ojciec Sergiusz? Mówi Śnieżanna... tak... dziękuję... Chciałam

spytać, czy mogę wypić kieliszek wina? Czerwonego? Dziękuję ojcu. Do widzenia.

Śnieżanna się rozłączyła.

— Mogę. Nalewajcie, Oj, jaki dobry ten mój batuszka...

— Dasz numer? — poprosiła Andżela z drwiną w głosie.

— Przecież nie chodzisz do cerkwi — odparowała Śnieżanna wyniośle.

— Dziewczyny, nie kłóćcie się — roześmiał się Anton. Nie spuszczał ze Śnieżanny zachwyconych oczu.

— Potrafisz człowieka zaintrygować — pochwalił ją nie bez sarkazmu.

— Batuszka! — Po półgodzinie Śnieżanna znowu dzwoniła. — Mogę jeszcze kieliszeczek? Czerwonego? Dziękuję, batuszka.

W telewizji zaczął się mecz. Odkąd w naszej paczce pojawił się Denis, na dobre przestaliśmy oglądać Fashion TV.

19

Ktoś z domu teściów miał zostać porwany. Madame obudziła mnie o drugiej w nocy, żeby mi o tym powiedzieć.

Tadżyka — miał na imię Said — podsłuchiwałyśmy okrągłą dobę.

Okazało się, że u teścia pojawił się dwa tygodnie wcześniej. Zadzwoił do drzwi i zaproponował swoje usługi.

Przed głównym wejściem stała martwa sosna. Trzeba ją było czym prędzej usunąć, bo w razie wichury zwałiłaby się na dom. I zniszczyła połowę dachu.

Said obwiązał się liną, wszedł na czubek drzewa, po czym stopniowo odpiłował wszystkie gałęzie i ściął pień. Pod wieczór dostał swoje sto dolarów i już miał odejść, ale pojawiła się teściowa.

— Pani, odkurzacz trzeba kupić. Wszędzie pełno liści — zwrócił się do niej Said.

Teściowa ceniła ludzi z gospodarskim zacięciem. Czyli z czymś, czego brakowało jej i mężowi.

Odkurzacz został kupiony. Said zamieszkał w altanie w głębi ogrodu. Nie pił, nie obijał się. Teściowie byli z niego zadowoleni.

Przez telefon mówił głównie po tadżycku. Madame wszystko nagrywała. Zastanawialiśmy się, skąd wziąć Tadżyka, który by nam to przetłumaczył.

Ale poprzedniego dnia Said rozmawiał po rosyjsku. Z jakimś Arnoldem. Treść rozmowy skłoniła Madame do dzwonięcia do mnie w środku nocy.

— Ale skąd wiesz, że chcą porwać akurat teścia?
— spytałam, przytomniejąc w jednej chwili.

— Mówili o osobie płci męskiej. — Madame szepotała, żeby nikt w domu jej nie usłyszał. — A Roma wyjechał w delegację.

Całe szczęście, że Artiomowi nic nie grozi.

— Niech pani weźmie sobie ochronę.

— Zapisałyście numer, z którego dzwonił ten Arnold?

— Tak. Tylko nie wiadomo, na kogo jest zarejestrowany. Dlatego na razie mamy związane ręce. Możemy tylko czekać. I śledzić Saida.

— Dobrze. To jakiś koszmar.

— Koszmar by był, gdyby go pani nie rozpoznała. A tak — mamy wszystko pod kontrolą.

Szczerze mówiąc, nie byłam tego taka pewna. Wychwalałam przed klientami zawodowe umiejętności moich dziewczyn, ale sama w to nie wierzyłam. Myślałam, że tylko się bawią, jak ja.

Może zadzwonić do Romy? Niech się tym zajmą jego spece od ochrony. To właśnie powinnam zrobić.

Wyobraziłam sobie, jak rozpracowuję przestępczą szajkę Tadżyków i może nawet kogoś uwalniam. Gazety są pełne moich zdjęć, Roma nabiera dla mnie szacunku, teściowa rozplęwa się w podziękowaniach, teść czuje przede mną respekt, po dziewczyny z agencji „Nikita” ustawia się kolejka, życie jest piękne.

Nie mogę stracić takiej okazji. Chyba dziewczyny to i owo potrafią? Moje pieniądze nie poszły na marne?

Usnęłam prawie zadowolona z tego, że w domu teścia zalegli się przestępcy.

Przyjechała Weronika. Uciekła od Igora. Zabrał jej samochód i zablokował karty. Oni wszyscy mają jednakowe metody. Naprawdę chcą, żeby żony wracały do nich tylko dlatego, że nie mają pieniędzy? Przecież to upokarzające!

— Powiedział, że żona dla męża jest jak prezerwatywa dla seksu — zabija wszystkie doznania — powiedziała Weronika obojętnie. Wyglądała przez okno zza zasłony. Za cieką śnieżnobiałą brzošką chował się Igor na swoim ogromnym motocyklu.

— A to kretyn — skomentowałam.

— Do kwadratu — zgodziła się Weronika.

Zadzwoniła moja komórka.

— Nie ma mnie! — błagalnym tonem wyszeptała moja przyjaciółka.

— Wiem.

Byli małżeństwem od piętnastu lat i przewidzenie dalszych wydarzeń nie stanowiło dla mnie szczególnego wyzwania.

— Nie, Igor, tu jej nie ma. Nie ma sensu o tym rozmawiać. Jak będziesz krzyczeć, to się rozłączę. — Zasłoniłam ręką słuchawkę i prawie bezgłośnie powiedziałam: — Chce się ze mną spotkać...

Weronika kiwnęła głową.

— Dobrze. Gdzie jesteś? No coś takiego! Że też cię nie zauważyłam. Zaraz zejde.

Przypadła mi rola państwa buforowego. Chociaż nie, raczej parlamentariusza. Najgorsze było to, że żadna ze stron nie miała zamiaru wywiesić białej flagi. Ani przystać na warunki przeciwnika. Po prostu chcieli pograć sobie na nerwach.

I mieli w głębokim poważaniu, że ktoś ma być porwany.

Poczułam strach. O czym ja myślę?

A jeśli to spotka również mnie? Albo Romę?

Porwanym rzadko udaje się przeżyć. I ciągle ich biją, żeby zmiękli.

Wróciłam do pokoju.

— Weronika, nie mogę wyjść z domu. Potrzebna mi ochrona.

Weronika się obraziła. Zacisnęła usta i bez pożegnania zatrzasnęła za sobą drzwi. Igor nie czekałby długo. Ani na mnie, ani na nią. Odjechałby. A to nie leżało w jej planach.

Miałam ochotę podejść do okna i zobaczyć scenę pogodzenia się małżonków. Ale mi się nie chciało.

Muszę sprowadzić ochronę. I to szybko. Moje dzielne dziewczęta.

Myszka i Waligóra przyjechały w mgnieniu oka. Miały pistolety gazowe i na kule gumowe oraz pałki elektryczne. Od całego tego arsenału wolałabym jeden zwykły automat. Kałasznikowa. Zateśniłam za mamą.

Mama całe życie lubiła się zajmować dziwnymi rzeczami. Nigdy niczego nie kochała, ale zawsze się czymś interesowała. Dość powierzchownie i tylko przelotnie. Gotowaniem, podróżami, ludźmi, medycyną tybetańską. Bez żalu porzucała jedno hobby dla innego i nic nie pozostawiało śladu w jej sercu. Być może celowo wybierała tylko to, co nie zostawia śladu. Jej życie przypominało patchwork. Po prostu zszywała, co wpadło jej w ręce, nie dbając o kształt ani o kolory. O nic.

Ku mojemu zaskoczeniu wyszło z tego coś miłego i praktycznego. Założyła na nos okulary i poprosiła, żeby mówić do niej „babciu”.

Artiom ją uwielbiał. Doceniałam zmiany, które w niej zaszły, i nie myślałam o tym, że patchwork ma też lewą stronę.

Czy mama by mi uwierzyła?

Zdarzenia ostatniego czasu przypominały film. Trudno mi było uświadomić sobie, że to się dzieje naprawdę. Pewnie dlatego, że w moim życiu nic się nie działo naprawdę.

Kiedy urodziłam Artioma i pierwszy raz mi go pokazali, zaczęłam krzyczeć. „Czego wrzeszczysz, już po wszystkim!” — powiedziała serdecznie angielska akuszerka. A ja krzyczałam, bo dopiero wtedy do mnie dotarło, że to nie jest tylko kolejny zastrzyk. Lecz

całkiem realna rzecz. Urodziłam dziecko. To było coś.

Zanim się urodził, chciałam, żeby miał na imię Bencjon. Zdrobniale — Benia. Jak u Babla.

Został Artiomem. Teściowa powiedziała, że jeśli będzie miał na imię Bencjon, to nie będzie miał babci.

Zawsze byłam zależna od rodziny Romy. Pod każdym względem. Musiałam się liczyć z ich opinią, ich pieniędzmi, ich planami. Pełniłam rolę rodzinnego kopciuszka. Wpis do dowodu, że jestem zamężna, zwalniał mnie od pracy. Ale nie od pogardy.

Czułabym się spokojniejsza, gdybym zatrudniła dla siebie chociaż jednego porządnego ochroniarza. Z porządnym pistoletem. Ale nie mogłam tego zrobić. Dlatego że potem, kiedy cała sprawa się zakończy, wyszłoby na jaw, że w „niespodziewanej sytuacji” nie potrafię zaufać swoim ochroniarkom.

Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. A może mi się uda?

Trochę wypiję i zaryzykuję. Albo raczej...

Zadzwoiłam do Rambo. Miał wyłączony telefon. To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Wystukałam numer Andżeli. Byli z Denisem w Zawidowie. Anton też nie odpowiadał. Wszyscy mnie porzucili. Skoro tak, to muszę się napić. Pino grigio.

Zadzwoił Roma. Nie odebrałam. Nie miałam ochoty słuchać jego drwin. Zobaczmy, jak potem będzie śpiewał. Jak będzie się chwalić przed przyjaciółmi swoją żoną. I budzić zazdrość. Po raz pierwszy w ciągu całego naszego wspólnego życia. Będzie

wpatrywał się we mnie zachwyconym wzrokiem. I pewnie zwiększy mi limit na karcie. Chociaż już sama będę zarabiać.

Było mi przyjemnie wyobrażać sobie, jak kupuję Romie coś drogiego. W prezencie. Może samochód? Ale najpierw sobie. Tym volkswagenem nie da się jeździć. Kiedy się jedzie mercedesem, człowieka podrywają co najmniej mercedesy. A teraz nawet ople do mnie trąbią i wywracają oczami. Koszmar.

Roma już dawno mógł zmienić mi samochód. Po co odszedł z firmy ojca? Wstrętny egoista.

Nie dam mu samochodu. Co najwyżej telefon. I to jak się dobrze postara, żeby do niego wrócił.

Roma jeszcze raz zadzwonił. Znowu nie odebrałam. Nawet nie spojrzałam na telefon. Leżał na kanapie i natrętnie jazgotał. Zupełnie jakby istniał sam dla siebie, a nie tylko jako część mojego życia. Choćby i jedna z najważniejszych. I najbardziej praktycznych.

Bezludne wyspy mają między innymi tę wadę, że nie ma na nich zasięgu.

Tym razem to nie Roma dzwonił.

Więc kto? Nie znałam tego numeru.

Po chwili telefon znowu się poruszył i zaczął wibrować.

Stas. W słuchawce odezwał się jego chłopięcy, czysty głos. Jakbym cofnęła się do szkolnych czasów: siedzę na lekcji, a przez otwarte okno do klasy wdziera się życie. Wraz z pierwszymi promieniami mojej piętnastej wiosny i obrzydłym terkoczącym dzwonkiem.

Jestem starsza od niego o dziesięć lat. A może o piętnaście?

Starsza o całe życie.

Oglądaliśmy gotowy materiał w zadymionym pokoju montażowym, a potem jedliśmy kanapki z jajkiem w telewizyjnej restauracji.

Miałam ochotę karmić go z ręki.

Uważał na każde swoje słowo. Bał się, że mu się wyrwie coś głupiego.

Śmiałam się z niego.

On się rumienił.

Kazałam mu pić wino.

Chciał kręcić filmy z prawdziwego zdarzenia.

Kadziłam mu. Zapewniałam, że czeka go wielka przyszłość. I że ma talent.

Poczuł się pewniej.

Wziął mnie za rękę. Jego dłoń była zimna i lekka. O takich dłoniach pisze się wiersze. Chciałam dotknąć jej ustami.

Pierwszy dotyk jest jak pierwsze spojrzenie: może być przypadkowy, nieufny, wyniosły albo ciekawy. Może być nawet obojętny. Ale o takich nie warto mówić.

Czułam błogi spokój.

Byłam reżyserem wielokrotnie odegranej sztuki. A aktor debiutant postępował zgodnie z moimi wskazówkami.

Przestałam wydzwaniać do Rambo.

Nie przejmowałam się już jego wyłączonym telefonem.

Moim samochodem pojechaliśmy do klubu nocnego. Za kierownicą siedziała Waligóra. Nasze oczy błyszczały w ciemności jak gwiazdy, tworząc nową, jeszcze nienazwaną konstelację.

Tańczyliśmy. Martwiłam się o swoje pantofle Jimmy'ego Choo. Czy ich nie podepcze? Uniesienia przeminą, a jimmy choo zostaną.

Mój chłopczyk przyciskał mnie do siebie silnymi męskimi rękami. Za dużo wypił. Za dużo, żeby zrozumieć, że ta noc jest tylko snem.

Dziwne, ale i ja nie chciałam się obudzić. Czy to mogłoby być prawdą? Czy miłość musi być okupiona krwią? Wino też jest czerwone. Może ono wystarczy, żeby zespolić dwoje ludzi?

Czy dziecko płaczące nad zepsutą zabawką jest mniej nieszczęśliwe niż jego mama opłakująca swoje dorosłe troski?

Czy nie jest nam dobrze w tym dusznym, hałaśliwym, ciasnym świątku nocnego klubu? Czy nie jesteśmy w nim tylko dla siebie?

O szóstej rano jedliśmy śniadanie w „Beczce”. Stas zamówił sobie krwisty stek. Całowaliśmy się.

Pierwszy pocałunek przypomina toast za nową znajomość. Wiele zapowiada, ale w istocie nic nie znaczy.

Nie chcieliśmy się rozstawać.

Staliśmy przy samochodzie i z bólem próbowaliśmy się od siebie oderwać.

Do samego domu na moich ustach pozostawał smak jego ust: papierosów, alkoholu i krwistego mięsa.

Powoli rozpakowałam gumę do żucia. Chciało mi się spać.

Ciekawe, czy nikt mnie nie widział ze Stasem? Tańczyliśmy, nie zwracając na nikogo uwagi.

Roma nie powinien o tym wiedzieć.

Antonowi i Katii przydarzył się romans.

— Bardzo praktyczne — mówił Anton — i można mieć pewność, że się czegoś nie złapie. Wszyscy o sobie wszystko wiemy.

— Skończyły mu się pieniądze — informowała nas Katia poufnie — i teraz ja na nas zarabiam.

— Za to jak mi się zachce grupowego seksu — ciągnął Anton — Katia wszystko profesjonalnie zorganizuje.

— Na Nowy Rok pojedziemy do Courchevel — Katia zerkała na Antona szczęśliwym wzrokiem prawowitego właściciela. — Zapoznam go z odpowiednimi ludźmi i będzie pracować.

Dla nas zmieniło się tylko to, że teraz, siedząc w restauracjach, czasem się obejmowali. Chociaż w zasadzie robili to już wcześniej.

Katia marzyła, że urodzi im się chłopiec. Kiedy spotykali jakieś dziecko, znacząco brała Antona za rękę i tkliwie się uśmiechała. Ale nie za każdym razem.

Jej zdaniem dzieci dzieliły się na słodkie i nie bardzo. Nie bardzo słodkie to takie, w towarzystwie których zamiera się w przykrym oczekiwaniu: zaraz zacnie płakać albo wrzeszczeć, będzie głośno biegać albo nagle się zatrzyma. A przy słodkich od razu chce się krzyknąć: „Oj, jakie słodkie!”.

— Nasz chłopiec będzie najśłodszy na świecie — mówiła Katia — bo podobny do Antona. Z wyglądu. A z charakteru — do mnie.

Anton kochał wszystkie dzieci. Ale na razie nie widział się w roli szczęśliwego ojca.

Katia wierzyła, że wszystko będzie dobrze. Myślała, że zaczął się najlepszy okres w jej życiu.

Chciała ze wszystkimi podzielić się swoim szczęściem. Dlatego na prawo i lewo rozdawała dobre rady.

— Andżela, daj sobie spokój z Denisem — mówiła. — To jest poważny człowiek.

Andżela się obraziła i przestała rozmawiać z Katią.

— Ja też jestem niepoważny — bronił Andżeli Anton. — Katia, daj sobie ze mną spokój, proszę cię.

— Nikita, jak chcesz, to poznam cię z ludźmi z FSB i wreszcie zajmiesz się ze swoją agencją czymś poważnym. Na przykład pozwoleniami na przewóz broni w samolotach. Na razie jeszcze nikt nie ma na to licencji. Chcesz?

Miałam nadzieję, że niedługo nikt nie będzie mi mógł powiedzieć, że zajmuję się czymś niepoważnym. Wszystko się zmieni.

Telefon Rambo nie odpowiadał.

Wszyscy byliśmy oszołomieni i bez koko-dżambo.

20

Erudytką obudziła mnie w środku nocy.

— Gdzie pani jest? — krzyknęła do słuchawki.

— W domu — odpowiedziałam na wpół przytomna, myśląc gorączkowo, gdzie właściwie powinnam być.

— W domu? — Erudytką nie dawała za wygraną.

— O co chodzi? — Chciało mi się spać, a nie odpowiadać na głupie pytania.

Tym bardziej że rzadko się wysypiam. Tego dnia położyłam się jak przeciętny obywatel — o dwunastej w nocy. I, o dziwo, od razu zasnęłam.

Co zawdzięczałam wyłączonemu telefonowi Rambo.

— Porwali! — wydyszała Erudytką.

W mojej sypialni było bardzo ciemno.

- Kogo?
- Nie wiemy.
- Czy wyście tam powariowały?
- Najpierw się przestraszyłyśmy, że panią.
- Może iść do pokoju Waligóry, poszturchać ją?
- Niech ochrania, a nie śpi.
- Teściowa jest w domu? — zaniepokoiłam się.
- Jest.
- A teść?
- Też. Dzięki Bogu.
- To kogo porwali? — krzyknęłam, podejrzewając, że i tak już nie usnę.
- Nie wiemy. — Erudytką najwyraźniej miała poczucie winy.
- Mam nadzieję, że to tylko sen.
- Niech się pani nie martwi. Pilnujemy domu, a rano zadzwonimy się i postanowimy, co robić.
- Odłożyłam słuchawkę.
- Przeszła mi ochota na spanie. Dobrze, że Artiom jest w Anglii.
- Zadzwoniłam do Stasa. Odebrał tak szybko, jakby dyżurował przy telefonie.
- Cześć — zamruczałam.
- Cześć. Czekałem na twój telefon.
- No i zadzwoniłam. Zawsze czekaj, dobrze?
- Dobrze. A ty zawsze dzwoń.
- Co byś zrobił, jakby mnie porwali?
- Odbiłbym cię. Uwolnił. I odwiózł do domu.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Zrobiło mi się ciepło i powrócił spokój.
- To jeszcze zadzwonię. Czekaj.

— Będę czekać.
— Całuję cię.
— Jak?
Roześmiałam się.
— Na razie, dzieciaku.

Rano znowu przyjechała Weronika.
Że też jej się chce jeździć do mnie taki kawał. Z
Rublowki.

Pokłóciła się z Igorem.
Kiwnęłam głową.
Myślałam, że będzie płakać, ale ona się śmiała.
Historia, którą opowiedziała, wcale nie była
smutna.

Weronika, wiedząc, że Igor ją śledzi, urządziła mu
teatr jednego aktora.

Weszła do „Soho” i wyszła stamtąd cała w nowych
ciuchach. Demonstrując tym samym, jaka to z niej
prawdziwa kobieta. Pieniądze wydaje ze smakiem i
bez żalu.

Potem wsiadła do samochodu i pojechała do parku
Pietrowskiego.

Tam długo zbierała jesienne liście. Następnie
usiadła na pierwszej z brzegu ławce i przesiadła na
niej bite dwie godziny.

— Myślałam, że zwariuję z nudów — śmiała się
Weronika.

Nagle teatralnie zapłakała i równie teatralnie wy-
rzuciła suche liście. Demonstrując tym samym, jaka to
z niej romantyczna istota. A przy tym zdolna do
czynu.

Po kilku godzinach pogodzili się.

Po kilku kolejnych znowu się pokłócili.
— Odejdę od ciebie! — krzyknęła Weronika.
— A odejdz — uśmiechnął się jej mąż — i tak
wiem, gdzie cię szukać.
— Gdzie? — zdziwiła się szczerze.
— Na twojej ulubionej ławce. W parku — odparł
Igor, spuściwszy wzrok.
Weronika rechotała.
— Widzisz, jaki idiota?
Przytaknęłam i nalałam nam kawy. Davidoff. Maja
stylowe puszki.

Zadzwoniła do mnie teściowa. Szlochala.
Dojechałam do niej w ciągu półgodziny. Na
Alejach Kutuzowskich podczepiłam się pod czarne
bmw, które gnało na sygnale środkiem jezdni.
Drogówka ze zdziwieniem patrzyła za moim
volkswagenem, a ja udawałam, że jestem z obstawy:
jechałam nie z tyłu, ale lekko z boku, jakbym osłaniała
bmw.

Teściowa siedziała w kotłowni. Dosyć długo jej
szukałam. Pasowała jak ulał do lśniących czerwonych
kotłów Buderus i czerwonych ścian. Miała na sobie
złocisty jedwabny szlafrok. Byłam pewna, że kiedy go
wkładała, dobrze wiedziała, gdzie rozegra się ta scena.

— Depilacja, powiadasz? Przyjaciółka? — zanosiła
się płaczem.

Po jakimś czasie zrozumiałam, że teść ma ko-
chanka.

Nie Mruczka, nie Burka i nie jeża — tylko
kochanka.

— Wyobrażasz sobie? — oburzała się teściowa przez łyzy.

Jakby to była jakaś rewelacja. Jakby jej mąż polecał w kosmos. Albo naprawił żelazko.

Pochlebiało mi, że na widza tego przedstawienia wybrała właśnie mnie. Choć i trochę przerażało.

— Ja z nim o kosmetykach, o strojach, i niby wszystko w porządku! Myślę sobie: zuch dziewczyna z tej Nikity. Już byliśmy jak te papużki nierozłączki — i nagle to!

— Sam mamie powiedział? — spytałam ostrożnie. Nie byłam pewna, gdzie są granice jej szczerości i jak bardzo mogą się do nich zbliżyć.

— Wpadł do mojej sypialni jak wariat! Nie uwierzyłaś, jak się wydzierał!

— A co się stało?

Kotły od czasu do czasu uruchamiały się i bulgotały.

— Ktoś mu tego kochasia porwał, cholera wie po co, a ten się drze, że to ja zorganizowałam! Rozumiesz?

Rozumiałam. Że jestem bezsilna, głupia i woda sodowa uderzyła mi do głowy. Że myliłam się co do swoich możliwości. Że być może przeze mnie ucierpiał człowiek. I że tym człowiekiem mogłam być ja. Albo moje dziecko. Przeraziłam się. Chciałam zostać w tej kotłowni na zawsze. Błagać o wybaczenie. Teściową i wszystkich innych.

Żeby tak umrzeć. I niech nikt nigdy nie wymawia mojego imienia, niech oszczędzi mi wstydu. Rozpłynąć się w przestrzeni. Stać się niewidzialną.

Teściowa coś mówiła. Jej wargi poruszały się jak na zwolnionym filmie. Potem odpłynęły gdzieś w bok, niczym zdjęta z twarzy maska na Halloween.

Straciłam przytomność.

Kiedy otworzyłam oczy, czułam się jak marchewka gotowana w czerwonym emaliowanym garnku. Kręciło mi się w głowie.

Napiłam się wody. Ciekawe, czy omdlenia są oznaką starzenia się? A może po prostu jestem osłabiona?

— Wszystko już wiemy — oznajmiła Madame. — Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. Pilnowaliśmy domowników, ale porwano kogoś innego.

Nagle zrozumiałam, że gdyby to mnie chcieli porwać, zrobiliby to bez trudu. Żarty się skończyły.

Kochanek zadzwonił na komórkę teścia dwie godziny wcześniej.

— Musisz im zapłacić milion — powiedział zachrypniętym przerażonym głosem. I dodał: — Inaczej mnie zabiją.

— Gdzie jesteś? — wykrzyknął teść. — Co się stało?

— Cały czas mnie biją i... — połączenie zostało przerwane, w słuchawce rozległ się sygnał.

Zadzwonili po dwudziestu minutach.

— Szykuj pieniądze. Później powiemy, kiedy będzie wymiana — porywacz mówił szybko i natarczywie.

— Chcę z nim porozmawiać! Dajcie mu słuchawkę! — domagał się teść.

— Nie.

Znowu sygnał.

— Mój mały! Kochany, jedyny! Gdzie jesteś? —
szeptał teść, nie zwracając uwagi na żonę.
Stała w drzwiach, miotana litością i nienawiścią.
Po równo.

— Wiedziałaś! — krzyknął teść. — Wiedziałaś!
I nic nie zrobiłaś! Nikita, przecież jej powiedziałaś?

Przytaknęłam. Oboje patrzyli na mnie. Przez chwilę
poczułam się VIP-em w tym domu.

Telefon zadzwonił w rękę teścia, a on z nerwów o
mało go nie wypuścił.

— Halo — wyszeptał do słuchawki — powiedz mi,
oni są w maskach? W maskach? Chłopczyku mój...

Po jego twarzy było widać, że rozmowa została
przerwana.

— Ma przepaskę na oczach — oznajmił żonie — to
dobry znak.

— Nie planują go zabić — potwierdziła teściowa.

— Cicho bądź! — zerwał się z fotela i zaczął
biegać po salonie. — Za to ja cię zabiję! Jeśli ty to
zrobiłaś! Zabiję! Rozumiesz, stara kurwo?!

Stali naprzeciw siebie. Teść przypominał roz-
wścieczonego chłopca, który dopiero co brał udział w
ulicznej bójce, a ona... Ona ledwie zauważalnie
uśmiechnęła się kącikiem ust, zamachnęła się z
wdziękiem i uderzyła męża w twarz. Wyglądała jak
wielka dama, która spoliczkowała wachlarzem nazbyt
rozzuchwalonego kawalera.

Siedzieliśmy razem w salonie i każde z nas myślało
o swoich sprawach.

Ja — że jestem wszystkiemu winna.

Teść — jak źle jest teraz jego „chłopczykowi”.

Teściowa — o czym myślała teściowa? Ciekawe, czy zdobyła się na wielkoduszność, żeby w takiej sytuacji nie życzyć źle kochankowi męża?

— Nie możemy tego zgłosić na milicję — odezwała się teściowa.

— Zapłacimy im — zgodził się teść. — Byle tylko nic mu nie zrobili...

Wyglądał jak kupka nieszczęścia. Nie zdziwiło mnie, że żona podeszła do niego, przycisnęła do siebie jego głowę i pogładziła po włosach. Szczerze.

Ruskie baby są niezniszczalne.

Wysłałam na dwór.

Zaczęło się prawdziwe babie lato. Słońce prażyło jak w lipcu na Monaco Beach. Zdjęłam sweter i zostałam w letniej bluzce. Miałam ochotę zrzucić adidas i włożyć ulubione frotowe jimmy choo na wysokim koturnie. Różowe. Za trzysta dolarów. Niedrogo. I pojechać do SPA. I żeby cała ta historia mnie nie dotyczyła.

Moje dziewczęta, świetnie wyszkolone ochroniarki z modnej agencji „Nikita”, zdradzały oznaki zagubienia.

— Za późno przetłumaczyłyśmy ich rozmowę — usprawiedliwiała się Madame. — Spóźniłyśmy się tylko godzinę. Złapali go, jak wychodził z domu.

— Na początku nawet nie wiedziałyśmy, o kogo chodzi — przyznała Erudytką, patrząc na czubki swoich pantofli.

— Wiecie, gdzie go trzymają? — spytałam. — To teraz najważniejsze. Trzeba go ratować.

— Może wezwać milicję? — zaproponowała Madame. — Przecież niczego nie mamy.

— Mamy Saida, a teść nie chce milicji. Nie spuszczaćcie Saida z oczu. Jeśli go zgubimy, to koniec — powiedziałam. — Dopóki nie dostali pieniędzy, chłopakowi nic nie grozi. Mam nadzieję.

Roma wyjechał na delegację. Pewnie dzwonił do mnie, żeby mi o tym powiedzieć. Kiedy nie odebrałam.

Objęłam i pocałowałam oboje. Stali razem w ganku, ale chyba nigdy dotąd nie byli sobie tak dalecy. „W końcu jesteśmy rodziną”, pomyślałam. Dziwną rodziną, w której każdy żyje sam dla siebie. Jednak tego dnia zrozumiałam, że są mi potrzebni tak samo jak ja im. Pierwszy raz opuszczałam ten dom bez uczucia ulgi.

Zadzwoniła Andżela. Jakby z innego świata.

Brałam kąpiel z aromatycznymi solami i paliłam fajkę wodną. Zapach tytoniu wiśniowego łączył się z wonią moich ulubionych indyjskich kadzidełek, a dym z płuc miękko osiadał na mydlanej pianie.

Nie zapaliłam świec, bo nie mogłam znaleźć zapalek. Ale poza tym zrobiłam wszystko, żeby stworzyć sobie odpowiednie warunki do relaksu.

— Znalazłaś szmaragdy? — spytała Andżela z niepokojem.

— Jakie szmaragdy? — w pierwszej chwili nie skojarzyłam, o co chodzi.

Szmaragdy były potrzebne na „Szmaragdowy wieczór” naszej znajomej Śnieżanny. Obchodziła trzydzieste drugie urodziny.

Śnieżanna postanowiła wysilić się na oryginalność. Kilka miesięcy wcześniej jedna panna świętowała swoje urodziny imprezą pod nazwą „Różowa pantera”. Goście mieli przyjść ubrani na różowo. Mężczyźni mogli poprzestać na różowych skarpetkach, a i tak prawie wszyscy założyli różowe koszule. Od tego czasu obchodzenie urodzin w określonych kolorach weszło w modę. A potem z niej wyszło. Niektóre jubilatki zdobywały się na więcej fantazji i nazywały swoje imprezy „Wieczorem w krótkich spódniczkach” albo „Wieczorem w stylu Chicago lat trzydziestych”, ale Śnieżanna pobiła wszystkich na głowę. Na jej urodziny należało przyjść w szmaragdach.

— Po pierwsze wiadomo, że nie pojawią się nieodpowiednie osoby — tłumaczyła nam Śnieżanna swoją decyzję — a po drugie mój Brzuszek nie będzie się musiał zastanawiać, co mi kupić. Widziałam wspaniałe szmaragdy w Bvlgari. I miesiąc temu zamówiłam do nich sukienkę. W „Soho”. Fenomenalną. Za cztery tysiące dolarów. Beżową, z odsłoniętymi ramionami! Cała się mieni, Marc Jacobs!

— To przypadkiem nie ta, którą miała Jennifer Lopez na Oscarach? — spytała Andżela podejrzliwie.

— Ta — dumnie potwierdziła Śnieżanna. — Jak myślicie, będzie pasować do szmaragdów? Przy szyi ma czarne koraliki. — Śnieżannie nie chodziło o naszą opinię. Raczej o zrobienie wrażenia. — Obiecali zdążyć na urodziny. Niech spróbują nie zdążyć! Nawiasem mówiąc — spojrzała na nas z wyżyn swojego majestatu — powiedziałam o tym tylko dlatego, żeby

żadnej z was nie strzeliło do głowy włożyć beżową sukienkę. Bardzo was proszę!

Obojętnie wzruszyłyśmy ramionami.

Andżela zmrużyła oczy. Zły znak.

Miałam starą szmaragdową bransoletę, którą niedawno dostałam od teściowej. Od pewnego czasu przestały jej się podobać kolorowe kamienie. Woląla brylanty. Innych się pozbywała, dając mi po jednej sztuce biżuterii przy każdej okazji. Nie miałam nic przeciwko temu.

— Będę musiała jechać do matki — oświadczyła Andżela przez telefon. — Mam szmaragdowe kolczyki, ale u Śnieżanny tylko bym się ośmieszyła.

— A Katka ma szmaragdy? — zainteresowałam się.

— Sztuczne, chyba naszyjnik. Mówi, że żaden jubiler by się nie poznał. Kupiła je w Szwajcarii: jakaś babcia zamówiła kopię swojego naszyjnika, a Katka kupiła drugą. Nie wiem dokładnie, jak to było.

W moje fajce wodnej wypalił się węgiel. Dolałam ciepłej wody do wanny. Powiedzieć Andżeli o porwaniu? Maszce bym powiedziała.

— Pojedziesz samochodem? — spytała Andżela.

— Nie, wezmę taksówkę. Przecież będziemy pić.

— To świetnie. Denis przyniesie koks.

— A co jej damy?

— Ona wszystko ma! — oburzyła się Andżela.

— A czego nie ma, to Brzuszek jej kupi.

— Jedźmy do „Galerii” — zaproponowałam.

— Kiedy, Nikita? Przecież idziemy na urodziny!

— zdziwiła się Andżela.

— Ale do „Galerii” Danilinej! Na Kutuzowskie!
— Chcesz jej kupić kołdrę?
— A co? Każdy człowiek spędza w łóżku jedną trzecią życia...

— Już to gdzieś słyszałam.

Katia też przyjechała do „Galerii”.

Byłam pod wrażeniem opowieści sprzedawczyni o tym, jak to trzeba zebrać puch z sześćdziesięciu ptasich gniazd, żeby zrobić jedną kołdrę Dream of Switzerland. Dokładnie to sobie wyobraziłam.

W związku z ograniczoną ilością gniazd, robili tylko pięćset sztuk. Rocznie.

Śnieżanna miała szansę stać się szczęśliwą właścicielką dwóch z nich. I poduszek.

Prezent za dwa i pół tysiąca dolarów.

Kiedy rozmawiałam przez telefon z Daniliną, ustalając kwestię rabatu, Andżela zaproponowała co innego. Kołdrę ze srebrnymi nitkami. Nitki chronią przed szkodliwym wpływem fal radiowych.

— Uważasz, że Śnieżannę trzeba chronić przed falami radiowymi? — Katia była zaintrygowana.

— Nie wiem. — Andżela uśmiechnęła się niefrasobliwie. — Ale mnie byłoby przyjemnie spać ze świadomością, że jestem chroniona. Choćby i przed falami radiowymi.

— A to nie wpływa na potencję? — zaniepokoiła się Katia.

— Antona? Może i wpływa — powiedziała Andżela. — Bo tak to nie.

Uśmiechnięta sprzedawczyni zapewniła nas, że nawet jeśli wpływa, to pozytywnie.

Jednogłośnie wybrałyśmy ten wariant.

— Pierwszorzędny prezent na urodziny. — Andżela zachwycała się ozdobnie zapakowanym pudełkiem. — Sama bym taki chciała.

— Będziemy pamiętać — obiecałam.

— A do siebie w czym każesz przyjść? — spytała Katia. — W rubinach? Czy w szafirach?

— Do mnie każdy ma przylecieć swoim samolotem — oświadczyła Andżela. Własny pomysł bardzo się jej spodobał. — Super, nie?

— Tak, tylko że skład gości będzie superograniczony — westchnęłam.

— Bo ja będę superjubilatką — odparła niezrażona Andżela.

Sprzedawczyni odprowadziła nas spojrzeniem.

Andżela poprosiła, żeby wysadzić ją przy „Soho”.

— Tylko coś odbiorę. Za sekundkę wracam — wyjaśniła.

— Będziemy w „Słowiańskim”. — Pocałowałam ją w policzek.

Otworzyła na oścież szklane drzwi.

— Gdzie jest menedżer? — rzuciła od progu, jak tylko ona potrafiła.

Młodziutki chłopak zastygł, uśmiechając się serdecznie. Z takim uśmiechem patrzy się na lecący samolot i przyjmuje nieudane prezenty. Sprzedawca. Zawodowa intuicja podpowiadała mu, że szykuje się awantura. Stał w milczeniu, dopóki z głębi sali nie nadszedł dyrektor. Znany w całej Moskwie Sasza Byczyn. Sasza dobrał garderobę niejednej modnisi. I rozwiązał niejeden konflikt.

— Moja przyjaciółka zamówiła u was sukienkę. — Andżela z gracją przysiadła na skraju fotela. — Marc Jacobs.

— Tak — uśmiech Saszy skłaniał do przyjacielskiej rozmowy.

— Ale już jej nie potrzebuje! — Andżela zdmuchnęła niewidoczny pyłek z polakierowanego paznokcia.

— Jak to? — dyrektor nie był w stanie uwierzyć w taką możliwość.

— Tak to. Kupiła sobie inną. — Andżela posłała mu promienny uśmiech: — Przyjechałam, żeby odebrać zaliczkę.

— Obawiam się, że to niemożliwe... — oznajmił Sasza w zadumie.

Andżela nie zwróciła na jego słowa najmniejszej uwagi.

— Ale po drodze pomyślałam: może sama kupię tę sukienkę? — Zerknęła na sprzedawcę. Znowu wyobrażał sobie samolot. — Oczywiście jeśli dostanę dużą zniżkę!

— Oczywiście — posłusznie powiedział Sasza.

— Ile? — Andżela podejrzliwie zmrużyła oczy.

Dyrektor odwrócił wzrok:

— Dziesięć procent.

— To śmieszne. — Andżela wstała. — Sami szukajcie chętnego.

— Przepadnie zaliczka pani przyjaciółki. A sukienkę i tak sprzedamy.

— Ona ma w nosie zaliczkę.

— Bardzo mi przykro. Nic więcej nie możemy zaproponować.

— Czterdzieści procent i biorę bez gadania.

Dziesięć minut później Andżela kupiła sukienkę z dziesięcioprocentową zniżką.

— Przecież jestem waszą stałą klientką! — powiedziała urażona.

— Za to właśnie panią kochamy.

Wyszła z „Soho” na minutę przed przyjazdem Śnieżanny.

Kiedy Andżela dotarła do Hotelu Słowiańskiego, byliśmy już po wizycie w „Aldo Coppola” i zamawialiśmy sushi w japońskiej restauracji.

Zadzwoiła do mnie Śnieżanna.

Kłęta jak pijany kierownik budowy.

W „Soho” dowiedziała się, kto sprzątnął jej sprzed nosa sukienkę.

Andżela siedziała naprzeciwko mnie i uśmiechała się, zadowolona z siebie.

— Dlaczego? — spytałam przyjaciółkę ruchem warg.

— A pamiętasz, jak się we „Fresco” wieszala na Denisie? Niech następnym razem myśli, co robi! — oburzyła się Andżela głośno. Na tyle głośno, żeby Śnieżanna mogła ją usłyszeć.

— Coś ci powiem na pociechę — powiedziałam Śnieżannie. Ta chlipnęła żałośnie. — Jedź na Stoleszników. Widziałam tam sukienkę Jimmy'ego Choo z nefrytami. Zielonkawoblękitną. W sam raz do szmaragdów. Za dwa tysiące. Masz u nich rabat?

Spóźniłyśmy się półtorej godziny. Denis i Anton już byli. Podobnie jak reszta zaproszonych mężczyzn. A dziewczyny zjeżdżały się przez całą wieczór.

Wszyscy w komplecie zebrali się dopiero o jedenastej.

Występował znany piosenkarz. Supergwiazda. Czterdzieści minut — osiem tysięcy dolarów. Po upływie tego czasu jubilatka poprosiła, żeby śpiewał dalej. Za dodatkową opłatą. Piosenkarz odmówił. Powiedział coś w rodzaju: „Nie będę taki łatwy. Niech mnie pragną”. Bardzo pragnęli. Prawie dwukrotnie podbili stawkę. Tym razem odmówił na złość.

Potem śpiewało jeszcze kilka zespołów, których nazw nie znałam, ale ich piosenki były hitami.

Tańczyliśmy. I piliśmy whisky.

Dziewczyny zazdrośnie oglądały nawzajem swoje szmaragdy. Kiedy któraś zauważyła na innej coś wyjątkowo sztywnego, od razu padał komentarz: „E, podróba”.

Rozmawiano o tych, którzy nie przyszli:

— Katrin oczywiście nie ma. Skąd by wzięła szmaragdy?

— Wcale nie, po prostu wyjechała z Moskwy.

— Jasne, wyjechała, żeby się nie ośmieszyć.

Jadłam foie gras i popijałam szampanem Crystal Rose — sześćset dolarów butelka. Dwieście trzydzieści w hurcie. Ale raczej nie kupiono go w hurtowych ilościach.

Mężczyźni siedzieli w czarnych i granatowych garniturach, rozmawiali o interesach i byli coraz bardziej pijani.

— Muszę iść do gości — powiedziała Śnieżanna po drugiej butelce kryształu.

— Chyba już za późno.

Popatrzyłam na nią krytycznie. Skinęłam Danilonej. Akurat cmokała się z Julią Bordowskich.

Gości było dwustu. Śnieżanna nie miała już szans obejść wszystkich. A gdyby okazała uwagę połowie, to druga połowa by się obraziła.

Skądinąd wcale nie byłam pewna, czy chociaż połowa obecnych wiedziała, jak się nazywa jubilatka. Dlatego że Brzuszek zmieniał dziewczyny z częstotliwością budzącą nadzieję w niewieścich sercach.

Na całej trasie wiodącej do toalety rozstawili się ochroniarze gości. Kiedy wracałam, na wszelki wypadek wycierając nos, miałam ochotę zakrzyknąć: „Ognia!” — żeby powyciągali pistolety i oddali salwę honorową. Na cześć Śnieżanny. I moją.

Brzuszek tańczył na scenie rock and rolla. Jak mu się udaje zachować tyle radości życia przy tak ogromnym majątku? Który liczy się już chyba nawet nie w milionach.

Pożałowałam, że nie ma Stasa. Ależ się całowaliśmy w tym nocnym klubie!

— Zakochałam się — oznajmiłam Śnieżannie. Znowu przeszłam na whisky.

— Fajnie. A kto to jest? — spytała, nie spuszczać wzroku z Antona.

— Nikt — roześmiałam się. — Ale ma niesamowite usta.

Lubię wkładać lód do szklanki palcami. Tak przyjemnie czuć jego chłód!

— I tyle? — Śnieżanna popatrzyła na mnie ze zrozumieniem.

— Nie, w dodatku taki z niego dzieciak. Gdybyś widziała, jak on na mnie patrzy!

Śnieżanna pokiwała głową. Spoglądali sobie z Antonem prosto w oczy. Anton posyłał jej arogancki uśmiech sytego kota.

— Zakochałam się. — Podeszłam do Andżeli, a kelner dolał mi whisky. W sukience od Marca Jacobsa wyglądała olśniewająco.

— Ja też — odparła moja przyjaciółka.

Denis stał w otoczeniu mężczyzn i leniwie opowiadał o czymś związanym z piłką nożną. Oczy jego słuchaczy błyszczały. Od miłości do piłki czy od alkoholu? Pewnie od jednego i drugiego. Denis przywykł znajdować się w centrum uwagi i nie można powiedzieć, żeby tego nie lubił.

Katia z ożywieniem rozmawiała z Daniliną.

Czułam nieodpartą chęć poinformowania ich, że się zakochałam.

Nie dawały mi dojść do słowa.

— To można zamawiać sny? — zachwyciła się Katia.

— Tak — Danilina bez wahania skinęła głową. — Właśnie tym się zajmujemy.

— Jakie tylko się chce? — nie mogła uwierzyć Katia.

— No, na razie takie, jakie Schlossberg ma w ofercie.

— A co ma w ofercie?

— Powiedźcie, o co chodzi — poprosiłam. Zapomniałam o Stasie. — Też chcę zamawiać sobie sny.

— Irka ma zamiar sprzedawać poszewki z rysunkiem. Będzie ci się śnić to, co na rysunku — wyjaśniła Katia.

— No nie! — zdziwiłam się.

— Mają kolekcję „Sny w Japonii” — opowiadała Ira tak, jakby chodziło o najzwyczajniejsze rzeczy — albo „Negresco”.

— Ten hotel koło Cannes? — chciałam się upewnić.

— O! — ucieszyła się Katia. — To coś dla mnie! Niech mi się śni Lazurowe Wybrzeże! Tam jest zawsze tak wesoło! Ale ja się zatrzymuję w „Du Cap”.

— Idę po szampana — zdecydowałam.

Nie musiałam.

Kelner pojawił się tak nagle, jakby cały czas stał przy nas i tylko ściągnął z głowy czapkę niewypijkę. Czy coś w tym rodzaju..

— Ira, za twój talent! — wzniosła toast Katia. — I za to, żeby twoich poszewek starczyło dla wszystkich!

— Ale my jesteśmy pierwsze w kolejce! — uściśliłam. — W końcu się przyjaźnimy!

— Dziękuję — powiedziała Ira. A ja i Katia równocześnie rzuciłyśmy się, żeby ją ucałować.

Zamówię sobie poszewkę z tortem „Napoleon”. I ze mną — jak go pochłaniam.

W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że siedzę zupełnie sama.

Wszyscy tańczyli, rozmawiali, śmiali się. Myślałam o Stasie.

Myślałam o nim każdą komórką ciała, każdym zwojem mózgowym.

Od razu odebrał telefon.

Powiedział, że nie może pracować, stale o mnie myśli.

Śmiałam się.

Powiedział, że zdarza mu się to pierwszy raz w życiu.

Dolałam sobie whisky.

Powiedział, że jest wściekle o mnie zazdrosny.

Robiłam słodkie oczy do barczystego ochroniarza.

Powiedział, że tęskni.

Byłam gotowa natychmiast do niego jechać.

Powstrzymał mnie stary nawyk, żeby nie podejmować decyzji po alkoholu. Zwłaszcza związanych z seksem. Trzeba być damą — lepiej dać o jeden raz za mało niż o jeden raz za dużo.

Ustaliliśmy, że zadzwoni następnego dnia.

Urodziny Śnieżanny nabrały dla mnie szczególnego znaczenia.

Poszłam tańczyć. Z Brzuskiem. Zawarliśmy znajomość, kiedy jednocześnie rzuciliśmy się wrywać mikrofon Iwanuszkom International.

Śnieżanna tańczyła z Antonem.

Rano potwornie bolała mnie głowa. A mówią, że szmaragdy mają działanie lecznicze...

Fortral zadziałał — jak zwykle.

Zadzwoniłam do teściowej. Sytuacja bez zmian. Nie dzwonili.

Rozmawiałam z Madame. Said się rozchorował. Wysoka gorączka, kaszel.

- Chyba coś się szykuje — powiedziała Madame.
— Nie rusza się ze swojej klitki.
— Nie spuszczać z niego oka — prosiłam.
— Zaklinam was.

Leżałam przykryta kołdrą po czubek głowy. Zwyczajną kołdrą. Która nie chroniła mnie przed falami radiowymi.

Kołdra wydała mi się bezużyteczna i nie dość miękka.

Stara.

Sama też poczułam się staro.

Rambo nie odbierał.

Nie żyłam. Po prostu przeczekiwałam.

Miał do mnie dzwonić Stas.

Najważniejsze to nie myśleć o Tadżykach. Ani o kochanku teścia. Najważniejsze, żeby w ogóle nie myśleć. Wszystko się samo ułoży.

Jak zawsze.

Jeszcze mi będą zazdrościć.

I będę miała młodego kochanka. Do tego nie trzeba być homoseksualistą.

O, to jest przyjemny temat.

Nie można trwonić energii kosmicznej, jak mawiał narzeczony mojej znajomej Walentyny, kiedy tylko zaczynała snuć wizje ślubu. Trzeba myśleć o pozytywnych rzeczach.

Będę myśleć o Stasie.

Zamknęłam oczy. Ciepłe słońce babiego lata ogrzewało mi powieki.

Postanowiłam sobie powróżyć: jeśli zadzwoni teraz, to wszystko będzie dobrze. A jak ja będę szczęśliwa, to i wszyscy inni. I teść, i jego kochanek. Jeśli

zadzwoń teraz, będzie to znaczyło, że ktoś tam w górze mnie kocha i troszczy się o mnie. Zatem również o tych, których ja kocham. A może w księdze losu zapisane jest, że teść znowu pokocha swoją żonę? I rozczulająco będą przynosić sobie pledy i termofory? A potem umrą tego samego dnia?

Sama bym chciała tak przeżyć starość. Próbowałam wyobrazić sobie starego Stasa. Nic z tego. Widziałam tylko jego uśmiech. I usta.

Myślałam o nim i miałam ochotę śpiewać. Na cały głos. Nie przejmując się, że słoń nadepnął mi na ucho.

Chociaż to nie była miłość.

Pamiętam, jak to było, kiedy się zakochiwałam. Chciałam, żeby obiekt moich uczuć odchodził przede mną od zmysłów. Żeby myślał o mnie w każdej sekundzie i żeby nie istniało dla niego nic ważniejszego od moich kaprysów. Żeby patrząc na mnie, cały zamierał. Żeby wykupione przez niego wszystkie kwiaty z bazaru leżały ściśnięte w moim samochodzie jak prasowana szynka. Żeby budził mnie jego głos w słuchawce, a usypiał jego głos w moim sercu.

Niczego takiego nie oczekiwałam od Stasa. Po prostu chciałam się znaleźć z nim w łóżku. I żebyśmy się nigdzie nie spieszyli. A zasłony były tak grube, żeby noc mogła trwać w nieskończoność. Kiedy o tym myślałam, czułam mrowienie w całym ciele i kręciło mi się w głowie. Już dziesięć, nie, jedenaście lat byłam mężatką i miałam dziecko. Nic podobnego mi się dotąd nie przydarzyło. Jak mogłam tak żyć?

Pragnęłam się z nim kochać. Tak bardzo, że serce w szalonym rytmie rozsadało mi żebra. Chciałam być z nim bez względu na to, co będzie dalej.

Chyba właśnie tak zakochują się mężczyźni. Ciałem. Gdyby ktoś mi powiedział, że to mniej romantyczne niż sentymentalne marzenia o sukni ślubnej, z politowaniem roześmiałabym mu się w twarz.

Pewnie to się nazywa namiętnością.

Myślałam o nim i chciało mi się wyć.

Tak muszą czuć się zwierzęta w okresie godowym.

Przypomniałam sobie, jak miałam psa i jak zawzięcie uganiał się za sukami z cieczką. Zrobiło mi się go żal. Nie zawsze mógł osiągnąć swój cel.

Między ludźmi na pewno istnieje jakaś więź astralna.

Stas zadzwonił, kiedy za ten telefon byłam już gotowa oddać całe życie. Całe — oprócz najbliższej nocy.

— Co robisz? — spytał, jakbyśmy się znali sto lat i był w stanie przewidzieć każdą moją odpowiedź.

Dlatego nie powiedziałam mu prawdy: „Szaleję z tęsknoty za tobą”.

— Nic szczególnego. Oglądam telewizję.

— Jakie masz plany?

„Zwyczajne. Chcę się z tobą przespać. Nawet jeśli potem mnie rzucisz”.

— Nie wiem. W zasadzie coś bym zjadła.

— To może pójdziemy na kolację?

„A co, jeśli okaże się impotentem? Albo egoistą? Albo...”

— Dobrze.

— W „Werandzie”?

„Włożę pończochy. Nie, za ciepło. I za ordynarnie. Nic nie włożę”.

— Dobrze.

— Za godzinę?

Odłożyłam słuchawkę. Zapomniałam się pożegnać. Zrozumiał, że się zgadzam? Może zadzwonić? Zdjęłam z wieszaka ulubioną sukienkę. Liliowe i żółte kwiaty na białym tle. Luca Luca. Zaniemówi, jak mnie zobaczy. Sam zadzwonił.

— To jak, za godzinę?

— Może być.

Z samochodu zadzwoniłam do Rambo. Abonent niedostępny. No i dobrze. Mam teraz inny narkotyk — hormonalny. Miłość.

Weszłam do „Werandy”, uśmiechając się od progu. Stas już czekał.

Kelnerzy przyglądali mu się z zainteresowaniem. Z kim tu siedzę? I kto to jest?

Długo wybieraliśmy wino. Dlatego że co chwila zaczynaliśmy mówić o czymś innym.

W końcu zamówiliśmy pierwsze z brzegu. Chyba Villa Antinori.

Ciekawe, czy starczy mu pieniędzy na zapłacenie rachunku.

Zamówiłam fajkę wodną. I coś do jedzenia.

Z mojej twarzy nie znikał idiotyczny uśmiech, a z jego — dołeczki.

Miałam wrażenie, że wszyscy na nas patrzą i wszyscy rozumieją.

Dotykaliśmy się oczami.
Czułam go niemal fizycznie.
Plótl jakies gupstwa. Opowiadał o cygarach. To
mnie śmieszyło.
Nie tknęliśmy jedzenia.
Wypiliśmy butelkę wina.
Następnego dnia nie mogłam sobie przypomnieć, o
czym rozmawialiśmy.
A przecież usta nam się nie zamykały.
Czasami przestawałam mówić, żeby dopuścić go do
głosu.
Fajka wygasła.
Talerze zabrali.
Nie mogliśmy tak się rozstać.
— Co robimy? — spytał nieśmiało.
Wzruszyłam ramionami. Popatrzyłam na niego
spod rzęs. Odpowiedź na pytanie powinien wyczytać z
moich oczu.
— Może pojedziemy do mnie? — Dołeczki znik-
nęły mu z policzków.
Skinęłam głową. Dobrze, że nie musiałam sama
tego proponować.
Mieszkał w Alejach Kutuzowskich. Niedaleko.
Dawno nie byłam w takiej brudnej kamienicy.
Wziął mnie za rękę. Jak w szkole. Jak małą dziew-
czynkę.
W takiej kamienicy sama kiedyś mieszkałam.

W windzie nie mogliśmy oderwać od siebie wzro-
ku. Moje wargi chciały jego warg i każdy kawałek
mojej skóry chciał jego ciała. Patrzyliśmy na siebie

i tonęliśmy w swoich oczach. Był tak blisko, że kręciło mi się w głowie.

Byliśmy jak nieszczęśliwi, umierający z pragnienia ludzie, którym podano wrzątek. I oni dmuchają na niego. Nie piją, parzą się. Mają przed sobą wrzącą wodę i od tego ich pragnienie narasta do niewyobrażalnych granic. Ale wiedzą już, że zostanie ugaszone, i się tą wiedzą rozkoszują. Jakkolwiek będzie smakowała woda, będzie to smak zaspokożenia.

Winda się otworzyła. Śmiałam się, kiedy Stas otwierał drzwi. Długo nie mógł trafić kluczem w zamek. Położył mi palec na ustach. Weszliśmy do mieszkania. Zapaliliśmy światło czy nie? Nie pamiętam.

Ubranie nie jest potrzebne w taką noc. Chciwe wargi, czułe palce. I z rzadka — słowa. Niezrozumiałe, bo nic nie znaczą. A jednocześnie znaczą tak wiele!

Każda noc ma imię.

Ta nazywała się Pożądanie.

Krople potu na skroniach i toń, w jaką dwoje ludzi razem się zapada. Trzymając się za ręce tak, że paznokcie wpijają się w skórę. I czułość. Wszechogarniająca, bez granic, zagłuszająca nawet doznanie własnego ciała. A co w taką noc może być ważniejsze niż własne ciało? Tylko ciało kochanka.

Leżeliśmy, trzymając się w objęciach. Nie zwyczajnie. Tak leżą bliźnięta syjamskie — nie wyobrażając sobie, że może być inaczej.

Na wargach miałam jego smak.

Moja skóra przesiąkła jego zapachem.

Seks jest jak wyznanie miłości: zawsze przyjemny. I prawie zawsze — inaczej. Zależnie od temperamentu. Można poprzestać na dwóch słowach, a można ułożyć poemat. Przy czym dwa słowa ukochanego mają głębię poematu.

— Wyjdź za mnie — powiedział Stas.

— Oczywiście — kiwnęłam głową.

Jakbyśmy odgrywali scenariusz. Idealny scenariusz idealnej nocy.

— Kocham cię — usłyszałam.

A może tylko mi się śniło? Kiedy to powiedział, już spałam.

Miał wielką brązową lodówkę. Zupełnie pustą. Była tam tylko kiszona kapusta.

Stas spał. Poczulałam głód.

Usiadłam na podłodze, ściskając słoik kolanami. Z przyjemnością wyciągałam palcami kapuściane nitki.

Ile lat minęło od czasu, kiedy urządzaliśmy takie pikniki z Romą?

Kiedyś spędziliśmy razem trzy doby. Nie wychodząc z domu.

Zjedliśmy wszystko, co było w kuchni. Gotowałam makaron i karmiliśmy się nim nawzajem, prosto z garnka, rękami. Jedno drugiemu oblizywaliśmy palce i wargi. Chciwie rozrywaliśmy kluski, trzymając je zębami z obu stron.

Przez trzy doby nie wkładaliśmy ubrania.

Nie było dziesięciu minut, żebyśmy się nie całowali.

Obejmowaliśmy się co chwila.

Śmiałyśmy się z jakichś głupstw, które potem bawiły nas jeszcze przez kilka lat.

Przeżywaliśmy się na dziesiątki sposobów — zabawnie i czule.

Wyznawaliśmy sobie miłość ciałami. Jak dawno to było!

Patrzyłam na śpiącego Stasa. Uśmiechał się przez sen.

Chciałam wrócić do domu.

Zebrałam swoje rzeczy z podłogi i ubrałam się w łazience.

Schowałam kapustę do lodówki.

Wyszłam z mieszkania, cicho zamykając drzwi. Czułam się jak bohaterka francuskiej powieści.

Powieści, która się skończyła, ledwie zdążyła się zacząć.

Było mi zimno bez pończoch. Babie lato trwało tylko dwa dni.

21

Roma długo nie odbierał telefonu.

Mimo wczesnej pory ulice nie były wyludnione.

Samochody posłusznie zatrzymywały się na czerwonym świetle.

Wyprzedził mnie mercedes. Dwieście dwudziestka. Miałam dokładnie takiego samego. Może to mój?

Na światłach czekała toyota i stara mała oka. Mercedes stanął za oką. Też bym tak zrobiła. Mała oka doceni okazane jej zaufanie i ruszy z kopyta. Ryzykując, że straci pedał gazu. A toyota wystartuje z ociąganiem, ciesząc się ze swojej chwilowej — jakże wątpliwej! — przewagi.

Roma odezwał się zaspanym głosem.

— Jak się masz? — spytałam rześko.

— Zadzwoń później. Jeszcze śpię.

— Zaczekaj. Tęsknię za tobą.
Miałam wrażenie, że nie dosłyszałaś.
— Halo, Roma?
— Nikita, czego ty właściwie chcesz?
Wyobraziłam sobie, że siada na łożku. Bierze papierosa. Pstryka zapalniczką. Owija się kołdrą. Wizja znana i bliska.
— Stęskniłam się, Roma.
— Jak się ma Artiom? Wczoraj próbował się do mnie dodzwonić.
— Stęskniłam się! — krzyknęłam. Co, nie wierzy własnym uszom?
— Nikita, to tylko chwilowy nastrój — cicho powiedział Roma. — Po prostu ci przykro, że dawno nie dzwoniłem.
— Nie! — Cały Roma. — Mój drogi, wracaj. Chcę do domu. I żebyś ty tam był. Wcale nie chodzi o nastrój.
Roma milczał.
— Mam już dosyć życia bez ciebie.
— Nie, Nikita. Nie wrócę.
— Dlaczego? — Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Prowadzi ze mną jakąś grę?
— Już nie potrafię być z tobą. Nawet nie wiesz, jak mi dobrze samemu.
Rozłączyłam się.
Chce mi dokuczyć? Czy naprawdę tak myśli?
Znowu do niego zadzwoniłam.
— Masz kogoś?
— Nie w tym rzecz.
— Masz kogoś czy nie? — wrzasnęłam.
— Nikogo nie mam.

— To o co chodzi?
— Nie chcę być z tobą.
— A myślisz, że ja z tobą chcę? Z nudów do ciebie zadzwoniłam! Myślisz, że jesteś mi potrzebny? Mam młodego kochanka! Chce się ze mną ożenić!
— Przepraszam cię, Nikita...
— Zdradziłam cię! Słyszysz? I było mi cudownie!
— Nie unoś się, dobrze? Może zjemy razem śniadanie?
— Idź w cholere!
Krzyczałam tak, że nie zauważyłam, kiedy się rozłączył.
Wyjęłam ze schowka walerianę.
Próbowałam jeszcze raz zadzwonić do Romy.
Wyłączył telefon. Skończona świnia.
To niemożliwe po prostu dlatego, że to niemożliwe.
Napiłam się waleriany.
Rozpłakałam się. Porzucił mnie mąż.
Wcisnęłam pedał gazu. Nie miałam dokąd ani po co jechać.
Skręciłam w stronę pralni. Muszę odebrać płaszcz.
Potem pojechać do sklepu, kupić proszek do prania.
A potem się zastrzelić. Życie straciło sens.

Kolonoterapia to naukowa nazwa robienia lewatywy.

Katia oddała się jej z takim zapałem, z jakim jeszcze niedawno ćwiczyła jogę. Codziennie od czwartej do piątej po południu chuda jak patyk kobieta w

lekarskim fartuchu wkładała jej do odbytu gumowy wąż i wlewała przez niego specjalną miksturę, która miała za zadanie przepłukać jelita. Na końcu węża była kamera. Od czwartej do piątej Katia oglądała na monitorze swoje wnętrzności jak film popularnonaukowy. Z komentarzem kobiety w fartuchu.

Kuracja składała się z dziesięciu zabiegów po osiemdziesiąt dolarów.

Po pierwszym zabiegu Katia zadzwoniła do mnie w stanie na granicy euforii.

— Wiesz co — wyszeptała, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy — mam glisty. Sama je widziałam. To obrzydliwe.

— Pewnie coś zjadłaś — wysunęłam przypuszczenie, myśląc o tym, że Katia, przy jej wyjazdach i ciągłym kontakcie z panienkami, nie takie rzeczy może mieć.

— Lekarka powiedziała, że prawie każdy ma glisty. — Katka jakby czytała w moich myślach. — Też powinnaś tam iść.

— Koniecznie.

Plan dnia barona Munchhausena od czwartej do piątej po południu przewidywał czyn bohaterski. Plan dnia Katii — lewatywę.

Leżałam na podłodze w łazience i gapiłam się w sufit.

Ostatecznie czemu nie miałabym zrobić sobie lewatywy? Tylko niech przyjdą i zrobią mi ją tutaj.

Trochę popłakałam.

Przez cały czas myślałam o tym chłopaku. Który jest u Tadżyków.

Próbowałam go sobie wyobrazić. Na pewno jest przystojny. Wysoki. Z ciemnymi smutnymi oczami. I cienkimi przegubami.

Nie wiedzieć czemu kochanka teścia wyobrażałam sobie tak, żeby było łatwo się nad nim litować.

Powiedział, że go biją. I że założyli mu przepaskę na oczy.

Pewnie ma związane ręce. Spuchnięte i obolałe.

Czy dają mu pić? I jeść?

A może go gwałcą?

Wizja brudnych, pijanych Tadżyków zdzierających ubranie z ciemnowłosego chłopaka rozrywała moje serce na miliardy ostrych i zatrutych drzazg, które rozsypywały mi się po wnętrznościach. Nie mogłam przegnać tych obrazów z myśli. Jaki właściwie jest stosunek Tadżyków do homoseksualizmu?

Sięgnęłam po telefon.

W tej samej chwili aparat wyszeptał: „Message”. Potem trochę głośniej: „Message”. I jeszcze głośniej. Ściągnęłam sobie ten dzwonek z internetu. Żeby informował mnie o przyjściu SMS-a. Po kilku sekundach telefon nieprzyjemnym głosem darł się na całe mieszkanie: „Message! message! message!”.

Wiadomość od Stasa.

„Myślałem o tym, żeby nakręcić film o Tobie. Ale nie mogłem się zdecydować, co powinno być na ekranie. Twoje ciało? Czy twoje oczy?”

Roma ma świetną firmę ochroniarską. Oni sobie z tym poradzą.

Wykręciłam numer Romy.

Abonent czasowo niedostępny.

Znowu się rozplakałam.

Kretyn. Wyłączył telefon. Przeze mnie. Bał się, że będę do niego wydzwaniać.

A przecież zadzwoniłam tylko dlatego, że jego ojciec potrzebuje pomocy.

Drugi SMS od Stasa: „Gdzie jesteś? Odezwij się!”.

Patrzyłam w sufit i czułam się jak korniszon.

Korniszon przypomina rybkę. Pływa sobie w małym, okrągłym akwarium.

Chciałabym, żeby mój słoik nigdy nie został otwarty. Chciałabym spędzić całe życie w ciasnym świecie korniszonów udających rybki.

Muszę rzucić koko-dżambo. Właściwie już rzuciłam. Rambo jest nieuchwytny od dwóch tygodni.

Zadzwoniłam do Madame.

Chory Said dostał wolne. Powiedział teściowej, że pojedzie do brata. U Tadżyków wszyscy są jak bracia.

Madame była zdania, że to dla nas szansa.

— Nie stracę go z oczu — zapewniła.

Wysłałam jej na pomoc Waligórę.

Erudytką została u mnie w domu.

Kusiło mnie, żeby zadzwonić na milicję i przerzucić całą sprawę na ich doświadczone barki.

Ale bałam się wszystko zepsuć.

Na filmach rodzina porwanego nigdy się nie zgłasza na milicję.

A może Said od razu doprowadzi moje dziewczęta do celu?

Przecież to możliwe?

Po raz pierwszy tego dnia poczułam ulgę.

Nawet odebrałam telefon od Stasa.

— Chciałem ci podziękować za tamtą noc. — Głos Stasa jest jednak bardzo zmysłowy. — Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem.

— Ja też dziękuję — rzuciłam kokieteryjnie. Jakby jego słowa były tylko banalnym komplementem.

— Co robisz?

— Pracuję. Wiesz, mam tyle nowych pomysłów! Jesteś moim natchnieniem.

— To super.

— I moją mużę.

Może poradzić się Stasa? W końcu jest mężczyzną.

Nie. Albo się wystraszy, albo ucieknie w świat swoich fantazji. Albo jedno i drugie.

— Rozglądasz się już za suknią ślubną?

Ten temat mieści w sobie wszystko, o czym każda kobieta może mówić godzinami z zapartym tchem: małżeństwo i ciuchy. Już samo mówienie o tym czyni ją sto razy lepszą i bardziej serdeczną.

Roześmiałam się. Powiedziałam czule:

— Jasne. A w czym chciałbyś mnie widzieć?

— Nago.

— Mogę mieć chociaż spinkę do włosów?

— Tak. Skoncentruj się na wyborze spinki.

Spytał, o której się spotkamy. Odmówiłam, zasłaniając się problemami rodzinnymi.

— A może mógłbym pomóc w ich rozwiązaniu?

— zaproponował.

Pewnie. Śledź Saida. Zabij jego kumpli. Uwolnij zakładnika. Wyjaśnij wszystkim sytuację. I możemy iść do restauracji. Japońskiej.

— Jeszcze zdążysz — zapewniłam.

Wysłałam Romie SMS-a: „Zadzwoń do mnie jak najszybciej”. Dostanie go, kiedy tylko włączy telefon.

Zadzwo nią Katia. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Wpół do piątej. Chyba nie chce zdać mi relacji „z miejsca zdarzenia”? Opowiedzieć o swoich glistach i dobroczynnym działaniu lewatywy wprost z kozetki, na której leży twarzą do dołu?

— Halo.

Płacz i chlipanie.

Przez ostatni tydzień przywykłam już do takiej reakcji na moje „halo”. Chyba zacznę mówić „słucham”.

— Ten idiota przespał się ze Śnieżaną! — usłyszałam od łkającej Katii.

Mam nadzieję, że nie dowiedziała się tego z rurką w tyłku.

Rozumiałam, że mówi o Antonie. Nie dlatego żeby był idiotą. Po prostu już od dawna łakomie zerkał na Śnieżanę. I widzieli to wszyscy oprócz Katii.

— Skąd wiesz? — spytałam. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

— Przeczytałam SMS-a od niej w jego komórce. Wiesz, jak go tam nazwała? — Katia co chwilę wydawała jęk i pociągała nosem.

Strasznie byłam ciekawa, jak Śnieżanna nazywa Antona. Skoro swojego oligarchę przechrzcila na Brzuszka.

— Co zrobisz? — Wydawało mi się, że im spokojniej mówię, tym lepiej dla Katii.

— Nie wiem.

Katia przestała popłakiwać.

— A co on na to?

— Mówi, że trzeba się wyleczyć z zazdrości. Ze zazdrość wszystko zabija.

— A...

Zamilkłyśmy.

Nie wiedziałam, czy można się wyleczyć z zazdrości. Roma nigdy mnie nie zdradził.

W kwestii zazdrości jest zorientowany lepiej niż ja.

Czy tak samo szlochał, jak się dowiadywał o moich kolejnych kochankach? Wątpię. Już raczej pocierał brew kciukiem prawej ręki, jak to miał w zwyczaju, kiedy się denerwował. Kiedy dawałam mu się we znaki.

— Może ma rację? — zadumała się Katia. — Może nie powinnam zwracać na to uwagi? Mówi, że kierował nim instynkt zwierzęcy. I że to nie ma nic wspólnego z miłością.

— Oczywiście — zgodziłam się bez trudu. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że Anton zakochał się w Śnieżannie. Podobnie jak tego, że mogłabym mieć Brzuszka za męża.

— W dodatku teraz jest bez pieniędzy. Jak mogę go rzucić?

— No tak...

Katia znowu cicho chlipnęła.

— A może też byś go zdradziła? I powiedziała, że to instynkt. Zobaczymy, co wtedy zrobi.

— Nie... Anton uważa, że kobieta zawsze kieruje się rozumem. W odróżnieniu od mężczyzny. I dlatego prawdziwa kobieta nie sypia z kim popadnie.

Anton mnie zachwycił. Nie bez powodu przyjaźnimy się tyle lat. Co za przekonująca argumentacja! Wszystko przemyślane w najdrobniejszych szczegółach.

— Kochasz go? — spytałam przyjaciółkę.

— Tak — westchnęła.

Oczami duszy zobaczyłam jej uśmiech na drugim końcu telefonicznego łącza. Głupawy uśmiech. Jakby mięśnie twarzy na chwilę stężały. Uśmiech członka bractwa zdradzonych.

Nagle pomyślałam, że ja też wybaczyłabym Romie. Niechby zaspokajał swoje tępe zwierzęce instynkty z takimi jak Śnieżanna. Byle potem wracał do domu!

W jednej chwili zrozumiałam z przeszywającą ostrością, jak bardzo chcę, żeby Roma do mnie wrócił. Może chrupać swoje wieczne chipsy przed telewizorem. A nawet jeść pestki słonecznika. Tak pragnę, żeby ktoś chrupał chipsy przed moim telewizorem! A nawet jadł pestki słonecznika.

I żeby to nie był jakiś facet. Tylko on. Nikogo innego z chipsami nie zniosę.

I żeby Artiom ćwiczył na nim nowe chwytów karate.

Żeby wróciło do mnie moje życie.

Te wakacje ciągnęły się za długo. W dodatku bardzo stęskniłam się za Artiomem. Dlaczego Roma wysłał go za granicę?

Roma nie oddzwaniał.

Wyjechałam na oświetloną szosę leningradzką.

Skreśliłam na szesnastym kilometrze. Długo błąkałam się po polnych drogach, usiłując trzymać się

szkicu, który miałam na stronie tytułowej Nagiego lunchu Burrouhgsa. Madame wyjaśniała mi, którędy jechać, a ja na podstawie tego rysowałam wszystkie drogi i zakręty. Jak w kawale o ginekologu*.

Szukałam eksperymentalno-budowlanej osady „Eden”. Ciekawe, z czym oni eksperymentują? Mam nadzieję, że nie z materiałami budowlanymi? A może z cenami?

W osadzie „Eden” ukrył się Said.

Było już ciemno.

Madame czekała na mnie przy szerokiej wyrwie w ceglany murze. Nie dość jednak szerokiej, żebym mogła przez nią przejechać. Wsiadłam z samochodu.

„Eden” zajmował mniej więcej piętnaście hektarów. W niczym nie przypominał edenu.

Wielkie ogniska oświetlały jedno- i dwupiętrowe domy. Nieotynkowane, bez okien, w czerwonym świetle ognia wyglądały jak czaszki z pustymi oczodołami.

* Ginekolog bada pacjentkę. Nagle dzwoni telefon. Lekarz podnosi słuchawkę, nie wyjmując drugiej ręki ze „stanowiska pracy”:

— Słucham! Tak, przyjmuję w soboty. Łatwo do nas trafić. Niech pani dojedzie ósemką do pętli. Stamtąd trzeba iść najpierw prooosto, potem w leewo, na skrzyżowaniu w praaawo i naokoło szkoły. Tam jest nasza przychodnia. Do zobaczenia.

I do pacjentki:

— To wszystko, może się pani ubrać.

Pacjentka drżącym głosem:

— Panie doktorze, proszę jeszcze raz zrobić „naokoło szkoły”!

Wszędzie kręcili się robotnicy, głównie Tadźycy. Były ich setki.

Na ogniskach kobiety gotowały jedzenie.

Dzieci bawiły się z takim wigorem, jakby to nie była północ na budowie, tylko środek dnia we wzorcowym przedszkolu.

Zostawiłam samochód pod murem.

— Pod tę wyrwę przywożą im prostytutki — wyjaśniła Erudytką — autobusem.

— Prostitutki? — zdziwiłam się.

Pomyślałam o prostytutkach z filmów. W wysokich kozakach i w mini. Przeklinają i ordynarnie się śmieją. Mimo wszystko nie potrafiłam ich sobie wyobrazić w tym otoczeniu.

— No, z szosy leningradzkiej. Biorą jedną na dziesięciu. Przecież nie mają pieniędzy.

Erudytką pewnie prowadziła mnie pomiędzy ludźmi, domami, ogniskami i stosami cegieł. Tadźycy przypatrywali się nam w milczeniu i nie schodzili z drogi.

Nie miałyśmy szans znaleźć Saida w tym rowisku.

Zaglądałam w puste okna, jakbym spodziewała się zobaczyć tam chłopaka teścia. Albo przynajmniej jego ślady. Wpatrywałam się w robotników i w każdym z nich widziałam porywacza.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby przy okazji znaleźć tu swojego mercedesa.

Pojechałam do domu, a moje dziewczyny zostały w „Edenie”.

Męczył mnie straszny sen. Roma próbował rozpalić ognisko, ale mu nie wychodziło. Złościł się i zarzucał

ledwie tłący się ogień coraz to nowymi drwami. A wkoło snuli się Tadźycy. Stałam z boku i śmiałam się ordynarnie. Z Romy, z Tadźyków, ze wszystkich. Przez całą noc.

Obudziłam się z bólem głowy.

Miałam ochotę opowiedzieć swój sen Romie. Wyobraziłam sobie, jak będzie się ze mnie śmiał. Albo zauważy filozoficznie, że taki sen może oznaczać pieniądze.

Miał wyłączony telefon. Wysłałam mu kolejnego SMS-a: „Proszę Cię, zadzwoń. Nie będę krzyczeć ani robić awantur. Chcę Ci wszystko wyjaśnić”.

Teściowi dali trzy dni na zebranie miliona dolarów. Nie było tak źle. Pewnie nawet im w głowie nie powstało, ile milionów mógłby zebrać w ciągu trzech dni. I całe szczęście.

Oznajmili, że zadzwonią i powiedzą, dokąd zawieźć pieniądze.

Nie potrafiłam się zmusić, żeby wstać z łóżka.

W myślach wygłaszałam niekończący się monolog do Romy. Wszystko mu tłumaczyłam i opowiadałam. Wspominałam nasze kłótnie i usprawiedliwiałam się przed nim. A potem go oskarżałam. Ocierałam łzy. Żal nad sobą stopniowo przeszedł w poczucie krzywdy. I bezsilność.

Porzucił mnie mąż i nic nie mogę na to poradzić.

Zadzwoniłam do Rambo. Miał wyłączony telefon. Ucieszyłam się. Po kilku minutach znowu zadzwoniłam. Bałam się, że odbierze. Ale i tak nie dawałam za wygraną.

Próbowałam wziąć się w garść. Nie płakać. Oblizyłam wargi. Słone. W sam raz do piwa.

Nie będę płakać.

A jednak.

Rzucił mnie mąż.

Co za łajdak! Bu-u-u!

Ciekawe, jak płaczą głuchoniemi? Nie słysząc własnego zawodzenia? Że też od tej ciszy nie popękają im bębni.

Zadzwoił Stas.

— Wszystko w porządku? — spytał z niepokojem, kiedy usłyszał mój głos.

Zaszlochałam.

— Powiedz coś. Co się stało?

Z przyjemnością rozryczałam się na całego.

Po co mi Roma, skoro mam Stasa? Takiego młodego i troskliwego. W dodatku przystojnego. Mogę urodzić mu dziecko. Syna. Będzie miał lekko nabrzmiałe usta, po ojcu. Albo lepiej dziewczynkę. Dziewczynki można stroić, a poza tym nie muszą być mądre. Wystarczy, żeby dobrze gotowały. Ja gotuję fatalnie. Co jest godne politowania.

— Po prostu tak długo nie dzwoniłeś. I pomyślałam, że mnie już nie chcesz...

— Dziewczynko moja... Co mam zrobić? Przyjadę do ciebie, chcesz?

Tak dawno nikt do mnie nie mówił „dziewczynko moja”. Kiedy miałam dziewiętnaście lat i przeżywałam swój pierwszy poważny romans, oznajmiłam mojemu siedemnastoletniemu ukochanemu: „Jestem twoją kobietą”. On delectował się słowem „kobieta” i zdawało się nam, że jesteśmy bardzo dorośli.

— Powiedz jeszcze raz „dziewczynko moja”!
— poprosiłam.

— Dziewczynko moja... Jedyna na świecie!

Może spotkać się ze Stasem? Nie mogę siedzieć w domu. A jeśli zadzwoni Roma, to nawet lepiej. Niech będzie zazdrosny. Jak każdy mężczyzna jest typem posiadacza.

Stas zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść. Do „Werandy”. Ale nie widziałam sensu w siedzeniu ze Stasem w restauracji. Nie zamierzałam pić. A nuż nadejdą jakieś wiadomości od teścia? Muszę być trzeźwa.

Powiedziałam Stasowi, że przyjadę do niego. Ucieszył się. Odczytał to jako przejaw moich uczuć. Jak każdy mężczyzna jest zadufanym w sobie idiotą.

Roma nie dzwonił.

Stas był bardzo miły. Spełniał wszystkie moje zachcianki, patrzył mi w oczy i czule do mnie przemawiał.

Roma nie dzwonił.

Całkiem serio snuliśmy rozważania na temat naszego przyszłego życia rodzinnego. Stas był zdania, że po roku zaczniemy się kłócić. Śmiałam się. O święta naiwności! Skąd mu przyszło do głowy, że będzie mu dane się ze mną kłócić? Że za rok będę pamiętać jego imię?

— Stas, kochasz mnie? — Z oddaniem popatrzyłam mu w oczy.

Dołki na jego policzkach nabrały delikatnego różowego odcienia.

— A ty mnie?

Odpowiedziałam szeptem:

— Chyba tak.

Zaskakujące, że ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. Nie ukrytą w moim głosie drwinę, nie wątpliwość, ale to jedno słowo: „tak”.

Stas objął mnie prawie po ojcowsku.

— Dziewczynko moja...

Nie nalegałam, żeby i on uczynił mi wyznanie. Niech się trochę nacieszy swoją przewagą. Niech poczuje się mężczyzną.

Zadzwoił Roma.

— Wszystko w porządku?

Siedziałam na kolanach u Stasa jak w ciepłym gniazdku.

— Niby tak. Ale muszę z tobą porozmawiać. Chcę ci o czymś opowiedzieć...

— Za trzy dni będę w Moskwie, to pogadamy.

— Dasz znać?

— Tak. Jak Artiom? Dzwonił?

— Tak. Wszystko dobrze. Roma...

— Nikita, spiesz się. Na razie.

Tym razem to, co powiedziałam Stasowi, płynęło ze szczerego serca.

— Naprawdę wyjdę za ciebie.

— Wiem.

Znowu zostałam do rana. Stas spał. Chciałam nawet iść do kuchni, żeby zjeść trochę kiszzonej kapusty. Lubię dawać początek nowym tradycjom. Ale całą kapustę zjedliśmy poprzedniego dnia.

Skoro już pogodziłam się z tym, że kiedyś umrę, to czemu nie miałabym się pogodzić z porzuceniem mnie przez Romę? Po prostu muszę przyjąć to za rzecz nieuniknioną.

Głupio płakać dlatego, że wszyscy umrzemy. A skoro tak, to jeszcze głupszy jest płacz z powodu bycia porzuconym.

Kiedy stado baranów prowadzi na rzeź, to one pewnie po drodze też pochłonięte są swoimi problemami: rozstrzygają, który silniejszy, walczą o owce... Nieboraki. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Stałam u siebie w garderobie. Przed lustrem.

Mieliśmy się spotkać w „Werandzie”.

Wyjęłam czarną spódnicę. Odłożyłam ją z powrotem.

Teraz muszę wyglądać młodziej. Zdjęłam wszystkie brylanty.

Całkiem nieźle.

Na miejscu stwierdziliśmy, że mamy już dość „Werandy”, i pojechaliśmy do „Red Baru” przy Alejach Kutuzowskich.

Andżela opowiadała o swojej przyjaciółce, która po znajomych zbiera pieniądze dla ofiar Biesłanu.

— Nie wierzę, że się ich tak łatwo pozbędzie — stwierdziła Andżela.

— Dlaczego? Normalna działalność charytatywna, wszyscy się tym teraz zajmują. Sama bym dała pieniądze. W tym Biesłanie taki koszmar. — Katia w ogromnej szklance zmieszała piwo ze spritem, próbowała, dołała piwa.

— No właśnie! — oburzała się Andżela. — Ja też bym dała! A ona — nie! Ani się tego nie odliczy od podatku, ani w gazecie o tym nie napiszą! To jaką będzie miała korzyść? Tylko te pieniądze, co zebrała.

— Ale franca — przytaknęłam.

— Dokładnie! — ucieszyła się Andżela. — Franca! Ile razy Nikita zabawki Artioma odwoziła do domu dziecka...

— Kierowca odwoził — sprostowałam. — Ubrania też...

— Dziewczyny, a ja mam tyle ubrań... — zamyśliła się Katia.

— To zanieś do komisju. Jest taki jeden, opowiadała mi znajoma, nazywa się „Marzenie”. Kupujesz Dolce & Gabbana za pięć tysięcy, a tam oddajesz za dwieście. Za pięć kostiumów już tysiąc się zbiera.

— Andżela mozolnie obliczała w pamięci, ile można dostać za dziesięć kostiumów.

— Całkiem przyzwoicie — zgodziłam się.

— Jasne. Dwa-trzy tysiące na miesiąc można wyciągnąć. Nieźle, co? Idziesz do „Soho” i masz nową sukienkę. — Andżela zamówiła butelkę wina.

— A poza tym to też jest trochę działalność charytatywna: dla studentek, które marzą o markowych ciuchach.

W „Red Barze” są wielkie okna. Widać przez nie światła Alei Kutuzowskich. Jakby się siedziało w lądującym samolocie. Nocą.

Uwielbiam patrzeć na miasto z góry. Niektórzy lubią rozpoznawać drogi, domy... Albo wieżę telewizyjną. A ja lubię myśleć o tych, którzy budowali to miasto tysiące lat wcześniej. Nie wiem, w co są ubrani, nie widzę ich twarzy... Ale ich zmarszczki i uśmiechy, ich odciski i marzenia unoszą się nad miastem, wiszą w powietrzu i napełniają swoją energią te budynki, drogi i wieżę. Mnie. I moje przyjaciółki.

W drzwiach stanęła Olesia.

Olesię również.

— Kto jej powiedział, że tu będziemy? — wyszczała Katia, posyłając Olesii serdeczny uśmiech.

— Ja — ciężko westchnęłam. Nie lubię kłamać w drobnych sprawach.

— Cześć, dziewczyno! — Olesia miała na sobie długie futro, mimo że jeszcze nie padał śnieg. — Biedna Katieńka!

Katia zmrużyła oczy.

— Anton nigdy mi się nie podobał — zakomunikowała Olesia, rozsiadając się w fotelu.

— Ty jemu też — odpowiedziała Katia niezbyt uprzejmie. Pomyślałam, że w tym wypadku przesadziła z prawdomównością.

— I Nikita ma kłopoty — ciągnęła Olesia, co mnie upewniło, że Katia powinna była trzymać język za zębami. — Andżela, a co u ciebie?

— U mnie, Oleska — miłość. Ale lepiej opowiedz nam o sobie. — Andżela zapaliła papierosa.

— Przecieżnosisz plaster antynikotynowy — zdziwiłam się.

— Tak — przyznała Andżela. — Po prostu się zmuszam do palenia. Wcale nie mam ochoty. Ledwo połowę wypalam...

Z obrzydzeniem zgasiła mentolowego vogue'a.

— Ale facet mi się trafił! — oznajmiła Olesia, zamawiając whisky z lodem. — Deputowany. Bogaty i niestary! Zakochał się od pierwszego wejrzenia!

— Jak się nazywa? — zainteresowała się Katia.

Olesia się zamyśliła.

— Jak sobie przypomnę, to wam powiem.

— I co? — spytała Andżela z nutą zazdrości w głosie.

— I nic. Nawet mu telefonu nie dałam. Żonę ma w ciąży, w dziewiątym miesiącu. Z bliźniakami.

— No to za chwilę nie będzie w ciąży! — nie ustępowała Andżela.

Olesia wzruszyła ramionami:

— Ale jednak żonaty... Wicie co, on nie wychodzi z domu bez stu tysięcy dolarów!

— No widzisz! — Andżela wpadła w uniesienie.

— Bez stu tysięcy dolarów nie wychodzi, a bez żony wychodzi! Czyś ty, Olesia, zwariowała?

— Sama nie wiem. — Widać było, że Olesia niejedną godzinę spędziła na rozmyślaniach o deputowanym. — A zresztą jak ja go teraz znajdę?

— Wykrywaczem metali! — roześmiała się Katia i wszystkie jej zawtórowałyśmy. Z wyjątkiem Olesi.

— Dziewczyny, ale ja kocham swojego męża — powiedziała Olesia z urazą.

— A, to co innego... — przyznałam.

— Katka, zadzwoń do Antona, niech przywiezie gram — poprosiła Andżela — bo inaczej tu nie wysiedzę. A Denis jeszcze dwie godziny będzie na meczu.

— Nic z tego. Rozmawiałam z nim. Pojechał na trening.

— Na jaki trening? — zdziwiłam się. I ucieszyłam zarazem. Zaczęłam obliczać, ile dni już jestem bez koku. Z tym jest jak z dietą kefirową. Jeden dzień się wytrzymało, drugi i trzeci, po czym przychodzi sąsiadka z tortem.

— Kupiłam mu abonament do „World Class”.
Ledwie dokończyła zdanie, w drzwiach „Red Baru”
pojawił się Anton.

— Zapomniałem adidasów — wyjaśnił — i z tre-
ningu nici. Oczywiście szczerze tego żałuję.

— Po co ci trening? I tak jesteś piękny — powie-
działa Andżela.

— Moim głównym celem jest przeżycie stu lat w
jak najlepszym zdrowiu.

— Dlatego nie przywiozłeś koksu? — zaintereso-
wałam się.

— Nie. — Anton starannie rozłożył sobie serwetkę
na kolanie. — Po prostu nie wziąłem pieniędzy. A
chciałem od razu wziąć dziesięć gramów.

— A nie mogłeś wziąć jednego? — spytała Katia.
Przyglądałyśmy się jej z zainteresowaniem. Jak będzie
się zachowywać w stosunku do Antona po jego
miłosnej przygodzie z kochanką jednego z naj-
większych moskiewskich oligarchów?

Katia patrzyła na Antona wzrokiem pełnym
uwielbienia. Kochała go tak, jak się kocha psa: takim,
jaki jest, nie próbując go zmienić. Jeśli go czasem
tresowała, to tylko po to, żeby się nie wstydzic przed
ludźmi.

Anton zignorował jej pytanie.

— Co, napijemy się? — przywołał kelnera ski-
nieniem głowy. — A gdzie nasza piłka nożna?

— Na meczu — odpowiedziała Andżela.

— Możecie sobie wszyscy chodzić na mecze, byle
beze mnie — zaznaczył Anton nieco kapryśnym
tonem.

Anton był z tych mężczyzn, do których nie sposób się nie uśmiechać. I nie wybaczać im. Dobrze rozumiałam Katię.

Zawsze był do tego stopnia „tu i teraz”, że nie można było wyobrazić sobie, aby cokolwiek wiązało go z innym miejscem i innymi sprawami.

Właśnie jadł sałatkę podaną na zielonych liściach.

— Katka, opowiedz nam, jak ci poszła dzisiejsza lewatywa? — zainteresował się troskliwie, próbując wina.

— Jak po maśle — uśmiechnęła się Katia.

— A ja myślę, że joga jest fajniejsza — snułam rozważania — i nie wymaga ingerencji z zewnątrz.

— To zależy — zaprotestowała Andżela, beztrudnie smarując chleb masłem. Patrzyliśmy na nią ze zdumieniem. — Na przykład Lence czakra się otworzyła. Opowiadała mi — koszmar. Jakby człowieka przeszył promień światła.

— Nie za grubo smarujesz? — zatroszczyła się Katia.

— Nie. Normalnie.

— A co, ona też ćwiczy asany? — spytał Anton.

— A co cię to obchodzi? — oburzyła się Katia.

— Tak tylko spytałem — odparł urażony Anton.

— Lenka jeździła na Bali. Medytować — przypomniałam sobie.

— Zapracowała sobie na otwarcie czakry — podtrzymałam rozmowę Anton. — Nie to, co wy. Dla was joga czy lewatywa — jeden pies.

Katia złapała Antona za szyję i zaczęła go dusić. Anton wybałuszał oczy i robił miny.

— A w dodatku uczy się japońskiego i arabskiego
— zaszczebiotała Olesia.

Katia popatrzyła na nią z nienawiścią. Olesia udała, że jest pochłonięta swoimi ostrygami.

Zadzwoił mój telefon. Stas.

— Młody wielbiciel — wyjaśniłam przyjaciółom.

— Szybko odbierz! — nakazała Andżela z błyskiem w oku.

— Zaproś go tutaj — zaproponowała Katia.

Anton zmarszczył nos.

— Dziewczyny, ale to burak. Facet nie na poziomie i nudziarz. Z nim można tylko w domu. Seks uprawiać. — Uśmiechnęłam się do Antona.

— Seksu nam tu nie trzeba — potwierdził Anton.

— Wystarczy, że się razem napijemy.

— Halo — jednak odebrałam.

— Pomyślałem, że jak nie odbierzesz, to zwariuję.

Uśmiechnęłam się do Andżeli i westchnęłam, wywracając oczami.

— Słuchaj, mały, zadzwonię do ciebie z domu...

Nigdy tak się do Stasa nie zwracałam. Ale to mi się spodobało. W towarzystwie przyjaciół, z kieliszkiem znakomitego wina w dłoni, po prostu nie mogłam nazwać go inaczej.

Próbował coś powiedzieć.

Przemawiałam do niego pobłażliwym tonem, z pozycji osoby starszej i doświadczonej.

— Jestem w restauracji. Nie mogę teraz rozmawiać. Na razie.

Wyłączyłam telefon, przerywając mu w pół słowa.

— W ogóle ci się nie podoba? — chciała wiedzieć Katia.

— Podoba się. I to bardzo. Jakie on ma usta...

— tajemniczo zmrużyłam oczy. — Po prostu na razie mam go dość.

Kiedy wyszliśmy, było już ciemno. Postanowiliśmy pojechać do „Galerii”. Napić się.

Nasza złożona z czterech samochodów kawalkada zbliżała się właśnie do Łuku Triumfalnego, kiedy jadący na czele Anton został zatrzymany przez milicję. Zaparkowałyśmy w pobliżu.

Antona poproszono o wyjście z samochodu i otwarcie bagażnika. Jeden z milicjantów z latarką sprawdzał zawartość schowka i kieszeni przy siedzeniach.

— Szukają narkotyków — powiedziała Katii przez telefon. Stałam najbliżej mercedesa Antona.

— Dobrze, że nic nie ma.

— Pewnie znowu jakaś ogólna akcja — stwierdziła Katia — zobacz, ilu gliniarzy.

W bocznym lusterku widziałam, jak Anton uśmiechał się i żartował, kiedy kazali mu oprzeć ręce na masce i obmacywali go.

Jeden z milicjantów, którzy przeszukiwali bagażnik, podszedł do Antona i coś mu pokazał.

Wyraz twarzy naszego przyjaciela gwałtownie się zmienił.

Wyskoczyłam z samochodu.

Milicjant trzymał w ręku torebkę z koksem, nie mniej niż dwadzieścia gramów.

— To nie moje! To nie moje! — wykrzyknął Anton. — Nikita, podrzucili mi! Niczego nie miałem!

Brutalnie pchnęli go na maskę i wykręcili mu ręce do tyłu. Usłyszałam szczęknięcie kajdanków. Stałam odrętwiała.

— Będzie pani świadkiem? Złapaliśmy narkomana. Powoli pokręciłam głową i cofnęłam się w kierunku samochodu. Podbiegła Katia.

— Co tu się dzieje? Dzwoniłam po adwokata! Nie macie prawa!

Wsadzili Antona do radiowozu, mocno pchając mu głowę w dół.

Katia gorączkowała się i kłęła.

— A może naprawdę to miał? — wyszeptwała Andżela.

Wyszła z samochodu bez kurtki, a jej nos zrobił się jasnoczerwony. Z zimna.

— Wątpię. To jakiś absurd. — Nie potrafiłam znaleźć powodu, dla którego Anton miałby nie powiedzieć nam o koksie.

Milicjanci spisywali jakieś protokoły. Za świadka wzięli starszego blondyna w błękitnej kurtce puchowej i czapce Adidas. Antona wywieźli.

Katia płakała, rozmazując sobie tusz po twarzy.

— Dzisiaj śniło mi się mięso — powiedziała. — W dodatku surowe.

— To źle — zgodziła się Andżela.

— Zadzwoń do taty — zaproponowałam.

Przypomniały mi się poszewki na poduszki. Ze snami.

— Coś ty! Zabije mnie! Powie, że się z narkomanami zadaję.

— Andżela, zadzwoń — poprosiła Katia.

— Nie! — Andżela zdecydowanie pokręciła głową.

— Dziewczyny, zimno mi, chodźcie do samochodu!

W jej cayenne śpiewał Brian Adams i pachniało wanilią.

Sproszkowana wanilia wypełniała popielniczki i podstawki do napojów.

— Żeby w razie czego usprawiedliwić białe ślady

— wyjaśniła Andżela. — No i przyjemnie pachnie.

Zadzwoniliśmy do adwokata, znajomego Katii.

Obiecał wszystko wyjaśnić i informować nas na bieżąco.

Byliśmy w paskudnych nastrojach.

— Już nigdy nie będę nic ze sobą wozic — obiecałam. Sobie.

— Przecież on nic nie miał! — krzyknęła Katia.

— Od rana był bez pieniędzy! Podrzucili mu!

— Może go potrzebowali do statystyki? — westchnęła Andżela.

— Rambo też przepadł. Niewykluczone, że go przycisnęli i sypie — zasugerowałam.

Do domu przyjechałam nad ranem. Zanim odzwoił adwokat i powiedział, że nie da się załatwić widzenia z Antonem, zanim zdołaliśmy w to uwierzyć, już świtało.

Adwokat zapewnił nas, że wszystko będzie w porządku. Na dziewięćdziesiąt pięć procent. Katia kiwała głową.

Położyłam się spać, obiecując sobie, że zrywam z koksem. I rozmyślając: po co w ogóle człowiekowi

narkotyki? Może po to, żeby trafiwszy po śmierci do raju, nie doznał szoku? Może to taki symulator? Przedsmak raju? W końcu narkotyki nie wzięły się znikąd...

Zawsze traktowałam Boga jak pomoc domową. „Boże, spraw, żeby sprąta się plama z mojego ulubionego białego płaszcza!”, „Boże, niech tylko nie skończy mi się benzyna przed stacją benzynową!”, „Boże, spraw, żeby nowa niania się nadawała, już nie mogę siedzieć w domu!”, i tak dalej. Każdy dzień przynosi mnóstwo tego typu problemów. Bytowych.

Przed zaśnięciem po raz pierwszy w życiu zwróciłam się do Boga ze sprawą osobistą: „Boże, niech Roma do mnie wróci. Od dzisiaj będę dobra. Najlepsza. I nauczę się gotować”.

22

Teść miał zawieźć pieniądze do eksperymentalno--budowlanej osady „Eden”. Podyktowali mu dokładny adres. Ze wskazówkami, co i jak robić. I zwyczajowymi groźbami na zakończenie rozmowy.

Musi być sam. Nie wolno mu dzwonić na milicję. Dostanie swojego chłopaka.

Z każdym dniem teść coraz bardziej w to wątpił.

Żona podtrzymywała go na duchu. Zachowywała się tak, jakby został porwany ich ukochany syn. Dobrze, że nie Roma — tfu, tfu, na psa urok!

Raz widziałam ich nawet, jak siedzieli na kanapie, przytuleni.

Zaproponowałam, żeby zadzwonili do swojej agencji ochrony.

Teść był temu przeciwny.

Zadeklarowałam, że będę mu towarzyszyć razem z Waligórą i Madame.

Odmówił.

O dziewiątej rano następnego dnia wziął swoją sportową torbę Louis Vuitton (czterysta pięćdziesiąt dolarów), włożył do niej pieniądze, pocałował żonę i pojechał do „Edenu”.

Ja, Waligóra i Madame dotarliśmy tam przed dziewiątą. Osada była nie do poznania. To, co nocą wyglądało jak tabor cygański, w świetle dziennym stało się zwyczajnym placem budowy. Ciężki sprzęt, robotnicy w kombinezonach. Dzieci, kobiety i zapach zupy przepadły bez śladu. Byli tylko Tadźcy, z uśmiechami na twarzach.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zajęliśmy punkty obserwacyjne.

Ja pilnowałam „sztabu budowy”. Równie o dziewiątej, tak jak nakazali porywacze, wszedł tam teść.

Poinformowałam o tym Madame przez walkietalkie.

Teścia przywitała uśmiechnięta starsza kobieta.

— Chciałbym obejrzeć dom numer czternaście w trzecim kwartale — oznajmił teść, podejrzewając wszystkich obecnych o współudział w porwaniu.

Miał na sobie garnitur utrzymany w łagodnym brązie. I zielone buty. Torbę LV mocno trzymał w prawej ręce.

Naprzeciwko domu numer czternaście w trzecim kwartale dyżurowała Waligóra.

Menedżerka otworzyła drzwi kluczem.

— Przecież jeszcze nie ma okien! — zdziwił się teść. — To po co klucze?

— Takie są przepisy — surowo oświadczyła menedżerka.

Według planu w holu pierwszego piętra miało stać kartonowe pudło po żyrandolu. Właśnie w nim należało zostawić pieniądze.

— Wykorzystujemy najnowocześniejsze technologie i materiały... — informowała menedżerka z zapalem.

Teś niecierpliwie przekręcał na palcu obrączkę, nie odrywając wzroku od okna.

— Jak również osiągnięcia wiodących zachodnich i krajowych producentów...

To, co się działo, przypominało słynną scenę z filmu *Operacja Y i inne przygody Szurika*, w której kierownik budowy zagrzewa bumelanta do pracy: „W czasach, gdy nasze statki kosmiczne przecinają przestworza wszechświata...”.

Menedżerka zaproponowała, żeby wejść na pierwsze piętro i obejrzyć sypialnie.

— Skąd to się wzięło? — zdziwiła się, widząc karton po żyrandolu.

Teś ponuro patrzył jej w oczy. Menedżerka ciągnęła swój monolog. „Są na piętrze” — oznajmiła Madame przez krótkofalówkę.

„Idę do Nikity” — odpowiedziała Waligóra.

— Poddasze nie jest przystosowane do mieszkania, ale możemy je wykończyć na życzenie klienta. Ma osiemdziesiąt metrów kwadratowych. — Zakończyła oprowadzanie z wyczekującym uśmiechem. Gdyby teś nie był tak zdenerwowany, zgodnie ze swoim zwyczajem zacząłby bić brawo.

Zeszli na parter. Przy drzwiach teść powiedział:

— Nie zwróciłem uwagi, jaki jest widok z okna w pokoju dzieciennym. Proszę chwileczkę zaczekać.

Pobiegł z powrotem na górę. Louis Vuitton rozparł się wygodnie w kartonowym pudełku. Teść nie wiedzieć czemu szczelnie je zamknął. I przewrócił na bok.

Poszliśmy z Waligórą do „sztabu budowy”. Menedżerka, z którą rozmawialiśmy, stanowiła całkowite przeciwieństwo pierwszej. Była młoda i w ogóle się nie uśmiechała.

— Planujemy kupno domu numer czternaście w trzecim kwartale — oznajmiła Waligóra. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle cena tego domu skoczyła o czterdzieści procent. Menedżerka sięgnęła po komórkę.

— Taniuszka! Nie zamykaj czternastego! — Mówiła wysokim, obojętnym głosem. — Prowadzę następnych klientów. Na razie.

Wąską, pokrytą drobnym żwirem ścieżką kroczył mój teść w towarzystwie niemilknącej Taniuszy.

Spostrzegł mnie i się zatrzymał. Jego zdziwione spojrzenie zaczęło wyrażać złość, a potem bezsilność.

Minęłam go obojętnie. Waligóra odwróciła głowę.

Na pierwszym piętrze menedżerka opowiadała nam o najnowocześniejszych technologiach.

Pudło stało na swoim miejscu. Czy nadal były tam pieniądze — nie wiedziałam.

Dom był otwarty tylko kilka minut. Przez cały czas obserwowała go Madame.

Zadzwoił mój telefon. Teść.

— Co ty tu robisz? — warknął głosem rozwścieczonego heteroseksualisty.

— Proszę postępować zgodnie z planem — odpowiedziałam serdecznie, zerkając na menedżerkę. — Kiedy tylko będę wolna, wszystko wyjaśnię. Do usłyszenia.

— Chyba zostawiłam na górze telefon — powiedziałam, kiedy zeszyliśmy na dół.

Pudło było puste.

Menedżerka starannie zamknęła za nami drzwi.

— Trochę się przejdziemy. — Waligóra machnęła ręką w nieokreślonym kierunku, rozglądając się dokoła jak żądny wrażeń turysta.

Menedżerka kiwnęła głową i nieoczekiwanie uśmiechnęła się:

— Jak to się mówi, witamy w „Edenie”!

Znowu zadzwonił teść. Z mieszkania na bulwarze Frunzeńskim, które wynajmował dla swojego młodego ukochanego.

Właśnie tam nakazali czekać na niego porywacze.

Teść czekał już dwie godziny i jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

— Nikita, wytłumacz mi, co się dzieje! Przecież obiecałaś się nie wtrącać!

— Obserwujemy ten dom...

— Nikita, niczego nie zepsujesz? Nigdy bym ci tego nie wybaczył!

Sama sobie bym nie wybaczyła.

— Wszedł tam Said. Wasz ogrodnik. Madame go widziała. Zabrał pieniądze.

— Zabrał pieniądze?

— Ale jesteśmy pewne, że z domu nikt nie wychodził. Czekamy.

— Zadzwoń do mojej ochrony! Potrzebna ci pomoc!

— Niech tata zadzwoni. Mogliby otoczyć osadę. On musi gdzieś tu być.

Teść milczał przez chwilę, słyszałam tylko jego nierówny oddech.

— Ale jak zobaczą milicję, to mogą mu coś zrobić... Żeby nie było dowodów... Tak?

Nie wiedziałam.

Myślałam o tym, że gdyby chcieli mu coś zrobić, to już by zrobili.

Z drugiej strony, gdyby chcieli go wypuścić, to już by wypuścili.

Najwyraźniej chodziło o pieniądze. Said nie wywiósł ich z domu i nie oddał współnikom, więc jeszcze nie podejmują żadnych działań.

Niejasne były dwie rzeczy: dlaczego Said nie próbuje wydostać się z domu i gdzie są jego współnicy?

Obserwowałyśmy dom ze wszystkich stron. Od czasu do czasu łączyłyśmy się przez krótkofalówkę.

Siedziałam na pojemniku po farbie. Byłam głodna. Wyłączyłam dzwonki w telefonie, dlatego kiedy znowu zadzwonił teść, aparat tylko się poruszył w mojej dłoni, jak małe prostokątne zwierzątko.

— Nikita, rozmawiałem z moją ochroną. Koniecznie chcą się przyłączyć, a ja, szczerze mówiąc, jestem za.

— Dobrze. Ja też myślę, że to ma sens. Niech otoczą całą budowę. I nikogo nie wypuszczają. Tylko po cichu.

— Dam im twój numer.

Zgodziłam się.

Już od kilku godzin pilnowaliśmy domu. Gdzieś w głębi osady toczyło się życie: słychać było pokrzykiwania majstrów, przywożono cegły, pracowały dźwigi. Wydawało się jednak, że położonego na skraju zabudowań domu numer czternaście cała ta krzątania w ogóle nie dotyczy.

Przed domem stały dwie okazałe sosny. Wyobraziłam sobie, jak jego nowi właściciele na Nowy Rok ustroją drzewa kolorowymi girlandami, a z komina będzie się unosił swojski biały dym.

Patrzyłam w niebo.

Przypominało mi plażę. W ciepłych, łagodnych promieniach słońca wygrzewali się na niej ludzie. Odpoczywając od życia.

Osada była otoczona.

Zapadał zmierzch.

— A może go przegapiłyśmy? — W mojej krótkofalówce rozlegały się głośnie trzaski i słowa Madame rozróżniałam z trudem.

— Nie wiem... Sama się tego obawiam...

Wzięłam komórkę.

— Tu Nikita. Chcemy się dostać do domu.

Szef ochrony teścia miał wesoły młody głos.

— Tylko ostrożnie, nie wystraszcicie ich. Przestroiliśmy krótkofalówki na waszą częstotliwość. Czekam na wiadomość.

Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności weszliśmy z Waligórą do domu. Przez okno przyszłego salonu. Madame została na straży przy wjeździe do osady.

Skradając się na palcach, obeszyliśmy wszystkie pomieszczenia.

Żałowałam, że nie mam latarki. Podobno mają ją niektóre modele komórek.

W domu nikogo nie było. Na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdziłam pudełko. Torba zniknęła.

Walkie-talkie zatrzeszczało tak wyraziście, jakby było człowiekiem, któremu przydarzyło się coś złego.

— Odjeżdżają! — przenikliwie krzyknęła Madame.

— Kto? — nie rozumiałam.

— Said! Mercedesem! I jeszcze ktoś! — wrzeszczała Madame.

Po raz pierwszy usłyszałam krzyzącą Madame. Wyobraziłam sobie, jak chowa się za drzewem przy bramie i wydziera do krótkofalówki, jednocześnie poprawiając fryzurę.

— Co mam robić? — jej krzyk przeszedł w pisk.

Z hałasem zbiegałyśmy po schodach.

— Zatrzymaj ich! — poprosiłam, z trudem łapiąc oddech.

— Ale jak? — w głosie Madame pobrzmiwała rozpacz ostatniego człowieka na ziemi.

Co sił w nogach gnałam z Waligórą w kierunku bramy.

W tym samym kierunku zmierzała Erudytką i ochrona teścia. Słyszeli nasze wrzaski przez krótkofalówki.

Z szeroko otwartymi oczami Madame jak urzeczona patrzyła na powoli zbliżającego się do niej mercedesa. Widziała go już wcześniej. Stał na podwórku błękitnej willi. Prawie wykończonej. Jedyne ogrodzenie było jeszcze nieotynkowane i nie miało bramy.

Madame zdecydowanym ruchem rzuciła walkietalkie w krzaki.

Postąpiła dwa kroki w stronę drogi.

Wystawiła nogę.

Machnęła głową. Długie kasztanowe włosy opadały jej na szyję i ramiona.

Uśmiechnęła się. I uniosła rękę.

Akurat kiedy mercedes znalazł się przy niej.

Samochód ją minął.

Madame przeciągnęła się z kocią gracją. Obejrzała się przez ramię.

Mercedes się zatrzymał. Jak gdyby w jednej chwili wszystko w nim przestało działać. Zamarł.

Madame powoli szła w jego kierunku.

Z zapartym tchem czekaliśmy z drugiej strony bramy.

Nic innego nam nie pozostawało.

Otworzyły się tylne drzwi.

Nasze natarcie będą wspominać jak sabat czarownic. Krzyczałyśmy, przystawiałyśmy im pistolety do szyi, wyciągałyśmy ich z samochodu.

Wszystkie wypowiedane przez nich słowa były rodzaju żeńskiego. I nieprzyzwoite.

Said od razu mnie rozpoznał.

A ja rozpoznałam swojego mercedesa. Był teraz czarny, a nie srebrzysty. Ale i tak go poznałam. Każde pęknięcie na skórzanej tapicerce fotela kierowcy znałam jak własne zmarszczki.

Said leżał na ziemi.

— Szybko! — darłam się jak milicjanci na filmach.
— Gdzie on jest?! Mów! — Wsadziłam mu w usta lufę pistoletu. — Gdzie chłopak?!

Z pistoletem w ustach miał niejakie problemy z mówieniem — mógł tylko bełkotać i kręcić głową. Uświadomiłam to sobie jednak znacznie później.

Waligóra i Madame rzuciły się do błękitnego domu. Był pusty. Ale paliły się w nim wszystkie światła, jakby szykował się na przyjęcie gości.

Kochanka teścia znalazłyśmy w przybudówce, z tyłu. Leżał związany, z kneblem w ustach. Po jego policzkach płynęły łzy.

23

Rozpoczęłam dzień od sprzątanía. A właściwie od dwugodzinnych poszukiwań, gdzie u mnie w domu przechowuje się środki czyszczące. Niczego nie znalazłam.

Wsiadłam w samochód, pojechałam do „Siódmego Kontynentu”. Nie miałam pojęcia, ile środków czyszczących jest w sprzedaży! Nakupiłam ich za dwieście dolarów.

Ścierając kurze w całym mieszkaniu, stwierdziłam, że praca fizyczna jednak też jest pracą.

Kiedy ściągałam szczotką pajęczynę z sufitu, podśpiewywałam, żeby sobie dodać animuszu: „Pucu, pucu, chlastu, chlastu, nie mam rączek jedenastu...”. Chociaż akurat nie robiłam prania.

Poddałam się przy podłogach. Zadzwoiłam do agencji pośrednictwa pracy. Nakrzyczałam na nich, dlatego od miesiąca nie przysyłają mi gosposi. Mętnie się usprawiedliwiali, że dzwonili do mnie, ale ja nie przejawiałam zainteresowania. W ostrej formie zwróciłam im uwagę, że moje zainteresowania dotyczą innych dziedzin życia i że jutro chcę mieć gosposię. Obiecali mi gosposię za trzy dni.

Ze złości wzięłam się za mycie podłóg. Kiedy zadzwonił Stas, właśnie to mu powiedziałam: „Odzwoń, jak skończę myć podłogi”. Bez cienia chępliwości. I po namyśle dodałam: „Musisz zaczekać, mały”.

Byłam wykończona. Pocieszałam się tylko, że tego dnia na pewno schudłam. Ze trzy kilo.

Nałożyłam na twarz maseczkę Shiseido i zgodnie z obietnicą wykręciłam numer Stasa.

— Nie spałem całą noc — oznajmił.

— Bawiłeś się? — spytałam nie bez zawiści.

— Tak. W marzeniach. Na łące. Razem z tobą. Trzymałaś mnie za rękę.

Westchnęłam.

— Nikita, muszę cię zobaczyć.

Znowu westchnęłam. Kiedy już nawet odchodzi ochota na prowadzenie jakiegó gry — to koniec. Związek nie ma przyszłości.

Stas wrzasnął:

— Muszę cię zobaczyć!

— Oszalałeś? Nie krzycz na mnie.

— Tak, oszalałem! Przez ciebie!

Pomyślałam, że Stas ma atak hysterii. Odłożyłam słuchawkę. Zadzwoił sekundę później.

— Przepraszam — powiedział zupełnie spokojnie.
— Nie szkodzi. No, co u ciebie?
— Będę kręcić reportaż. Na komisariacie. O młodocianych prostytutkach.
— To ciekawe. Powiedziałabym nawet, że pasjonujące.
— Tak. Kiedy się spotkamy?
— Zadzwoń do ciebie, mały. Dobrze?
— Dobrze.
Myślałam, że odłoży słuchawkę, ale nie usłyszałam sygnału.
— Na razie, Stas!
— Na razie. Całuję cię. I wiesz co?
— Co?
— Pomyślałem, że jeśli nie odłożysz słuchawki, to znaczy, że mnie kochasz. Nie odłożyłaś.
— Fajnie — powiedziałam i wcisnęłam czerwony przycisk telefonu.
Następnego dnia miał przyjechać Roma.
Teść przysłał do „Edenu” swoją agencję ochrony.
Nie wezwał milicji. Chciał uniknąć rozgłosu.
I przyjechał sam. Cały na liliowo.
Jego chłopak miał na imię Artiom. Jak mój syn.
Bałam się, że będę świadkiem jakiejś sceny z życia mniejszości seksualnej.
Teść zachowywał się z godnością. Trzeba przyznać, że Artiom również.
Dokoła było pełno ludzi. Teść mocno objął Artioma i zaprowadził go do samochodu.
I tylko oczy.

Oczy nie umieją czynić zadość przyjętym normom. Nie przestrzegają etykiety. Nie muszą zachowywać się przyzwoicie.

Oczy teścia z nienawiścią patrzyły na Saida. I z zakłopotaniem — na korpulentnego ciemnowłosego Azjatę. Który wcześniej był za kierownicą mercedesa. Mojego.

Azjata siedział teraz na ziemi w kajdankach, opierając się o samochód.

Mój.

Jego koszula porwała się albo rozpięła i znad spodni zwisał goły brzuch. Jak ciasto, które wyrasta ponad brzeg miski. Moja babcia piekła placki drożdżowe.

Nie odrywał oczu od teścia.

Czarnych, lekko skośnych.

Twarz teścia się zmieniała.

Odmłodził o piętnaście lat.

Albo w ciągu tych kilku chwil się postarzał.

Nie byli sobie obcy.

Przy bramie „Edenu” nikt mi niczego nie wyjaśnił.

Zadzwoiła Katia.

Opowiedziałam jej o zdarzeniach minionej nocy. Film sensacyjny z pościgiem. I z happy endem.

Katia reagowała ospale.

— Nie wypuszczają Antona — powiedziała mi z gruszki, ni z pietruszki, kiedy zaczęłam snuć przypuszczenia na temat dalszych losów Saida.

Zajęta swoimi sprawami, zupełnie zapomniałam o Antonie.

Ludzie są najpierw egoistami, a dopiero potem — przyjaciółmi.

— Jak to nie wypuszczają? Przecież adwokat powiedział...

— Nie wiem. Mówi, że wyniknęły jakieś trudności.

— To co robić, Katka?

— Nie wiem.

Siedziałam całkowicie rozbita. Anton na milicji. Martwy głos Katii.

Zbyt wiele zważyło się na mnie w ostatnim czasie.

Zadzwoił Roma.

Ustaliliśmy, że spotkamy się następnego dnia.

Stęskniłam się za Artiomem.

Chcę dostać z powrotem mojego syna.

Następnego ranka byłam już sławna.

Obudził mnie telefon dziennikarki z „7 Dni”. Chciała jak najszybciej przeprowadzić ze mną wywiad. O mnie. A właściwie o mojej agencji.

Ja, Roma i dziennikarka spotkaliśmy się w pizzerii w Pasażu Smoleńskim.

Niech Roma wie, jak daleko zaszłam.

Dziennikarka była uśmiechnięta, energiczna, miała długie ręce i bardzo długi nos. Nawet jeśli próbowała walczyć z nadwagą, to bezskutecznie. Jej włosy były ufarbowane na białe, zapewne dlatego, że białe, jak mówią, ożywia. Dawno przekroczyła czterdziestkę. Przyszła w krótkiej spódnicy.

Większość pytań zadawała Romie. Miałam ochotę kopnąć ją pod stołem. Roma uśmiechał się i zerkał na zegarek.

— A nie boi się pan swojej żony? — spytała.
— Z jej bojowymi dziewczętami? I bojowym charakterem?

— Boję się. Ale lepiej niech mi pani powie, co mam odpowiedzieć, żeby to się spodobało czytelnikom.

Poruszyła nogami, najwyraźniej po to, żeby spódnica trochę podjechała do góry.

— Czytelnicy z przyjemnością przeczytają o tym, jak bardzo pan ją kocha i że w domu jest zupełnie inna — staje się dobrą gospodynią, czułą matką i kochającą żoną.

Roma uśmiechnął się wrednie.

— Trafiła pani w sedno. Sam bym tego lepiej nie ujął.

Miałam głupią minę. Zamówiłam kieliszek wina.

Dziennikarka odjechała. Przed każdym z nas leżała na stole jej wizytówka.

Zadzwońska Katia. Poprosiła, żebym skontaktowała się z adwokatem Antona.

— Nie rozumiem jego aluzji, Nikita. Może chce więcej pieniędzy? To dlaczego nie powie tego wprost?

— Zadzwoń do niego, nie martw się. — Myślałam, jak teraz wyglądam. Dla Romy wyglądam na serdeczną i troskliwą przyjaciółkę. Świetnie. —

Wybadam, jaka jest sytuacja, i zrobię, co w mojej mocy. Wszystko będzie dobrze, jestem pewna.

Roma nie spytał, o co chodzi. Sama mu opowiedziałam.

Sceptycznie wrzucił ramionami. Jakby ktoś z moich przyjaciół najadł się suszonych śliwek.

Staralam się nie przywiązywać do tego nadmiernej wagi. Roma nigdy nie lubił mojej paczki. No i dobrze.

Najważniejsze, że tu siedzi. Roma, mój mąż. Błękitne oczy o drwiącym wyrazie, wieczny półuśmiech. Starannie dobrany krawat i nienagannie wyprasowana koszula. Leniwa nonszalancja maminsynka i wypracowana obojętność pewnego siebie mężczyzny.

Aż trudno sobie wyobrazić, że kiedyś przestał całą noc pod moim oknem.

Kelnerka sprzątnęła talerze i postawiła przed Romą białą filiżankę z gorącym cappuccino.

Zwróciłam uwagę na kluczyki, które Roma z przyzwyczajenia położył na stole.

— Masz nowy samochód? — spytałam, jakby nie było nic dziwnego w fakcie, że mój mąż ma nowy samochód, a ja nie dowiedziałam się o tym jako pierwsza.

— Tak. — Roma uśmiechnął się z satysfakcją. — Maserati.

Poczułam się jak dziewczyna, do której dosiadł się milioner. Obcy i piękny. Muszę coś zrobić. Coś takiego, żeby Roma zrozumiał: nie jest żadnym milionerem, a ja nie jestem pierwszą lepszą dziewczyną. On jest Romą, a ja jego żoną. Uwielbianą żoną. Która może robić, co jej się podoba. Na przykład powiedzieć: „Maserati? To świetnie, tylko że ja będę nim jeździć. Dobrze?”.

— Nawiasem mówiąc, zwiększyłem ci limit na karcie.

Roma oznajmił to mimochodem, próbując cappuccino.

„Popisuje się — pomyślałam. — W końcu się wzbogacił i teraz się popisuje”.

— Wróć do mnie, Roma — poprosiłam żałośnie.

— Artiom dzwonił dziś do ciebie?

— Daj mi jeszcze jedną szansę.

Roma nie odrywał wzroku od swojej kawy.

— Nie mogę — powiedział, jakby się czegoś wystraszył.

— Dlaczego?

— Jestem zmęczony, Olu. — Patrzył na filiżankę w takim skupieniu, jakby zamierzał wróżyć z fusów. — Uzbierało się tego przez kilka lat. Myślisz, że byłem idiotą? Te twoje wyjazdy do Paryża nie wiadomo z kim, to nocowanie u przyjaciółek. Sama wszystko zabiłaś. Wszystko, co do ciebie czułem.

W jego głosie nie było bólu. Ani poczucia krzywdy. Czy pretensji. Nie było nic, co domagałoby się mojej odpowiedzi. Usprawiedliwień.

Tylko obojętność.

Może i zabiłam. Ale skoro kiedyś się we mnie zakochał, czemu nie miałyby się to powtórzyć?

Uśmiechnęłam się. Uśmiechem kobiety, która zdejmuje bieliznę.

Mogłabym posłużyć się starym wypróbowanym sposobem — uwieść go i zająć w ciąży.

— A co powiesz na pożegnalny seks? — szepnęłam mu na ucho. — Z seksem zawsze było u nas wszystko w porządku.

Delikatnie dotknęłam wargami jego szyi.

Roma odwrócił głowę.

— Przestań.

Nabierałam rozpędu. Czułam się wcieleniem zmysłowości i kobiecości.

— Pamiętasz, jak nam było dobrze? — spytałam, jakbym grała w filmie hollywoodzkim.

— Nikita, ja cię nie chcę.

Nikt nigdy mi tego nie powiedział. Dlatego nie od razu zrozumiałam, o co chodzi. Nadal się uśmiechałam.

Widząc to, Roma postanowił udzielić mi szczególnych wyjaśnień.

— Nieprzyjemnie mi nawet myśleć, że mogłabyś mnie objąć. Przykro mi.

Wzruszyłam ramionami tak, jakbym spytała: „Która godzina?”, a on nie miał zegarka. Albo spytała o pogodę. Albo czy dodać do sałatki cebuli.

Nie patrzyłam na niego, kiedy wychodził.

Do nikogo nie dzwoniłam. Nikt nie dzwonił do mnie.

Bałam się wyjść z pizzerii. Zdawało mi się, że wychodząc za próg, przekroczę Rubikon. Lecz wcale nie chciałam palić za sobą mostów.

Sama wypijałam butelkę martini. Z lodem. Czułam się taka nieszczęśliwa, że aż mi się to spodobało.

Z przyjemnością wspominałam te chwile naszego małżeńskiego życia, kiedy oszukiwałam i poniżałam Romę. Dzisiejsze jego słowa były tylko żalną zemstą.

Zapomniałam włączyć światła i zatrzymała mnie drogówka.

Dmuchałam w te ich rurki. Milicjant zażądał pięciuset dolarów.

Gorzko płakałam. Opowiedziałam mu, że porzucił mnie mąż.

Było mi potwornie żal siebie, swojego życia i pięćset dolarów. I milicjanta. Jego też rzuciła żona. Spuścił mi do dwustu. Czułam satysfakcję.

Sierżant nazywał się Chochłow.

To było pierwsze, co przypomniało mi się po przebudzeniu. Później przypominałam sobie całą resztę.

Pewnie często postępowałabym inaczej, gdyby mi zawczasu wyjaśniono, że życie jest jak pole minowe: prędzej czy później wybucha. Najważniejsza jest sztuka omijania min. I czerpania przyjemności.

Chociaż może i dobrze, że mi tego nie wyjaśniono.

Czasami zastanawiam się: gdyby Ewa nie była z Adamem, tylko z innym mężczyzną, czy też skosztowałby jabłka?

Zadzwonił telefon.

Miałam wrażenie, że tego ranka dzwonił bez przerwy. Jak ogromny spiżowy dzwon, którego sercem była moja głowa.

Przyjaciółki. Pocieszały mnie i uspokajały. Mówiły, że jeszcze wszystko się ułoży.

Nie odebrałam telefonu od Stasa.

Sięgnęłam po elektryczną szczoteczkę do zębów Ultrasonex i pastę Colgate. Tubka nie miała nakrętki, dlatego jak zwykle wzięłam pałeczkę kosmetyczną, żeby wepchnąć zaschniętą pastę do środka. Jak zwykle obiecałam sobie zakręcać tubkę. Szorowałam zęby. Równo trzy minuty. Nakrętki nie znalazłam. Kiedy

przyślą mi gosposię, będzie miał kto zakręcać moją pastę.

Szkoda, że nie ma Antona. Chętnie wsparłabym się na jego ramieniu i wysłuchała wyrazów współczucia. Ironicznie szczerych.

Zadzwoiłam do adwokata. Powiedział, że to niezupełnie czysta sprawa. A czy historie z narkotykami mogą być „zupełnie czyste”? Oznajmił też, że wysoko postawionym ludziom zależy na tym, żeby posadzić Antona. Bzdura. Bez owijania w bawełnę spytałam go o pieniądze. Nie wahając się ani chwili, podniósł kwotę honorarium o pięćdziesiąt procent.

Nie odebrałam telefonu od Stasa.

Andżela długo opowiadała mi, jaki wspaniały jest Denis. Tak jakbym akurat tego chciała teraz wysłuchiwać.

Znacznie przyjemniej byłoby się dowiedzieć, że wszyscy wokół są niekochani i porzuceni.

Zadzwoiłam do teściowej. Obiecałam ich odwiedzić. Wybierają się razem w romantyczną podróż do Finlandii. Jest tam hotel cały z lodu. Meble i łóżka — wszystko. Na łóżkach leży pościel elektryczna. A z podłogi unosi się gorące powietrze. Ale nawet zastawa jest lodowa. Bardzo nastrojowo. Zapewne uznali, że w tym lodowym otoczeniu ich relacje będą się wydawały ciepłe. Swoją drogą, co się dzieje z kochankiem teścia?

Nie odebrałam telefonu od Stasa.

Nie miałam nic do roboty. Zająłam się więc jedyną rzeczą, która zaprzętała mnie od rana: czekaniem na telefon od Romy.

Może wszystko przemyślał i teraz żałuje?

Powoli kartkowałam albumy ze zdjęciami. Zdjęcia są niczym więcej, jak tylko niemym wyrzutem. Solą na rany. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej je oglądała. Nie będę się już fotografować.

Wolałabym głodować. Albo umierać z pragnienia.

Wolałabym mieć źle ufarbowane włosy albo cała się pokryć cellulitem. Aż po koniuszki uszu.

Nie miałam już sił czekać na telefon od Romy.

Pragnęłam zmienić się w psa i wyć.

Pragnęłam oszaleć, żeby móc krzyczeć i walić głową w ścianę.

Wyłączyłam telefon.

Po pięciu minutach poczułam się lepiej.

Na pewno do mnie dzwoni. Co pięć minut. A ja nie odbieram.

Poweselałam. Spokojnie zjadłam śniadanie.

Dobrze to wymyśliłam. Dzwon sobie, dzwoń.

Wszystko się ułoży. Może pójść do cerkwi? Zapalić świeczkę?

Pojechałam do cerkwi, w której został ochrzczony Artiom. Na Nikolinej Górze. Roztacza się stamtąd piękny widok.

Akurat trwała liturgia. Było tylu ludzi, że ledwie się przecisnęłam ze świecami.

Co oni wszyscy tu robią? Może po prostu chcą na kogoś przerzucić odpowiedzialność za swój los? Chór złożony z pięciu mężczyzn w długich czarnych riasach pięknie wtórował batiuszce. Stałam prawie przy samym ołtarzu.

Ludzie stojący dalej przekazywali świeczki, żeby inni je zapalili.

Ja też podawałam czyjeś świece.

Wszystko to przypominało mi stół do gry w ruletkę. Kiedy nie można się przepchnąć przez tłum, prosi się ludzi, żeby położyli żetony. „Proszę postawić na czerwone”. I, po krótkim namyśle: „Jeszcze dwa na zero”.

Miałam wrażenie, że lada chwila chór zaśpiewa „Koniec zakładów”. Przy czym jakoś dźwięku będzie Dolby Digital.

Uczciwie odstałam całą liturgię: „Panie, przebacz mi moje grzechy. Nie wiem, co czynię. Przebacz Artiomowi, mojej mamie, teściowi i teściowej. I niech znowu będą razem. I niech Artiom będzie zdrowy. A Roma do mnie wróci. I mnie kocha”.

Nie wiedziałam, czy na końcu trzeba dodać: „Amen”.

Kiedy wyszłam z cerkwi, czułam się tak, jakbym bardzo długo płakała. Może te łzy przyniosą mi spokój?

Dotknęłam wyłączzonego telefonu. Dzwonź sobie, dzwoń.

Ubrany w jedwabny szlafrok teść siedział rozparty na kanapie, tonąc w poduszkach. Wyglądał jak szach perski.

Teściowa miotła się po pokojach, wyciągając rzeczy z niezliczonych komód i wkładając je do walizki. Louis Vuitton. Było w tym coś swojskiego i rodzinnego. Nie mam na myśli Vuittona.

Naprawdę wyjeżdżali. We dwoje. Co wyciągnęłam z nich, zachowując należytą ostrożność w zadawaniu pytań.

Teś był zmęczony. Potrzebował wypoczynku.

Dlaczego ona wiezie go do lodowego pałacu?

Żeby nie zdiadział do reszty? Nie. Przyjrzałam się jej. Frygała po domu jak młoda dziewczyna. Jej oczy błyszczały. Co chwila pytała męża, jaką mu spakować koszulę, jaki sweter, a jakie dżinsy.

— Dlaczego jedzicie akurat do lodowego pałacu?

— zadałam nurtujące mnie pytanie.

Teściowa zatrzymała się na środku salonu z futerałem na kamerę w rękach. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Potrzebuje odmiany. Chyba to oczywiste?

Spojrzała na męża. Ze szczerą troską.

Mąż skinął głową z zadowoleniem. Poruszył się w stosie poduszek.

Pomyślałam, że teściowa lada chwila podejdzie do niego i zaproponuje mu podnózek. Albo zrobi coś w tym rodzaju.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Postanowiła się o niego zatroszczyć.

Moja teściowa na stare lata postanowiła się o kogoś zatroszczyć!

A przecież mają wnuka.

— Chcę, żeby Artiom wrócił z Anglii — powiedziałam.

Nareszcie mogłam w tym domu rozpocząć zdanie od: „chcę”.

Nareszcie nikt w odpowiedzi nie zaczął pobłaźliwie ironizować.

— Naturalnie! — wesoło zgodziła się babcia Artioma. — Trzeba sprowadzić dziecko z powrotem! Ostatecznie ma matkę!

Bałam się poruszyć.

— I babcię! — ciągnęła. Znowu spojrzała na męża. — I dziadka! Muszę porozmawiać o tym z Romą.

— Sam z nim porozmawiam — podchwycił teść. A jego żona posłusznie kiwnęła głową.

Pomogłam jej odnieść do prasowni całą górę męskich koszul.

— Aż przyjemnie na was patrzeć — oznajmiłam, z przyzwyczajenia uśmiechając się służalczo. — Tak bardzo do siebie pasujecie!

Popatrzyła na mnie groźnie.

— Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziała wieloznacznie. — Dobrymi, starymi przyjaciółmi.

— No, jeszcze nie takimi starymi.

— Dla ciebie też mam dużo ciepła, Nikita.

Uśmiechałyśmy się do siebie tak serdecznie, że przypominało to scenkę z bożonarodzeniowego kina familijnego.

Teść zaproponował mi pieniądze.

— Muszę ci się jakoś odwdzięczyć! — oświadczył. — Gdyby nie ty...

— Coś wymyślę — obiecałam.

Powiedział mi o Azjacie — Uzbeku.

Znał jego ojca. W zamierzczłych czasach. Kiedy sam miał kilka fabryk tekstylnych pod Moskwą.

W latach osiemdziesiątych teść był podziemnym milionerem. Naziemnych wtedy nie było.

Wspominał o tym z rozmarzonym uśmiechem.

Zauważyłam, że wszyscy biznesmeni tak się uśmiechają, kiedy wspominają swoją przeszłość.

Jakby to, do czego doszli, było nieważne i nudne. Za to kiedyś...

— A co z ojcem Uzbeka? — spytałam.

Uśmiech zniknął. Jak starty gąbką ze szkolnej tablicy.

— To była głośna sprawa. Z bawełną. Krótko mówiąc, jego ojca rozstrzelali. Nie musisz znać szczegółów.

Dwie poduszki zamieniły się miejscami. Szach zakończył audyencję.

W tygodniku „7 Dni” ukazał się o mnie artykuł. Ze zdjęciami. Na dwie strony. Byłam z siebie dumna.

Oglądałyśmy z Andżelą zdjęcia i czytałyśmy sobie nawzajem urywki tekstu w sali kominkowej restauracji „La Parisienne”. Były tu wysokie stropy ze stiukami i wszystko robiło znakomite wrażenie. Oprócz kominka.

Z biura zadzwoniła sekretarka. Poprosiła, żeby zatrudnić jej kogoś do pomocy. Po publikacji artykułu nie nadążała z przyjmowaniem zamówień na moje dziewczęta.

Piłyśmy Dom Perignon. Ja stawiałam. Andżela zamówiła stek po amerykańsku, a ja sałatę z krabami.

— Miałaś szczęście z tym porwaniem — powiedziała Andżela, wrzucając lód do kieliszka.

— Z jednej strony, tak.

— Ze wszystkich stron — niefrasobliwie zapewniła mnie Andżela. — Zobacz, ile masz zamówień! I jesteś sławna.

— Tylko wiesz, wydaje mi się, że wszystkich oszukuję.

— Dlaczego? — zdziwiła się moja przyjaciółka, zerkając na tygodnik. Jakby mógł stanowić dowód, że się mylę.

— Dlatego że dla siebie, jakby co, zatrudniłabym profesjonalną ochronę. Rozumiesz? Po prostu cię tam nie było. Nie słyszałaś tych telefonów, nie widziałaś, co się wyrabiało...

— Wyobrażam sobie, że to był koszmar...

— Tobie też bym przysłała zawodowców...

Andżela szybko splunęła przez lewe ramię i postukała w stół.

— A żebyś dostała pypcia na języku, Nikita. I tak ciągle się trzęsę, jak jeżdżę tym cayenne.

Przyjechała Katia. Wychudła i zbladła. Andżela uprzedziła mnie zawczasu, że nie można przy niej mówić o Antonie. Dobrze to rozumiałam. Dwa tygodnie wcześniej poprosiłam je, żeby nie wspominać przy mnie o koksie. I nie zażywać go w mojej obecności.

Różnica polegała na tym, że Katia na dźwięk imienia Antona od razu zaczynała płakać.

— Gratulacje — powiedziała Katia, wskazując głową tygodnik.

Kelner postawił na stole trzeci kieliszek.

— Dzięki.

Trąciłyśmy się kieliszkami.

— Żeby wszystko się ułożyło — wygłosiłam toast.

— A jak Roma? — spytała Katia bez cienia zainteresowania.

— Nie wiem. Pewnie do mnie wydzwania.

— A ty? — Katia okazała szczerze zdziwienie.

A ja byłam wesoła i zadowolona. Miałam wyłączony telefon. Ludzka wyobraźnia nie zna granic. Nieszczęścia zdarzają się nie w przestrzeni, lecz w świadomości.

Przy wyłączonym telefonie przestają istnieć.

— Nikita nie chce już prowadzić swojej agencji — wyjaśniła Andżela Katii. Najwyraźniej doszła do wniosku, że ten temat będzie bardziej na miejscu niż kosmetyki, ciuchy, alkohol i nasi wielbiciele.

— To wielka odpowiedzialność. Która cała spoczywa na mnie. A ja nie chcę być za nic odpowiedzialna. Tym bardziej za bezpieczeństwo ludzi.

Katia wzruszyła ramionami od niechcenia.

— To tylko firma.

— Nie. „Tylko firma” zajmuje się podpaskami, majonezem i ropą. A tu chodzi o życie!

Dziwiłam się, że nie potrafią mnie zrozumieć.

— Katia, tylko spokojnie. — Andżela patrzyła na kogoś za moimi plecami, przy wejściu. — Śnieżanna przyjechała.

Miałam wrażenie, że Katia się ucieszyła. Śnieżanna była pijana. Sama podeszła do naszego stolika.

— Wiesz, co się stało z twoim kochankiem? — spytała Katia.

Śnieżanna z wściekłością machnęła ręką:

— Rzucił mnie.

— A gdzie twoja ochrona? — zainteresowała się Andżela.

— Przecież mówię, że mnie rzucił. Co pijecie?

— Skinęła na kelnera. — Whisky z colą, tylko szybko. Nie ma ochrony, nie ma Brzuska, niczego nie ma!

Wszystkie myślałyśmy o tym samym: Brzuszek wybrał zły moment na porzucenie Śnieżanny. W końcu przespała się z Antonem, może mogłaby mu jakoś pomóc...

— Wznieśmy toast! — Śnieżanna wstała niezgrabnie i o mały włos nie straciła talerza ze stołu.

— Za kobiety! Za to, że wszyscy jak leci wycierają sobie o nas nogi, a my i tak wspaniale wyglądamy!

Napiłam się.

— A tak przy okazji, gdzie jest wasz Anton? — Śnieżanna rozejrzała się po pijacku.

Spojrzenie Katii aż kipiało od nienawiści.

— W więzieniu — powiedziała.

Śnieżanna wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Słuchaj, chyba masz już dosyć — poradziła jej Andżela ze wstrętem. — Zamów sobie kawę.

— Kelner! — krzyknęła Śnieżanna. — Kawę z koniakiem! Najdroższym! Double! — Znowu zwróciła się do Katii. — A co on robi w więzieniu? Jeśli to nie był żart?

— Złapali go z narkotykami — odpowiedziałam.

— To znaczy podrzucili mu. Bo nie miał. A teraz adwokat nie może go wyciągnąć.

Śnieżanna patrzyła na mnie zamarta w bezruchu. Przez kilka chwil. Gdyby nie jej otwarte oczy, pomyślałabym, że zasnęła.

— Dokładnie — potwierdziła Andżela.

— Dziewczyny — wyszeptała Śnieżanna — to nie może być prawda...

Była tak wstrząśnięta, że wszystkie spojrzałyśmy na nią z wdzięcznością.

Jej oczy się zaszklily. Przeniosła wzrok na Katię.

— Co? — spytała Katia ruchem warg.

— Wybaczcie mi. — Okazało się, że tusz Śnieżanny nie jest wodoodporny, bo rozmazał się po całej twarzy. — Wybaczcie...

— Ale co? — zniecierpliwiła się Andżela. — Mów normalnie!

— Nie wiedziałam, nie wierzyłam mu... Powiedział, że jak się z kimś prześpię, to mnie nic nie zrobi... ale mojego kochanka... zniszczy... Później o tym zapomniałam, myślałam, że tylko tak mówił...

— Suka! — Katia rzuciła się na Śnieżannę przez stół. — Ale z ciebie suka!

Kelnerzy pośpiesznie zamknęli drzwi sali. Od zewnątrz.

— Nie wiedziałam... — ryczała Śnieżanna, a my w tym czasie odciągałyśmy od niej Katię — przysięgam... nie wiedziałam...

Katia groziła, że ją zastrzeli, udusi i utopi. Obrzuciła ją stekiem wyzwisk, a Śnieżanna tylko pokornie kiwała głową. Wyglądała jak osaczone zwierzątko. Drogie zwierzątko o luksusowym futerku, które właśnie z niego zdarto. Pozostawiając śliskie, drżące ciało.

Po pewnym czasie nie miałyśmy już sił cokolwiek mówić. Piłyśmy whisky. W milczeniu. Bez trącania się kieliszkami, jak na stypie. Zateśniłam za Romą. Włączyłam telefon.

Nagły dzwonek był dla mnie jak sygnał z innej planety.

Stas. Odebrałam.

Muszę wszystko wyjaśnić temu chłopcu. Niech kręci swoje filmy. I reportaże. Niech zakochuje się w charakteryzatorkach i w asystentkach reżysera. Byłe trzymał się z dala od nas. Wyrabiamy niestworzone rzeczy, ale one nie mają nic wspólnego z twórczością.

Było to dla mnie tak oczywiste, że po „halo” dodałam tylko:

— Znajdź sobie kogoś. I daj mi spokój.

Jakby nie usłyszał.

— Jestem na milicji. Robię reportaż. A ty gdzie jesteś?

Może jest tam, gdzie nasz Anton?

— W „La Parisienne” — odpowiedziałam odruchowo.

— Stęskniłem się.

— Zapomnij o mnie. Błagam cię! — Naprawdę zaczął działać mi na nerwy. — Nie dzwoń więcej! Rozumiesz? Wszystko skończone!

Rzuciłam telefon na stół. Pokiwałam głową. Tylko mi Stasa brakowało, z jego miłością.

Zamknięto restaurację. Dla nas, jako dla stałych klientek, pozostawiono dwóch kelnerów, a reszta obsługi rozeszła się do domów.

Wypiłyśmy tyle whisky, że wszystkie plany, które snułyśmy, wydawały nam się całkiem realne.

Podjęłyśmy decyzję, że zadzwonię do Brzuska. Podczas „Smaragdowego wieczoru” tańczył ze mną i prawił mi komplementy. A teraz w dodatku został sam.

Byłyśmy pewne, że mi nie odmówi. Śnieżanna w ramach dzielenia się doświadczeniami opowiadała, co Brzuszek lubi i w jaki sposób można zrobić na nim wrażenie.

Andżela przypomniła sobie historię swojej znajomej Wiery. Została sekretarką prezesa zarządu banku. Wiedziała, że szef woli blondynki. Była brunetką. Na interview przyszła w peruce. Prezes zarządu zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Przez cały miesiąc bała się zdjąć perukę. Skorzystała z rady przyjaciółki. Pewnego dnia pojawiła się w pracy zupełnie łyśa. Nie zwolnili jej. Tylko potem długo się dziwili, dlaczego odrastające włosy mają barwę kasztanową.

Była trzecia w nocy. Grał blues.

Przyjechał Stas.

Minął drzemiących kelnerów i stanął kilka kroków od naszego stolika.

— Stas! Co za bezceremonialność! — oświadczyłam bełkotliwie.

— Wyjdiesz za mnie za mąż? — w jego pytaniu pobrzmiwała groźba.

Odpowiedzią był histeryczny śmiech Śnieżanny. Do niej dołączyła Katia. Potem Andżela i ja. Śmiałyśmy się tak wesoło, jakbyśmy siedziały na widowni cyrku, a Stas był najlepszym z klaunów.

Nie przeszkadzało nam, że przyjechał. Przeciwnie — cieszyłyśmy się. I nie przestawałyśmy się śmiać.

— Za mąż — wydusiła z siebie któraś z nas, wywołując tym magicznym wyrażeniem kolejne wybuchy rechotu.

— To może ja wyjdę? — Katia skręcała się ze śmiechu.

— Ja też! — podchwyciła Śnieżanna.

— Wszystkie wyjdziemy! Co ty na to? — Andżela ledwie była w stanie artykułować słowa.

— Dasz radę? — zainteresowała się Katia. Prawie spod stołu.

— Da radę, da — wieloznacznie powiedziała Śnieżanna, z trudem łapiąc oddech.

— A może od razu — chichotała Andżela — się poženimy! Póki mój nie przyjechał!

— A prezenty? — przypomniała sobie Katia. — Co nam dasz w prezencie ślubnym? Po kamerze?

— Po aparacie fotograficznym! — Andżela udała, że robi mi zdjęcie.

Sztucznie uśmiechnęłam się „do obiektywu”.

Zaczęłyśmy „pstrykać sobie zdjęcia”, przyjmując różne pozy.

Nawet nie zauważyłam, kiedy Stas wyszedł.

Miałam okropnego kaca.

Chociaż nie bolała mnie głowa.

Wypiłam najpierw coca-colę, potem kefir.

Chodziłam po pustym mieszkaniu i dobrze znane przedmioty wydawały mi się obce i wrogie.

Czasami na wakacjach bardzo się tęskni za domem.

Tak się czułam.

Tyle że nie byłam na wakacjach. Ale w jakimś koszmarze.

Łęk. Bez twarzy, bez ciała. Bez nazwy. Zimny i kłujący.

Nie tkwił w mojej głowie ani w świadomości. Tylko w sercu. Które przestało bić. Raczej pulsowało. Chciałam wyrzucić je sobie z piersi, żeby uwolnić się od lęku. I wyrzucić. Jak najdalej.

Innego wyjścia nie widziałam.

Próbowałam rozważyć wszystko na spokojnie.

Czego się boję? Co się może stać?

Mózg posłusznie podsunął mi odpowiedź.

Artiom. Może to jemu przydarzy się coś złego?

Ze strachu ścierpły mi opuszki palców.

Spokój, który przyniosła mi telefoniczna rozmowa z synem, prysnął, kiedy tylko przestałam słyszeć jego głos.

Odwoływałam się do własnego rozsądku. Próbowałam sobie wyjaśnić, że to tylko przejściowy kryzys. Wywołany przede wszystkim odstawieniem koksu. Ogromnym wysiłkiem woli przestałam snifować. W takich wypadkach depresja jest nieunikniona.

Nie pomogło. Strach o Artiona był jak powódź. Bezlitośnie wszystko niszczył i nie dało się z nim walczyć. Trwał bez końca. Ohydny, lepki, zimny strach. Czułam jego zapach. Od którego robiło mi się niedobrze.

Za to myśli przypominały konwulsje: pojawiały się nagle, uciskały mi mózg, sprawiając niemal fizyczny ból, i równie niespodziewanie znikwały. Żeby po pewnym czasie znowu zaatakować. Z jeszcze większą siłą.

Andżela wyjaśniła sobie mój stan zazdrością. Bo w restauracji widziała Romę z dziewczyną. Młodą, niezbyt piękną, ale ze świetną figurą. I co z tego, że jest

zgrabna? Przecież nie będzie chodzić w kominiarce.

Zdaniem Andżeli w moim życiu nastąpił przełomowy moment. Może przez to teraz dojrzewam. Albo się starzeję. To chcę wyjść za mąż, to mam ochotę na koks. Wszystko minie. Poradziła mi iść do cerkwi.

— Już byłam — powiedziałam.

— Słyszałam, że trzeba objechać jedenaście cerkwi i w każdej nabrać trochę święconej wody. I w każdej stawiać świece.

— Naprawdę?

— A potem się tą wodą umyć i pokropić mieszkanie, i w ogóle...

„I Artioma” — pomyślałam.

Wyjechałam na szosę rublowsko-uspienską. Wzdłuż niej w każdej wsi jest cerkiew. Ale okazało się, że funkcjonują według grafiku. Jak urzędy. Prawie wszędzie witały mnie zamknięte drzwi. Masywne, z okuciami. Bardzo pięknymi.

Wróciłam do Moskwy. Jełochowska, Wagańkowska, na Wzgórzach Kryłatskich, na Stankiewicza.

Wszystkie otwarte. Każdy może wejść o dowolnej porze.

Ciemność nakryła dzień jak chustka klatkę z ptakami.

W dziesiątej cerkwi zaczęłam rozmawiać z batuszką. Miał wspaniałe kasztanowe loki. I bardzo żywe oczy. Które spoglądały ze spokojem i uwagą. I widziały tylko to, co dobre. Aż się chciało patrzeć na świat jego oczami.

Opowiedziałam mu o swoim maratonie po cerkwiach. Zdziwił się. I bez skrepowania oświadczył, że to straszna bzdura.

— To co mam robić? — spytałam zbita z tropu.

— Dzisiaj?

Czułam, że ze mnie drwi, ale wcale nie miałam mu tego za złe.

— Nie, w ogóle...

— Starać się nie grzeszyć, kochać Boga. Nie za coś, tylko tak. I nie tylko w cerkwi, ale przede wszystkim w swoim sercu.

Skinęłam głową.

Wróciłam do domu i wzięłam z półki Biblię dla dzieci. Do nocy czytałam opowieści biblijne. O Noem, o Kainie.

O Romie myślałam bez bólu, ze spokojnym, ak-samitnym smutkiem.

Numer telefonu Brzuszka zapisałam sobie na serwetce z logo „La Parisienne”. Długo trzymałam ją w rękę. Biel restauracyjnej serwetki wydała mi się nienaturalna.

Odebrał po drugim sygnale. Nie musiałam mu się długo przypominać. Miałam nawet wrażenie, że się ucieszył. Był miły. Powiedział, że dobrze tańczę — mam świetne wycucie rytmu. Również sypałam komplementami. I kokietowałam go.

W pewnej chwili zamilkł. Widocznie uznał, że przyszedł czas się dowiedzieć, w jakiej sprawie dzwonię.

— Wiesz — zaczęłam — mam poważny problem...

Nadal milczał, nie przejawiając zainteresowania.

— Może to zbyt śmiałe, ale przyszło mi do głowy, że mógłbyś mi pomóc... Nawet nie mnie, tylko mojemu przyjacielowi. Antonowi... — Denerwowałam się. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje. — Złapali go z narkotykami. Ale on był czysty.

— Więc to twój przyjaciel? — spytał Brzuszek z udawaną obojętnością.

— Tak — odpowiedziałam, do reszty tracąc pewność siebie.

Roześmiał się dobrodusznie.

— Nikita, przecież ją ostrzegałem. A z niego też jest numer — przecież wiedział, czyja to dziewczyna. Mam rację? Wiedział czy nie wiedział?

— Wiedział — zgodziłam się ponuro.

— Jasne, że wiedział. Cała Moskwa wiedziała. Jak mu daruję, to gdzie potem będę szukał swoich dziewczyn? Taką mam zasadę. Nie on pierwszy i nie ostatni. Jeden, nawiasem mówiąc, w tym roku wychodzi.

Milczałam. Jego głos stał się gryzący jak wełniany sweter.

— Ale to tak między nami.

Milczałam. Roześmiał się.

— Nikita, a może przyjedziesz do mnie na urodziny? Co prawda, będzie czterysta innych dziewczyn. Ale też najlepsze zespoły z Europy i Stanów, nie pamiętam nazw. Co ty na to? Gości się zbierze siedemdziesięciu — sami mężczyźni. Panienki nawet nie będą wiedzieć, czemu tam są i czemu im dają jeść. A o północy — wyobraź sobie — fajerwerki i prowadzący

ogłasza: „Dziś świętujemy urodziny!”, po czym pojawia się ja. Fajnie?

— Fajnie — przytaknęłam.

— No to zadzwoń jeszcze, przyślę ci zaproszenie. OK? I nie zwracaj sobie głowy cudzymi problemami, pewnie masz swoje. Całuję.

— Całuję — powiedziałam tak zmysłowo, jak tylko umiałam. W końcu to oligarcha.

24

Teściowa dobrze zniosła pobyt w lodowym hotelu.

Po powrocie była równie wesoła i troskliwa jak przed wyjazdem.

Wymyśliłam, w jaki sposób teść mógłby okazać mi wdzięczność. Odkupić ode mnie „Nikitę”.

Ta decyzja nie przyszła mi łatwo. „Nikita” stała się bardzo popularna.

Stałam nad grobem Maszki i tłumaczyłam jej, dlaczego tak postępuję.

— Zrobiłam wszystko, czego chciałaś, Maszka. Ale mam dosyć. Nie czuję się w tym dobrze. Lepiej otworzę kiosk z gazetami na Rublowce. Bo w sklepie mają tylko niektóre. Napisał o mnie w jakimś piśmie, a nawet nie mogłam go kupić. Możesz to sobie wyobrazić?

Teść oczywiście nie potrzebował „Nikity”. Ale kupiłby wszystko, o cokolwiek bym poprosiła.

Przyjemnie było uświadomić sobie, że uczciwie na to zapracowałam. W dodatku porozmawiał z Romą. O Artiomie.

— Zadzwoń do niego — powiedział mi.

Kiedy usłyszałam „halo” Romy, moje serce rozszalało się jak wagonik górskiej kolejki w wesołym miasteczku.

Nie żądałam od niego wyjaśnień, nie krzyczałam, nie płakałam, nie groziłam mu i o nic nie prosiłam. Mówiłam spokojnie i na temat. Kiedy odłożyłam słuchawkę, byłam z siebie bardzo zadowolona. Tylko przez chwilę pożałowałam, że nie zainteresowałam się, dlaczego nie znalazł sobie ładniejszej dziewczyny.

Roma obiecał zadzwonić do szkoły i dowiedzieć się, kiedy najlepiej zabrać syna. I kupić mi bilet. Na samolot Moskwa-Londyn, w klasie biznesowej.

Andżela przyjechała do mojego biura. Pomóc mi uporządkować rzeczy. Papiery. Teczki. Żeby przekazać je nowemu właścicielowi.

Sekretarki nie było.

— Nie mówiłaś jej? — spytała Andżela.

— Nie miałam kiedy.

— A co z Romą?

Wzruszyłam ramionami:

— Pewnie używa sobie ze swoją małolată.

— Wiem coś o tym. Na pewno pomyślał: „Wezmę młoda, która niczego nie widziała, niczego nie wie.

Wychowam ją sobie. I spędzę z nią spokojną starość".
Nuda.

— On się raczej nie nudzi.

— Z tobą się nie nudził. Uśmiechnęłyśmy się jednakowo. Figlarnie. Drzwi były otwarte.

Na progu pojawiła się sekretarka. Jak fantom. Zajęte rozmową, nie zauważyłyśmy, kiedy przyszła.

— Muszę was uprzedzić — oznajmiła — że za pół roku idę na urlop macierzyński. Żebyście potem nie mówiły, że was oszukuję. Jak chcecie, to mnie od razu zwolnijcie.

Zapiszczałam jednocześnie z Andżelą. Sekretarka uśmiechała się z zadowoleniem, wysłuchując naszych gratulacji.

— Na kiedy masz termin? — Spojrzałam na jej zupełnie płaski brzuch.

— Na czerwiec — sekretarka położyła rękę na brzuchu gestem typowym dla wszystkich ciężarnych.

— Wolisz chłopca czy dziewczynkę? — Byłam tak radosna, jakbym to ja się spodziewała dziecka.

— Chłopca. — Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Zwróciła się do Andżeli: — Będzie piłkarzem.

— Kto jest ojcem? — zaniepokoiła się Andżela.

— Denis — odpowiedziała sekretarka wyzywająco. Zamarłam.

— Aaa... — powiedziała Andżela przeciągle. I dodała, prawie ziewając: — No to jeszcze zdążysz zrobić skrobankę.

— Nie.

— Tak, kotku, tak! — Andżela podeszła do barku i wyjęła butelkę wina. Ostatnią.

To nie była Andżela. Patrzyłam na nią i nie mogłam oderwać wzroku. Po mojej przyjaciółce mogłabym się spodziewać wszystkiego: łez, hysterii, roztrzaskania butelki o ścianę, albo nawet o głowę sekretarki, ale takiego zimnego spokoju, takiej drwiącej wyniosłości...

— Słyszałaś, co się stało z Antonem — flegmatycznie ciągnęła Andżela — tylko dlatego że się przespał z niewłaściwą osobą? Chociaż oczywiście w więzieniu kochają lesbijki. Wiesz, jak cię będą nazywać?

Andżela uśmiechała się tak, jakby dopiero co wniesiono do gabinetu urodzinowy tort ze świeczkami.

— Końska mineciara.

Sekretarka patrzyła na nią spode łba. Z nienawiścią.

— Przemyśl to sobie. Zaczekaj za drzwiami.

Andżela odprawiła ją istic królewskim gestem.

— Wszystko w porządku? — wypowiedziałam uniwersalną formułkę.

Andżela już wystukiwała numer telefonu. Jej twarz stopniowo czerwieniała, oczy napełniały się łzami. Wargi zaczęły drżeć.

Przygotowałam się na scenę zazdrości.

— Tatku — powiedziała do słuchawki załamującym się głosem, a ja kolejny raz się przekonałam, że nie doceniałam mojej przyjaciółki — ja chcę umrzeć!

Co jakiś czas przerywała płacz, żeby zarysować ojcu zaistniałą sytuację.

— I co? — spytałam, kiedy Andżela położyła telefon na stole w taki sposób, w jaki na filmach hollywoodzkich kładą rękę na Biblii.

— Ma jakąś naradę. Ale zaraz przyjedzie i z nią porozmawia.

Wyglądała jak mała skrzywdzona dziewczynka. A kieliszek w jej dłoni — jak porcelanowa lalka.

— Nie zadzwonisz do Denisa? — zagadnęłam ostrożnie.

— Po co? Sam zadzwoni, jak się skończy mecz. Ogląda jakieś mistrzostwa.

Andżela gwałtownie zerwała się z kanapy, niczym zajączek na sprężynce. Pchnęła drzwi. Krzyknęła, wsuwając głowę do sekretariatu:

— O której się kończy mecz? — I po krótkiej pauzie, z groźbą w głosie: — Słyszysz? — Uśmiechnęła się, kiwnęła głową. Odwróciła się do mnie: — Mówi, że o szóstej. To znaczy, że zadzwoni między szóstą a dziesiątą.

Przyjechał ojciec Andżeli. Z inteligentnymi ochroniarzami w białych koszulach. Nieinteligentni, w zielonych kombinezonach, zostali pilnować wejścia do budynku.

Jakoś tak wyszło, że w sekretariacie wylądowałam ja z Andżelą, a oni z sekretarką w moim gabinecie.

Po półgodzinie ojciec Andżeli przez interkom poprosił o herbatę. Spojrzałyśmy na siebie. Ustaliłyśmy, że herbatę zaniósę ja.

Po godzinie wszyscy wyszli z gabinetu. Sekretarka cała zaryczana.

Zdecydowanym krokiem ruszyli do wyjścia. Andżela ledwie zdążyła zrobić nieszczęśliwą minkę.

W otoczeniu ochrony szli tak szybko, że z boku wyglądało to na porwanie.

Andżela wzięła telefon.

— Tata, dokąd jedziecie? A. Rozumiem.

— Dokąd jadą? — spytałam.

— Do szpitala — odpowiedziała powoli.

Sześć po szóstej zadzwonił Denis.

— Jaki był wynik meczu? — zainteresowała się Andżela filuternie i z nutą drwiny. — Świetnie. Tylko to chciałam wiedzieć. A tak przy okazji, kochanie, znasz mój numer na pamięć czy masz go w telefonie? Nie, nie musisz się uczyć...

Andżela przechadzała się po pokoju.

— Już za późno. Skasuj go i więcej do mnie nie dzwoń. Nigdy. Jeszcze pytasz? Dlatego że twój poziom to sekretarki, kelnerki, stewardesy i prostytutki. Gdzie ty, a gdzie ja? Zastanów się.

Andżela usiadła. Patrzyłam na nią z zachwytem. I z zawiścią.

— Teraz już ci nie ucieknie — stwierdziłam.

— Nic nie rozumiesz — powiedziała Andżela. — Idziemy? Chcę do domu.

25

Wybrałam się do łaźni tureckiej w Hotelu Słowiańskim.

Wyciągnęłam się na marmurowej ławie i pławiłam w kłębach aromatycznej pary. Trzy razy wskoczyłam do zimnej wody. Natarłam ciało peelingiem. Przygotowuje go moja gosposia według specjalnego przepisu: kasza jaglana, miód, mleko.

Przejrzałam się w lustrze i byłam usatysfakcjonowana. Nawet nabrałam rumieńców. Trochę się do siebie powdzięczyłam. W tradycyjnym duchu: „Jestem bardzo piękna — ciekawe, kto mnie taką dostanie?”.

W „Aldo Coppola” zrobiłam manikiur. Wybrałam lakier o barwie trudnej do nazwania. Bardzo mi się spodobał.

Jadąc wzdłuż rzeki, zawróciłam przez dwie ciągłe linie i zatrzymała mnie drogówka.

Okno otwierałam ostrożnie, żeby nie rozmazać lakieru.

— Poproszę dokumenty.

— Niech pan weźmie pięćset rubli. Dokumenty mam w torebce.

Umalowanym palcem wskazałam torebkę, czarną, od Tod'sa.

Milicjant nawet się nie zdziwił. Wziął pieniądze. Popatrzył na mnie ze współczuciem i trzasnął drzwiami.

— Szerokiej drogi.

Stwierdziłam, że następnym razem dam tylko trzysta. Chociaż milicjant był sympatyczny. Tego dnia wszystko mi się podobało. Nirwana. Słuchałam otaczającego mnie świata i czułam się jego częścią.

Nawet muzyka w samochodzie grała cicho. Mimo że zwykle jest włączona na cały regulator — pełni rolę dźwiękowej zapory pomiędzy mną a rzeczywistością.

Zadzwoniłam do Romy.

Przedyktował mi numer lotu. Bilety dostarczą do domu.

Mama przyniosła dziwny przedmiot: zielony plastikowy wazon na długiej wąskiej nóżce.

— Robią je specjalnie na cmentarze — wyjaśniała zadowolona — do wstawiania w ziemię. Bo wiesz, te butelki z kwiatami wyglądają okropnie...

Słyszałam, że niektórzy na starość kupują sobie trumny i śpią w nich, żeby się przyzwyczać.

Patrzyłam na mamę podejrzliwie. A ona na mnie
— z rozdrażnieniem.

— Zawieszysz Maszce na grób.

Kiwnęłam głową. A następnego dnia rzeczywiście
wybrałam się na cmentarz. Tęskniłam za Maszką. Za
jej życia nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele nas
łączy.

Mama pojechała ze mną.

Pewnie chciała podtrzymać mnie na duchu. Albo
pozachwycać się swoim wazonem. A tak naprawdę
— i jedno, i drugie.

Na cmentarzu panowała cisza. Pod nogami skrzy-
piał pierwszy śnieg.

Wszystkie groby były przykryte śniegiem jak ca-
łunem.

Rozległo się bicie dzwonów. Piękne i smutne.

Tak bardzo nie chce się umierać!

Rozumie się to dopiero na cmentarzu.

Tak bardzo nie chce się leżeć w ziemi i żeby robaki
prześlizgiwały się z ucha na szyję... A potem do ust...

Koszmar. Może lepiej niech mnie spalą?

A jeśli raj jednak istnieje? Przez całą wieczność być
świadomym, że dokonano się złego wyboru?

Z drugiej strony, jeżeli człowiek nie boi się śmierci,
to już niczego się nie boi.

— Chętnie wyszłabym za mąż — powiedziała
mama, starannie zamykając za nami furtkę ogrodzenia
grobu.

Nie zdążyłam ukryć zdumienia.

— A co, myślisz, że jak się ma sześćdziesiąt lat, to życie się już skończyło?

Czyżby mama chciała przyjechać na cmentarz, żeby mnie o to spytać? Albo siebie?

— Oczywiście, że nie. Zrozumiesz to, jak będziesz w moim wieku — odpowiedziała mama samej sobie.

Było mi przyjemnie to usłyszeć.

Mimo wszystko jeszcze raz wyobraziłam sobie, jak tą ścieżką jestem niesiona w trumnie. A za trumną sunie długa procesja żałobników. I pada lekki śnieg...

Westchnęłam. Życie nie kończy się po sześćdziesiątce. Czy to znaczy, że po trzydziestce dopiero się zaczyna?

W takim razie od czego by tu zacząć?

Procesja żałobników samoczynnie rozplynęła się w przestrzeni.

Przyjechała Andżela. Trochę naburmuszona.

— Jak to, chciałaś odlecieć bez pożegnania z przyjaciółmi? — Usiadła w fotelu i położyła na stole nogi w lakierkach Jimmy'ego Choo.

Jeśli człowiek ma jimmy choo, niczego więcej mu nie trzeba.

Redaktorka działu „Uroda” czasopisma „Harper's Bazaar” Alona Pieniowa nosi parę satynowych jimmy choo z motylkami na noskach, przy czym oba pantofle różnią się rozmiarem.

Lewy to trzydzieści sześć, a prawy — trzydzieści siedem. Albo na odwrót.

Były razem w pudełku — widocznie pomylili się w fabryce.

Alona Pieniowa nie chciała z nich zrezygnować. W końcu to jimmy choo. Rozmiar jest rzeczą drugorzędną.

— Przecież to tylko na dwa dni. Zabieram Artioma i wracam.

Ojciec Andżeli kupił drużynę piłki nożnej. Co za dziwną modę wprowadził Abramowicz. Dlaczego nikt nie kupuje drużyn pływaków? Albo, na przykład, dyskoboli?

— Wyobraź sobie, tata zatrudnił tę idiotkę — po skarżyła się Andżela.

Chodziło o sekretarkę.

— Rodzonej córki nie chciał zatrudnić! Tylko ją! To ma być normalne?

— No tak... — pokiwałam głową ze zrozumieniem i też wyciągnęłam nogi na stole. — Ale ona rzeczywiście jest zdolna...

Moja nowa gosposia przyniosła herbatę. Miała na sobie wypchane na kolanach spodnie od dresu. Pomyślałam o „Majordomusie”. Będę musiała zamówić jej sukienkę z fartuszkiem.

— „Zdolna” to nie jest właściwe słowo — powiedziała Andżela ze złością.

— A co z Denisem? — zapytałam.

— Poprosiłam tatę, żeby mi dał tę drużynę. Za wszystkie prezenty urodzinowe i noworoczne na trzy lata naprzód.

— No i?

— Nie zgodził się.

— Trzeba było dorzucić jeszcze Dzień Kobiet.

— Akurat by pomogło. Denis jest tam trenerem. I tacie marzy się, żeby nas pożenić.

Do salonu zajrzała mama. Skinęła Andżeli głową.

— Jak się pani czuje? — zainteresowała się moja przyjaciółka. — Słyszałam, że ma pani problemy z ciśnieniem?

Mama trzasnęła drzwiami. Nie znosi, kiedy ktoś robi aluzje do jej wieku.

— Wybiera się za mąż — wyjaśniłam Andżeli.

— Aha...

— A co, Denis tak się spodobał twojemu tacie?

— Nie, po prostu tata nawet we śnie myśli tylko o tym, żeby mnie jak najszybciej z kimś wyswatać.

Pomilczałyśmy chwilę.

Przyniosłam butelkę martini. Napelniłam kieliszki.

— A sam Denis?

— Zaleca się do mnie. Kwiaty i takie tam. A ja, Nikita, wyjeżdżam do Peru.

— Do Peru? — szczerze się zdziwiłam.

— Co, już zapomniałaś? Herbata z koką? Chodzenie z plecakiem po górach?

Myślałam, że żartuje. Chyba że w nowej kolekcji Louisa Vuittona mają jakieś wyjątkowo piękne plecaki. I Andżela musi wyprawić się do Peru, żeby usprawiedliwić swój zakup.

— Mówisz serio?

Andżela uśmiechnęła się.

— Z kim jedziesz? Chyba nie znalazłaś innych takich wariatów?

— Znalazłam. Całą grupę. Wiesz, jak będzie super?

Patrząc na rozognione oczy Andżeli, bardzo chciałam jej uwierzyć.

— No — kiwnęłam głową — ostatecznie to dla ciebie nie nowość?

Andżela wzruszyła ramionami.

— Jasne, że nie.

Wieczorem zadzwoniłyśmy do Katii.

Pracowała teraz w administracji rządowej. Na jakim stanowisku — nie wiedziałyśmy. Ale z pewnością na legalnym i prestiżowym.

Poza tym Katia czekała na Antona. Żyła jego problemami. Pobyt w więzieniu stwarza wiele problemów. Anton właśnie został przeniesiony do innej celi, a to oznacza, że trzeba kupić nowy telewizor. Dlatego że zabieranie czegokolwiek z celi nie leży w więziennych zwyczajach. Potrzebny jest też nowy wentylator. I program do gry w szachy. Więźniom można przekazać, co się chce. Za każdym razem kosztuje to sto dolarów. Można przekazać nawet koks. Za dodatkową setkę. Tylko że trudno samej wszystko nosić. Na staniu w kolejce schodzi cały dzień. Z tego powodu paczki znosi adwokat. Pobiera stawkę godzinową.

Anton mówi, że myśli o Katii za każdym razem, kiedy go obcesowo przeszukują. I obmacują.

Katia nikogo wcześniej nie kochała.

Ciekawe, co się dzieje ze Śnieżaną?

Budzik zadzwonił o szóstej rano. Kierowca Romy odwiózł mnie na lotnisko. Za cztery godziny zobaczę syna. Zabiorę go do domu.

Na stoliku w salonie leżą trzy bilety do cyrku. Kupiła je mama.

Szkoła Artioma przypominała dom naszego sąsiada. Oba budynki były wzniesione według najlepszej angielskiej tradycji: ciemna cegła, równe rzędy okien, gazon przed wejściem.

Artiom wyszedł mi na spotkanie w granatowym dresie. Akurat miał wuef.

— Tak się za tobą stęskniłam!

Dopiero kiedy go przytuliłam, uwierzyłam, że tu jestem. W Londynie. I że wszystkie te straszne wydarzenia, które mnie spotkały, mam już za sobą.

— Mamuś, poczekaj, dobrze? Bo jestem kapitanem, nie mogę zostawić chłopaków. Tylko pół godziny!

Zgodziłam się. Pół godziny zaczekam. Ale nie dłużej. I tak już zbyt długo czekałam.

W oknie samolotu ukazał się pas startowy Szeremietiewo-2. Żaden sea view nie może się równać z tym widokiem. Który daje przedsmak domu.

Odruchowo uniosłam nogi i opuściłam je, kiedy samolot dotknął ziemi. Artiom zrobił to samo.

Roma nas tego nauczył.

Artiom z piskiem rzucił się tacie na szyję.

Roma miał zadowoloną minę drapanego za uchem kota.

Artiom kroczył między nami, trzymając nas za ręce.

W samochodzie zademonstrowałam Romie krawat, który kupiłam mu w sklepie wolnoctowym. Valentino.

Roma uśmiechnął się.

— Nikita, wiesz, za co cię Kocham?

Odpowiedziałam miłym uśmiechem. Jakby nie powiedział „kocham”, tylko na przykład „chleb z dżemem”.

— Za stałość. Kupiłeś mi taki sam krawat, kiedy leciałeś z Rzymu w zeszłym roku.

Koszmar. Szczerze się roześmiałam.

— Zdawało mi się, że tamten był jaśniejszy.

— Nie przejmuj się. W końcu to nie twoja wina, że w sklepach wolnocłowych latami nie zmieniają kolekcji — powiedział Roma. Dobry z niego człowiek.

Przez resztę drogi się nie odzywałam.

— Kiedy idziemy do cyrku? — spytał Roma, biorąc ze stołu bilety.

Mama nakrywała do kolacji.

Ja stałam bez ruchu.

— W niedzielę? — Roma wczytywał się w informacje na biletach.

Milczałam.

— Pierwszy rząd? Wspaniale — patrzył na mnie z uśmiechem.

Pomyślałam, że będzie lepiej nic nie mówić.

Tylko stać, milczeć i się nie ruszać. Może wtedy wszystko dokoła też zastygnie? Jak w dziecięcej zabawie, w której przy ostatnich słowach wszyscy mają znieruchomieć: „Morze się burzy raz, morze się burzy dwa, morze się burzy trzy, na cztery morze śpi...”.

— Artiom! — zawołała babcia z kuchni. — Kupiłam bilety! Pójdziemy do cyrku!

„Morze się burzy trzy...”

Artiom popatrzył na mnie uważnie, po czym przeniósł wzrok na Romeę.

— Nie chcę iść do cyrku! — krzyknął, żeby jego głos dotarł do kuchni. — Mama i tata chcą. Niech oni idą.

Mama pojawiła się w drzwiach z talerzem pieczonych pierogów. Spojrzała na nas.

— Ja też coś nie mam ochoty na cyrk. Zawsze pokazują to samo — powiedziała powoli.

„Morze się burzy trzy, na cztery morze śpi”. Czy w cyrku można się przytulać jak na przykład w kinie? Mam nadzieję, że tak.

Tytuł oryginału
Dien szasztja — zawtra

© Copyright by ZAO „ROSMIEN-PIRISS”
© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007

Wydanie pierwsze

Redaktor prowadzący Barbara
Górska

Redaktor
Maria Wolańczyk

Korekta
Małgorzata Hertmanowicz-Brzoza, Ewa Kochanowicz,
Henryka Salawa, Urszula Srokosz-Martiuk

Opracowanie graficzne Dymitr
Szewionkow-Kismielow

Redakcja techniczna Bożena
Korbut

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2007
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Infomarket
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „POZKAL”

ISBN 978-83-08-04061-4